

## 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

### Relacja ppor. Janusza Zawodnego, ps. „Miś”

#### *Zadania plutonu i dowódcy*

Pluton ten w służbie na Starym Mieście był dyspozycyjnym ośrodkiem dowódcy Zgrupowania i zarazem osobistym pocztem bojowym dowódcy. Zadania plutonu były następujące:

1. Nawiązanie i podtrzymywanie bezpośredniej łączności z oddziałami i odcinkami w boju (przez cały czas walk o Stare Miasto);
2. Służenie jako natychmiastowy odwód wsparcia bojowego, według decyzji dowódcy Zgrupowania (trzy razy);
3. Rozpoznanie na korzyść dowódcy Zgrupowania oraz, dość często, na korzyść dowódcy Grupy „Północ” płk. „Wachnowskiego” (m.in. kpr. „Kielbasa” „kursował” kanałem między Żoliborzem a Starówką do momentu śmierci);
4. Ubezpieczenie osobiste dowódcy i dowództwa (żołnierze plutonu, kaprale Stasiek i Rakoczy dwa razy uratowali mjr. „Sośnie” życie);
5. Dostarczanie amunicji do punktów oporu;
6. Budowanie barykad.

Pluton ubezpieczał także przez kilka dni na ul. Barokowej na Starówce, dowódcę AK gen. „Bora”. Notabene, nie wiedząc o tym, że chodziło o osobę generała. Jako dowódca plutonu dostałem rozkaz od por. „Boha”, oficera operacyjnego Zgrupowania, aby ubezpieczyć ten budynek i, w razie potrzeby, bronić go oraz personelu, znajdującego się wewnątrz, „do ostatniego żołnierza”. „Czarna Baśka”, która była łączniczką i adiutantem płk. „Wachnowskiego”, wiedziała, że gen. „Bór” był w tym budynku, ale zgaga nie powiedziała mi o tym, śmiejąc się tylko, że ubezpieczamy kogoś ważnego. Sprawa wydała się pewnego dnia, kiedy strzelec „Jerzy”, stojący na warcie przy wejściu do budynku przysłał gońca meldując, że Jakiś zafajdany cywil nie chce powiedzieć kto jest, a pcha się do środka na siłę!” Strzelec „Jerzy” stał na warcie z kosą. Tak, z kosą. Wyszukał sobie gdzieś kosę i z taką bronią zameldował się w plutonie, czekając aż któregoś dnia jeden z kolegów polegnie lub uda mu się zdobyć broń na Niemcach. Niestety śmierć tego dzielnego chłopca nie pozwoliła mu walczyć z prawdziwą bronią. Poległ, służąc ze swą wierną kosą. Okazało się, że przed wejściem stał skromnie ubrany, raczej niski i szczupły pan w kapeluszu, prosząc o wpuszczenie go do budynku, bo chciałby się widzieć z płk. „Wachnowskim”. I znów „Czarna Baśka” interweniowała mówiąc, żeby przepuścić, bo ona tego pana zna. I wtedy powiedziała mi, że to jest nasz dowódca AK. Wiadomość ta, skromnie przyznaję, podekscytowała mnie. Zgodnie z naturą ludzką wyładowałem swoje zdenerwowanie na jakimś biednym pocie, który deklamował łączniczkom napisaną przez siebie *Ode do matki*. Spytałem go czy należy do

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

jakiegoś oddziału i czy ma broń? Na obydwie pytania odpowiedział - „nie”, po czym posłuchał mojej rady, aby „wypieprzał stąd w podskokach”.

Po przejściu do Śródmieścia pluton, rozkazem dowódcy Okręgu, gen. „Montera”, został upoważniony do odbioru zrzutów powietrznych w rejonie: ul. Towarowej, pl. Napoleona, Królewskiej, Alei Jerozolimskich. Na skutek tego rozkazu pluton miał stałą służbę nocną, która nie uwalniała go od zajęć dziennych. Przeciętny czas snu plutonu w Śródmieściu wynosił około 5 godzin na dobę. Zdarzały się omdlenia ze zmęczenia.

Okolo 150 zrzutów zewidencjonowano, 18 podjęto i dostarczono do Kwatery Głównej w kinie Palladium. Wszystkie te zrzuty pochodziły z samolotów sowieckich. Niestety większość z nich była bez spadochronów i odbierany materiał był w wielu wypadkach bezużyteczny. Oddziały nie chciały oddawać tego, co spadło na ich rejon. Kilka razy o mało nie doszło do strzelaniny między oddziałami. Moja rola była trudna. Osobiście trudno mi było zrozumieć intencje dowództwa sowieckiego: Rosjanie stali po drugiej stronie Wisły, a pomoc zrzucano bez spadochronów - może dlatego, aby spadochrony nie znosiły zrzutów do Niemców? Ale jednocześnie, kiedy nasi chłopcy wyłożyli biało-czerwona flagę na pl. Napoleona to się tak po niej sowiecki samolot myśliwski przejechał z karabinów maszynowych, że tylko strzepy zostały.

Patrząc na siebie jako na dowódcę plutonu, podchorążego, a później podporucznika AK, wydaje mi się, że przygotowanie, jakie dostałem, przechodząc przez szkoły podoficerską i podchorążówkę AK w podziemiu, było z konieczności raczej teoretyczne i zupełnie nie przystosowane do walk ulicznych. Znałem na pamięć kolejność rozkazów przy zaciąganiu placówki, ale o walkach ulicznych i nocnych nawet jednego wykładu w ciągu 4-letniej służby w podziemiu nie miałem. Dowodziłem, kierując się instynktem. Natomiast z bronioznawstwa byłem dobrze przeszkolony: vis, colt, sten i bren.

##### *Zycie plutonu w walce*

Co jedliśmy wówczas nie pamiętam dokładnie. Wiem, że piliśmy dużo kawy, która była ciepła i słodka, oczywiście czarna, bo mleka nie było. Kiedy była słaba chłopcy, gdy nie było dziewcząt w pobliżu, nazywali tę kawę „siki św. Weroniki”. Jedliśmy kaszę z konserwami mięsnymi, pochodzący-mi z magazynów zdobytych na Stawkach, albo fasolę. W Śródmieściu gotowało się tzw. zupę pluj z jęczmienia, po który kolumny organizacyjne chodziły do browaru Habermuscha. Żywnością zajmowały się dziewczęta, a ilość i jakość różniła się w oddziałach, zależnie od zaopatrzenia piwnicy, jaką dana jednostka odkryła na swoim stanowisku i pomocy ludności cywilnej. Wiem, że w niektórych plutonach pod koniec Powstania żołnierze łowili psy i koty, jednak do nas te luksusy nie dotarły. Marzyliśmy o pomidorach. Przeciętna strata wagi ludzi w plutonie: 5-10 kg w ciągu 63 dni.

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

Pluton zawsze spał razem na podłodze. To znaczy w jednym rogu piwnicy czy pokoju zależnie, gdzie było m.p. dowódcy Zgrupowania. Czas snu na Starówce wynosił na ogół - trudno powiedzieć dokładnie - około 4 godzin na dobę. Początkowo dziewczęta spały przemieszane z chłopcami, dosłownie, gdziekolwiek było wolne miejsce - żołnierz kładł się i zasypiał. Jednak w okresie największych nasileń walk pewnego wieczoru, 14-letnia „Panterka” położyła się obok mnie po lewej stronie, a jej siostra łączniczka „Janor” przy niej. Zdziwiony byłem, że „Krystyna” także położyła się koło mnie po prawej stronie. W sumie wszystkie dziewczęta ułożyły się po obu stronach mojej osoby. Muszę przyznać, że znalazłem się w bardzo niewygodnej sytuacji. Takie odseparowanie dziewcząt od chłopców było dla mnie niezrozumiałe, wiedząc jak dobre stosunki istniały zawsze między nimi. Spytałem się więc najstarszej z nich co to ma znaczyć. Łączniczka odpowiedziała mi, że w ciągu ubiegłej nocy dwóch chłopców zaczęło się „nieodpowiednio zachowywać”. Nie pytałem więcej o szczegóły i zasnąłem z „Babińcem” po obu stronach. Na drugi dzień, korzystając z nieobecności dziewcząt, wygarnąłem chłopcom, co o tym myślę w trzyminutowej mowie. To była jedyna nagana, jaką musiałem zrobić plutonowi w czasie Powstania. Mimo że chłopcy byli po tym aż uprzedzająco grzeczni, dziewczęta na Starym Mieście nie zmieniły swoich miejsc w czasie snu i dopiero po przejściu kanałami dały się udobruchać, bo w Śródmieściu znowu pluton spał przemieszany, gdzie komu było najwygodniej, bez specjalnych podziałów na stronę męską i żeńską. Jedynym rezultatem tego podziału był fakt, że ponieważ postąpiłem w myśl żądań dziewcząt, chłopcy nazywali mnie odtąd „św. Jerzym”. W ciągu dwóch miesięcy nikt się do snu nie rozbierał. Dziewczęta zdejmowały buty, pantofle, chłopcy na mój rozkaz na Starówce spali w butach. Ale bieliznę zmienialiśmy bardzo często (z częściowo popalonych lub zniszczonych domów lub zakładów fabrycznych).

Jak była woda do mycia (dość rzadko) dziewczęta miały pierwszeństwo, później myśmy się myli, w tej samej wodzie, według że tak powiem „gotowości” i chęci. Za największy skarb, oprócz broni i amunicji uważana była szczoteczka do zębów i trochę pasty.

Oprócz incydentu opisanego wyżej, takt i subtelność oraz protekcyjność w stosunku do kobiet, były po prostu uważane za rzecz normalną. Dyskrecją godną podziwu było załatwianie potrzeb naturalnych. We wszystkich armiach świata, pod wpływem przeżyć i twardych warunków życia w walce, dochodzi do pewnego schamienia i ośpienia w stosunkach między ludźmi. Tego w plutonie nie było. Wprost odwrotnie raczej, czym bardziej wyglądało, że zostaniemy pod gruzami Starówki, tym bardziej widziałem subtelne zwracanie uwagi na poszanowanie prywatności i godności osobistej. Dziewczęta wiedziały też, że mogły liczyć na rycerską pomoc chłopców, jeżeli tego było potrzeba. Pamiętam, jak kiedyś jedna z pań, nie należąca do mojego plutonu, zwróciła się do mnie w nocy, tłumacząc rozpaczliwym głó-

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

sem, że ona musi wyjść na zewnątrz „na minutkę” i prosiła czy ja bym nie zechciał wyjść z nią, „bo artyleria strasznie strzela...” Rzeczywiście granatniki i artyleria niemiecka były doskonale wstrzelane w Stare Miasto i ciągle ogień nieprzyjaciela zmiatał życie do ruin. Mój cichy i krótki sen w kącie piwnicy-schronu został przerwany przez tę panią, ale trudno! Wziąłem swego „stena” i wyprowadziłem ją na zewnątrz. To była jedna z tych chwil, kiedy bardzo głęboko modliłem się na Starym Mieście, stojąc dosłownie w ogniu granatników. Myślałem sobie, że być żołnierzem AK i zginąć w walce, czy przy pełnieniu służby, to jednak historia, ale być zabitym dlatego, że dziewczę musi przykucnąć za kamieniem, to inna sprawa! Na szczęście wróciła do mnie dosłownie po minucie.

Na ul. Miodowej 23 zostałem jednego dnia w czasie nalotu bombowców zasypany razem ze strzelcem „Jerzym”. Byliśmy przez kilkanaście minut w ciemnościach, w pyłe, zdawałem sobie sprawę że szansa, aby nas odkopano jest prawie żadna. Nawet modlić się nie mogłem. Ale Jerzy modlił się głośno i odniosłem wrażenie, że modli się do kogoś specjalnego. Kiedy nas odkopano zobaczyłem, że trzymał kurczowo w ręku fotografię amerykańskiej artystki filmowej, Loretty Young. Kiedy w 1957 r. wykladałem politykę międzynarodową na Uniwersytecie w Princeton, spotkałem pewnego dnia na ulicy tę artystkę. Zatrzymałem ją, przedstawiłem się i opowiedziałem jej o tym, jak to pewien żołnierz AK modlił się do niej w czasie Powstania Warszawskiego. Łzy ukazały się w jej oczach. Porozmawialiśmy chwilę, ale widząc jej wzruszenie nie powiedziałem jej, że w tydzień po owym zasypaniu chłopiec został zabity.

##### *Uzbrojenie*

Na 16 ludzi pluton posiadał następujące uzbrojenie: 1 pistolet automatyczny sten, zrzucony z Anglii, 3 pistolety automatyczne typu „Błyskawica” wyprodukowane w podziemiu, 1 karabin, 2 rewolwery, 1 pistolet FN oraz 1 kosę. Na cały pluton było 6 granatów, 1 obronny z Anglii, 2 niemieckie, zdobyte na zabitym Niemcu na Stawkach i jeden zrobiony ze starej skarpetki, 2 sfabrykowane na Starym Mieście, tzw. sidolówki, zrobione przez naszych fachowców z AK. „sidolówki” i „skarpetkowy” granat zatkałe były korkiem. Pamiętam, że „skarpetkowy” granat wybuchł, jak powinien, ale przy wyrwaniu korka oparzył mi lewą rękę bo wystrzelił z niego półmetrowy płomień.

Zapasowej amunicji nikt nie posiadał, było jej tylko tyle, ile zawierały magazynki. Pistolety automatyczne miały po 2 magazynki. (Jednego dnia, w połowie sierpnia, dla całego Zgrupowania „Sosna” broniącego sektora ul. Miodowa, pl. Teatralny, ul. Bielańska, Przejazd, Przebieg, Bonifraterska -był jeden nabój karabinowy, powtarzam jeden nabój karabinowy w rezerwie na m.p. dowódcy).

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

Dziewczęta broni nie miały, z wyjątkiem kpr. pchor. „Krystyny”, której pod koniec walk na Starym Mieście dałem własny pistolet, zatrzymując sobie stena. Ta nadzwyczaj opanowana i dzielna dziewczyna, używana w najtrudniejszych sytuacjach do przenoszenia najważniejszych meldunków lub rozkazów, zasługiwała na specjalną ochronę i opiekę i cóż jej mogłem dać więcej jak własną broń? Czasami w dzień lub w nocy musiała docierać w pobliże niemieckich pozycji lub przechodzić pod bezpośrednim ostrzałem artylerii. Posiadanie broni, mogło ją chociaż moralnie podtrzymać lub dać możliwość wyboru alternatyw, przy natknięciu się na patrol SS-manów.

Wszystkie pistolety działały na Starym Mieście bez zarzutu. Około 90% posiadanej amunicji wystrzelano, wszystkie granaty zostały zużytkowane na Starym Mieście.

Po wyjściu z kanałów pistolety automatyczne posiadały od 4 do 10 naboji każdy. Uzupelnienia w broń i amunicję na Śródmieściu nie było. Natomiast uzupełnienie w ludziach równało się uzupełnieniu w broń, gdyż każdy nowo przybyły członek plutonu w Śródmieściu posiadał własną broń.

##### *Umundurowanie*

W pierwszych dniach walk na Starym Mieście członkowie plutonu ubrani byli różnie, w cywilne ubrania. Po zdobyciu niemieckich magazynów na Stawkach, cały pluton włożył SS-mańskie bluzy kamuflażowe (bez oznak SS), tzw. panterki. Pchor. „Krystyna” była jedynym wyjątkiem i do końca nosiła szaro-niebieski zakiecik i taką samą furażerkę. Kilku z nas miało hełmy niemieckie, kilku polskie furażerki kawaleryjskie, kilku czapki polowe niemieckie. Każdy z nas miał na prawym ramieniu biało-czerwona opaskę z czarnymi literami AK. Przejście kanałami do Śródmieścia zniszczyło wielu z nas buty. Mówiąc o butach pamiętam, że po wyjściu z kanałów na ul. Wareckiej jakiś podchorąży z oddziałów Śródmieścia w prześlicznie wypolerowanych długich butach (siedziałem na ziemi i nie miałem siły, aby się na jego twarz patrzeć) dziwił się głośno dlaczego mu nikt nie salutuje. Ktoś z kanałów powiedział mu, że Jeśli się stąd w tej minucie nie oddali, to będzie miał zaszczyt być kopniętym w d... butem ze Starówki”. Ktoś płakał za Rysiem co „został w kanale pod wodą”. Ktoś się pytał czy znałem jej syna „taki szlachetny blondynek, moje dziecko, był w AK”.

##### *Luźne obserwacje i zdarzenia*

Kilka postaci specjalnie mocno utrwaliło się w mojej pamięci.

Przede wszystkim pewien ksiądz, którego nazwiska nie znam, a który wykazał nieprawdopodobną odwagę, 2 sierpnia, w czasie walki o wejście do getta, na rogu ulic Leszno i Żelaznej, ksiądz ów, wysoki blondyn w wieku

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

między 20 a 30 rokiem życia, z krzyżem w ręku wyszedł pod ostrzał ciężkich karabinów maszynowych, strzelających z odległości 50 m, stanął przed niemieckim bunkrem i po niemiecku zaczął krzyczeć do wroga o zaprzestanie ognia, aby móc usunąć zabitych i rannych - Polaków i Niemców, leżących pod bunkrem chroniącym bramę wjazdową do getta. Niemcy przestali strzelać. (Rola i zachowanie księży w Powstaniu zasługuje na narodowy szacunek i osobną książkę).

Z tym faktem łączy się także przykład innego dowodu odwagi osobistej. Mój kolega z tajnych kompletów prawa na Uniwersytecie Warszawskim, Juliusz Pużak (bratanek Pużaka, zmarłego w więzieniu sowieckim po „procesie 16-tu”), wraz ze mną w drugim dniu Powstania dołączył się do sekcji z oddziałów płk. „Leśnika” i nacierał wprost na bramę getta bez broni. Wskutek kontuzji, jakiej uległem pod bramą i zabranii mnie do szpitala polowego musieliśmy się rozdzielić. Wiem, że jego pseudonim był „As” i że dołączył do oddziałów „Golskiego” oraz że przeżył Powstanie. Wykonać skok na obiekt bez broni, pod ogniem 2 ckm-ów wymagało nieprzeciętnej odwagi.

Inne wspomnienie, równie mocno utrwalone w pamięci, związane jest z moralną postawą kobiety-doktora na Starym Mieście. Biegnąc koło ruin jakiegoś domu przy ul. Długiej usłyszałem jęki ludzkie, dochodzące z piwnicy. Myślałem, że to zasypani mieszkańcy, co było normalnym zjawiskiem na Starówce. Okazało się, że była to grupa jeńców niemieckich w mundurach. Ilu ich było w tej piwnicy nie pamiętam. Może około trzydziestu. Pilnował ich kapral żandarmerii AK uzbrojony w pistolet maszynowy. Jedna trzecia jeńców była złożona z rannych, dwóch nieprzytomnych jęczało z bólu. Piwnica była bardzo czysto utrzymana, kapral odnosił się do jeńców z godnością, ale mówił mi, że nie może iść po doktora, bo ma rozkaz pilnowania jeńców i sam nic nie może zrobić dla tych dwóch jęczących. Jeden z nich błagał o wodę, dałem kapralowi swoją manierkę, a sam wyszedłem. Na rogu ul. Długiej i pl. Krasińskich natknąłem się na jakąś kobietę, lat około 40 z chlebakiem, na którym dostrzegłem oznakę Czerwonego Krzyża. Zapytałem ją, gdzie może być najbliższy doktor. Powiedziała mi, że ona jest doktorem. Opisałem więc jej los dwóch jeńców niemieckich i spytałem czy nie mogłaby im pomóc? Odrzekła mi, że chętnie. Wracając ul. Długą natknęliśmy się na majora „Sosnę”, mojego dowódcę. Zameldowałem mu co robię, dlaczego jestem w tym miejscu w danej chwili. Na to „Sosna” wybuchnął z ogromnym zalem do doktora-kobiety: „Co Pani sobie myśli rozdzielając ostatnie opatrunki i zastrzyki Niemcom, podczas gdy moi ludzie umierają z braku środków”. Na to doktor odpowiedziała: „Panie majorze, dla mnie nie ma mundurów, ani flag narodowych. Dla mnie są tylko ranni ludzie”. I odsunęła go ze swojej drogi. Doprowadziłem ją do piwnicy, gdzie znajdowali się jeńcy niemieccy, a potem pobiegłem za „Sosną”. Major nigdy do tego tematu nie wrócił.

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

Trzy dni przed wymarszem z Warszawy, gdzieś w nocy na kwaterze mojej kompanii na rogu ulic Marszałkowskiej i Moniuszki, obudził mnie w nocy łącznik z rozkazem natychmiastowego zrobienia alarmu i udania się z kompanią do Kwatery dowódcy Powstania, gen. Montera do kina Palladium, przy ulicy Złotej. Dosłownie w ciągu trzech czy czterech minut cała kompania była pod bronią i biegiem przez gruzy dotarliśmy do kina Palladium, gdzie zameldowałem się u płk. Webera. Rozkaz jego był prosty: ubezpieczyć wszelkie wyjścia oraz przejścia, nawet z pokoju do pokoju, w całym budynku, gdzie mieściło się kino i na wypadek jakiegoś zamieszania nie pozwalać nikomu, dosłownie nikomu, na wejście albo opuszczenie pokoju. Nie bardzo wtedy rozumiałem sens jego rozkazu i do dzisiaj nie wiem o co chodziło. Dano nam jakieś hasło i odzew, których już dziś nie pamiętam. W świetle migających świeczek, bo elektryczności nie było, rozstawiłem ludzi na wszystkich piętrach, powtarzając rozkaz płk. Webera, aby nikogo nie wpuszczać i nie wypuszczać bez hasła. Tak jak się orientowałem chodziło o to, aby zapobiec jakiemuś zamachowi na kino Palladium, którego obawiała się Komenda Powstania. Kogo podejrzewano o zamach nie wiem.

Po rozstawieniu ludzi, do godz. 5.00 nad ranem chodziłem od pokoju do pokoju, sprawdzając czy żołnierze są na stanowiskach. Byli oni bardzo podenerwowani, ja również, bo zdawałem sobie sprawę z sytuacji: gdyby ktoś zapomniał hasła, gdyby powstał jakiś zamęt lub wybuchła panika, to rzeczywiście masakra byłaby niesamowita. Bardzo słabe oświetlenie nie pozwalało żołnierzom na rozpoznawanie „swoich od obcych”. Zdenerwowanie żołnierzy i personelu sztabu widzącego ludzi z karabinami i pistoletami przy drzwiach stwarzało sytuację tak groźną, że dziękowałem gorąco Bogu, kiedy noc przeszła spokojnie. Nad ranem kompania wróciła na m.p. na róg ulic Moniuszki i Marszałkowskiej.

Przytoczę jeszcze jeden przykład postępowania, które było nacechowane wysokim idealizmem moralnym. Kompania sztabowa „Koszta”, do której zostałem odkomenderowany po przyjeździe ze Starego Miasta, miała swoje pozycje wzdłuż pl. Napoleona, a m.p. znajdowało się na rogu ulic Moniuszki i Marszałkowskiej pod sklepem jubilerskim Modro. Po przyjeździe do kompanii poinformowano mnie, że na krótko przedtem pan Modro, właściciel sklepu jubilersko-zegarmistrzowskiego dał każdemu z żołnierzy w kompanii po zegarku. Mnie ten prezent ominął, ale któryś z chłopców zwrócił uwagę panu Modro, że ja przyszedłem później do kompanii i zegarka nie dostałem. Wobec tego pan Modro uprzejmie przyniósł mi złoty zegarek, prosząc abym wziął go na pamiątkę. Ponieważ miałem wtedy własny zegarek, uważałem, że nie wypada mi brać drugiego. Odmówiłem przyjęcia tego daru w obecności kilku żołnierzy z kompanii. Odmowa ta miała potem dla mnie dość ciekawe konsekwencje. Po przygotowaniu kompanii do wymarszu do niewoli, kiedy staliśmy w szeregu i kiedy już pożegnałem się z kompanią (z prawdziwym żalem muszę napisać, że dwóch ludzi z kompanii popełniło samobójstwo

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

zanim kolumna wyruszyła z miasta) przyszło do mnie trzech żołnierzy i ofiarowało mi schowany w berecie „podarek od kompanii”. Co tam było nie wiedziałem, bo nie wypadało zaglądać zaraz do beretu. Ale w czasie marszu otworzyłem ów beret i zobaczyłem, że była w nim złota bransoleta, dwa złote zegarki i dwa czy trzy pierścionki. Natychmiast podszedłem do żołnierzy, odnalazłem jednego z tych, który był w delegacji z podarkiem i zapytałem skąd to wzięli? Powiedzieli mi, że część dostali drogą wymiany za wódkę, którą gdzieś odkryli, a część pochodziła z zegarków, które pan Modro rozdał żołnierzom. Uważałem, że ponieważ pan Modro osobiście nie wręczył mi tych kosztowności, więc stanowią one nadal jego własność. Strasznie mi było ciężko na sercu, gdyż zdawałem sobie sprawę, jaką teraz, idąc do niewoli, ponoszę odpowiedzialność, mając przy sobie rzeczy, które do mnie nie należą i wiedząc, że będę rewidowany przez Niemców.

Pierwszą rewizję przeszliśmy w Lamsdorfie, odbyła się ona na polu. Legitymację AK, jedną cebulę i złote przedmioty - moje największe skarby - trzymałem pod furazerką, na głowie, rozbierając się sztywno i pozwalając się obmacywać feldfeblowi. Pod furazerkę Niemiec nie zajrzał.

Tak się złożyło, że natychmiast po wejściu do obozu w Lamsdorfie część złotej bransolety została zużytkowana dla dobra AK. Mianowicie na jednej ze stacji pod Lamsdorfem niemiecki strażnik strzelał do wagonu, w którym byliśmy zamknięci. Nie znam przyczyn tej strzelaniny, natomiast wiem, że jeden z żołnierzy AK, będący w wagonie, został ranny w rękę - kula strzaśkała mu łokieć - jakież był mój żal, a później radość, kiedy przy wyładowaniu nas w Lamsdorfie stwierdziłem, że ten ranny żołnierz to mój kolega z oddziału konspiracyjnego „Prawdzica” - kpr. „Ranicki”. Witek, z którym bardzo dużo przeszliśmy razem w konspiracji, włącznie z ocaleniem się w obławie na oddział w Leśnej Podkowie.

Witek opowiedział mi, że w tym obozie jest rosyjski doktor, który go już zbadał i zdecydował natychmiastową amputację ręki, ale zażądał opłaty w złocie, bo inaczej nie będzie operował. Witek był zdesperowany bo skąd tutaj, w niemieckim obozie, wziąć złoto. Na to powiedziałem mu, że mam ze sobą garść złota, którą oddaję do jego dyspozycji. Witek wybrał złotą bransoletę, przerwał ją na pół i zdecydował się iść z tym do chirurga. I rzeczywiście ta połowa bransolety wystarczyła na zapłacenie operacji. Ucięto Witkowi rękę, ale przeżył, to wiem, gdyż moja matka widziała go po wojnie w Warszawie.

Z resztą złota pojechałem do obozu jeńców w Murnau. I tutaj znowu przed rewizją zwróciłem się do nieznanego oficera - wrześnieowca - opowiedziałem mu historię tego złota, prosząc, aby je w jakiś sposób przechował w czasie rewizji. Dałem mu też moją legitymację AK.

W obozie zameldowałem o fakcie posiadania złota porucznikowi „Bohowi”, który był oficerem taktycznym Zgrupowania „Sosna”. Złoto przechowywałem w sienniku. Z powodu dwóch alarmów, kiedy mówiono o rewizji sienników, por. „Boh” oraz Janek Markowski, nasz przemyły porucznik saperów AK z



#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

Mokotowa, utalentowany kompozytor piosenek, który wraz z bratem siedział w Murnau, zgodzili się na noszenie na ręku po jednym z zegarków, dopóki wisiał nad nami strach rewizji. Do rewizji sienników jednak nie doszło.

Patrząc obecnie, z perspektywy czasu, jedna rzecz bardzo mi imponuje, a mianowicie postawa Janka Markowskiego, oraz por. „Boha”. W warunkach, w jakich żyliśmy w niewoli łatwo mogliśmy polepszyć naszą dolę wymieniając złoto na żywność lub papierosy. A jednak wiedząc o istnieniu „mego skarbu” nigdy podobnej sugestii żaden z nich mi nie zrobił. Wprost przeciwnie spotkałem się u nich z sympatią i zrozumieniem dla mojego stanowiska. A byliśmy bardzo głodni - wtedy za złoto można było kupić żywność od niemieckich strażników.

Może czytelnik będzie zaciekawiony tym co się stało ze złotem? Otóż po uwolnieniu obozu Murnau, w maju 1945 r., zdecydowałem się do kraju nie wracać. W obozie poznałem oficera, do którego miałem pełne zaufanie, jeśli idzie o charakter i uczciwość. Razem z nim poszliśmy do notariusza Obozu VII A w Murnau, gdzie sporządziliśmy akt prawny, w którym ten oficer, por. Bolesław Trombala, zobowiązał się zabrać złoto do Polski, ponieważ on sam wracał do kraju. Miał je oddać panu Modro, a w wypadku gdyby ten nie żył lub odmówił przyjęcia z powrotem kosztowności, miał je przekazać mojej matce, jeśli przeżyła Oświęcim. Ponieważ moja matka nigdy tego złota nie dostała przypuszczam, że por. Trombala albo oddał je panu Modro, albo gdzieś w drodze do kraju został obrabowany z tego cennego bagażu. Nie mam najmniejszej wątpliwości, że wywiązał się z honorem ze swego zobowiązania.

#### **Relacja Zenona Kłosowskiego, ps. „Biały” (2 kompania)**

Na początku 1944 r. wstąpiłem do Armii Krajowej. Osobą wprowadzającą była Henryka Niewiadomska. Trafiłem do Zgrupowania „Radosław” - batalion „Miotła”, szkolenie prowadził z nami „Sławek” przy ul. Żabiej 2--4, I piętro.

Na szkoleniu spotkałem „Wieśka”, który mieszkał we Włochach koło Warszawy i kolegę „Janka” - „Olka”.

Parę dni przed godziną „W” dostałem rozkaz przenocowania u siebie „Wieśka” i „Olka”. Wybuch Powstania zastał nas w mieszkaniu mojej matki przy ul. Chmielnej 49.

Dom ten już od pierwszych godzin znalazł się pod ostrzałem z Dworca Głównego i z poczty przy ul. Chmielnej. Następnego dnia rano udało nam się wydostać piwnicą na ul. Wielką i po krótkim czasie dotrzeć do szkoły przy ul. Chłodnej.

Tego samego dnia udało nam się, pod silnym ostrzałem z posterunku żandarmerii przy ul. Żelaznej, dotrzeć na ul. Dzielną do Monopolu Tytoniowego, gdzie dołączyliśmy do swego oddziału. Dowódcą tego oddziału był Leszek, ps. „Niemy” lub „Głuchy”. W akcji w Monopolu byliśmy 3 dni. Był

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

rozkaz stopniowego opuszczania tego terenu i przejścia na Stare Miasto. W ten sposób z „Wieśkiem” i „Jankiem” jako pierwsi zostaliśmy odesłani na Starówkę.

Ponieważ nie znaleźliśmy na Starówce swego oddziału, jeszcze tego samego dnia (może następnego) zgłosiliśmy się do punktu werbunkowego przy ul. Długiej 13-25.

Szefem tego punktu był rotmistrz mówiący z akcentem wileńskim. Po krótkiej perswazji, że to nie ma większego znaczenia czy będziemy walczyć w swoim oddziale, czy innym, zostaliśmy wciągnięci do „Szwadronu zmotoryzowanych”, a po paru dniach odesłano nas jako uzupełnienie do Ratusza, gdzie dowódcą był por. „Kalinowski”. Przebywałem w środkowej części Ratusza, a moje stanowisko było na parterze w oknie obłożonym workami z piaskiem, wychodzącym na Teatr Wielki.

Na moje stanowisko przychodzili stale mój dowódca, bardzo sympatyczny porucznik, który mniej więcej w tydzień po moim przyjeździe na Ratusz dostał postrzał w udo z Teatru Wielkiego. W kilka dni później - być może, że na miejsce ранego porucznika - zjawił się w Ratuszu w bardzo ładnym przedwojennym mundurze por. „Lis”, który po kilku dniach zniknął bez śladu. Oprócz moich dwóch kolegów z konspiracji pamiętam jeszcze kilka osób z Ratusza:

1. „Septimus” lekarz - student 5 roku medycyny;
2. Plutonowy „Diabeł”, który był razem z 14-15-letnim chłopcem może synem;
3. Sierżant „Szeff”, który w jednym z nalotów sztukasów został bardzo ciężko ranny;
4. Młody chłopak z akcentem kresowym, który był w obsłudze miotacza ognia - też został ciężko ranny;
5. Były też dwie sanitariuszki - jedna prawdopodobnie „Basia”.

Na Ratuszu byłem w akcji do ostatnich chwil.

30 sierpnia był rozkaz bezwzględnej ciszy i na sygnał rakiet opuszczenie Starówki.

Na Ratuszu sygnału takiego nie doczekaliśmy się, dowiedzieliśmy się natomiast, że oddział kpt. „Gozdawy” i inne nie przebiły się przez Ogród Saski do Śródmieścia.

Powstał u nas chaos - stanowiska nie obsadzone, zaczęliśmy zabezpieczać tylną część Ratusza. 1 lub 2 września zjawił się u nas mały oddział szturmowy celem złuzowania nas i osłony przy wycofywaniu się do kanałów. Do kanału dotarłem przy ul. Daniłowiczowskiej, względnie gdzieś w pobliżu, ponieważ główny właz przy ul. Długiej był pod ostrzałem z pl. Krasińskich. Kanał był bardzo niski, 60 cm, po krótkim czasie doszliśmy do nieco wyższego kanału i wkrótce dotarliśmy do burzowca. Z kanałów wyszedłem na ul. Warecką.

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

Ponieważ od wybuchu Powstania nie miałem żadnej wiadomości o rodzinie, pobiegłem więc na ul. Chmielną, do domu mojej matki. Niestety dom ten spłonął drugiego dnia Powstania, a matkę i siostrę znalazłem w piwnicy przy ul. Zielnej. Następnego dnia, szukając swoich kolegów z Ratusza, trafiłem do batalionu saperów „IWO” (dowództwo mieściło się na ul. Wilczej lub Hożej). Po kilku dniach z małym oddziałem wysłany zostałem na Czerniaków. Przez pl. Trzech Krzyży „YMCA” dotarliśmy na ul. Okrąg. Na ul. Okrąg w jednym z domów robiliśmy umocnienia. Po dwóch-trzech dniach wysłany zostałem z meldunkiem do dowództwa do Śródmieścia. Na Czerniaków już nie wróciłem, natomiast wysłano mnie z małą grupą w Al. Jerozolimskie 25, gdzie robiliśmy na I piętrze umocnienia i strzelnice. Tam też zostałem ranny, przerzuconym przez Niemców granatem z domu pod nr. 27.

Między drobnymi obrażeniami, wybitymi dwoma zębami, miałem mnóstwo drobnym odłamków w gałkach ocznych. Sanitariuszka odprowadziła mnie natychmiast na punkt opatrunkowy. W piwnicy przy nikłym świetle okulista powyciągała z moich gałek ocznych odłamki i obandażowała całą głowę.

Odprowadzono mnie do dowództwa, tam zezwolono na odprowadzenie mnie na ul. Żurawia, gdzie znajdowała się moja matka.

Kapitulacja zastała mnie niesprawnego przy ul. Żurawiej, skąd z grupą cywilów, prowadzony przez matkę i siostrę (ponieważ widziałem niewiele tylko jednym okiem), wyszedłem z Warszawy.

#### **Relacja Heleny Lipskiej, ps. „Monika”, sanitariuszki**

Wstąpiłam do Armii Krajowej w 1942 r. W tymże roku złożyłam przysięgę i przyjąłam pseudonim „Monika”. Przydzielona zostałam do Batalionu im. W. Łukasińskiego, jako sanitariuszka, w patrolu sanitarnym przy dowództwie batalionu. Moim szefem sanitarnym był dr Romuald Lange, ps. „Klaudiusz”, zamieszkały obecnie w Krakowie. W moim domu rodzinnym przy ul. Mokotowskiej 73 m 10 odbywały się szkolenia grupy sanitarnej i grupy wojskowej.

Poświęcając się pracy konspiracyjnej, szkoleniu i pracy zawodowej, doczekałam się godziny „W”. 1 sierpnia stawiałam się w Pałacu Mostowskich, gdzie swoją zbiórkę miało dowództwo Batalionu im. W. Łukasińskiego i jego patrol sanitarny. Długo tam nie przebywaliśmy, przenieśliśmy się do Pałacu „Pod Czterema Wiatrami” przy ul. Długiej 40. Tutaj znalazło się całe dowództwo batalionu z jego dowódcą majorem „Sienkiewiczem” (inż. Olgierd Rudnicki). Tutaj z dr. „Klaudiuszem” zaczęliśmy urządzać punkt sanitarny. Trwało to jednak parę dni, gdyż po zrzuconiu na dom bomb zapalających, musieliśmy Pałac opuścić i szukać innego miejsca. Przenieśliśmy się na ul. Barokową - tam przebywał z nami generał Bór-Komorowski oraz pułkownik

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

„Wachnowski” (Karol Ziemiński). Ponieważ Niemcy zorientowali się, że tutaj przebywa dowództwo Starówki, tak nas nękali bombardowaniem, ostrzał był tak silny, że musieliśmy i to miejsce opuścić. W ten sposób znaleźliśmy się w domu, przy ul. Miodowej 24. Tutaj przeniosło się nasze dowództwo z majorem „Sienkiewiczem”. Również tutaj urządziliśmy szpital, który miał być szpitalem naszego batalionu. Szpital przeznaczony był początkowo na 50 rannych, później przebywało więcej niż sto osób. Jedną piwnicę od strony ul. Miodowej zajął major „Sienkiewicz” ze swoim sztabem, natomiast trzy piwnice przeznaczone były na sale dla rannych, jedna na pomieszczenie dla patrolu sanitarnego z dr. „Klaudiuszem”. Na korytarzu była sala operacyjna i sala przyjęć rannych. Pomimo takich warunków, będących zaprzeczeniem higieny i antyseptyki, robiono ciężkie operacje i ratowano rannych. Byliśmy bardzo szczęśliwi, że możemy w taki sposób pomóc tym biednym ludziom, rannym na barykadach, na ulicach, w domach Starówki. Jako sanitariuszka pełniłam funkcję „siostry” w szpitalu, pełniąc normalnie w nim swoje dyżury (nieraz całodienne i całonocne), ale na tym się moja praca nie kończyła, gdyż w czasie nasilenia walk na Starówce cała służba sanitarna zmuszona była, pracę swoją przenosić na barykady i na ulice. Rannych, z dnia na dzień, przybywało, brak było lekarstw, opatrunków. Dlatego dr „Klaudiusz” niejednokrotnie wysyłał mnie do innych szpitali, z lekarstwami, zastrzykami i opatrunkami. Ponadto chodziłam na akcje: ratowania rannych po wybuchu czołgu, po zawaleniu się Pasażu Simonsa, gdzie pod gruzami znalazło śmierć wielu żołnierzy z Batalionu „Chrobry I”. Byłam jednocześnie łączniczką, pomiędzy poszczególnymi patrolami sanitarnymi a ich szefem dr. „Klaudiuszem” - stąd bywałam w różnych punktach Starówki, jak Bank Polski (kompania „Zdana”). Szpital Maltański i wiele, wiele innych punktów.

30 sierpnia, kiedy Starówkę opuszczały oddziały wojska, zostałam w swoim szpitalu, przy ul. Miodowej 24, z rannymi. Byłam szczęśliwa, że zostałam, tutaj byłam potrzebna, nie myślałam o tym, jak bardzo narażam swoje życie - Starówka była pusta, lecz wkrótce weszły na nią oddziały niemieckie. Zaczęło się teraz prawdziwe piekło na ziemi.

Na strach i lęk nie było czasu - rannych trzeba było przygotować do przyjęcia Niemców, a rannych było wielu - przeważnie ciężko rannych, nie mogących się samodzielnie poruszać. Szpital został opróżniony ze wszystkiego, co mogłoby wskazywać na przebywanie w nim żołnierzy AK. Zabrałyśmy wszystkim rannym dokumenty wojskowe oraz broń. Jednym z rannych był Niemiec z Wehrmachtu - trudno o nim tutaj nie wspomnieć, gdyż wiele mu zawdzięczamy. Widział on nasze przygotowania, a jednak swoim kolegom, po ich wejściu, powiedział, że to jest szpital cywilny i nie widział w nim „bandytów”.

To dawało nam minimalną szansę uratowania życia. Niemcy na Starówce szaleli - rozprawiali się ze wszystkimi - mordowali, podpalali szpitale. W tej sytuacji, nie mogliśmy liczyć na nic innego jak tylko na ten sam los.

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

Chcieliśmy godnie przywitać Niemców - bez strachu i obawy o życie i chyba nam się to udało. Dokumenty świadczące o przynależności do Armii Krajowej oraz broń wyrzuciliśmy do zawalonej piwnicy, gdzie zginął nasz sztab. Było to dobre miejsce, gdyż pod gruzami były jeszcze ciała i roznosił się taki zapach, że miejsce z daleka się omijało. Całą noc z 31 sierpnia na 1 września i cały dzień czekaliśmy na wkroczenie Niemców do naszego szpitala - był to czas oczekiwania - chyba najcięższy w naszym życiu. Co pewien czas dawano nam znać, co się dzieje na zewnątrz, a więc mieliśmy rozeznanie, co robią Niemcy - staraliśmy się nie mówić rannym prawdy, ażeby uniknąć paniki, która groziła w każdej chwili. Nerwy napięte do ostatnich granic mogły spowodować sytuację, która w skutkach mogłaby być dla nas katastrofą. Pamiętam jak dziś, że nawet śpiewaliśmy, ażeby skrócić czas i odwrócić myśli od najgorszego. Dlatego też swoją służbę spełnialiśmy, tego dnia, jak gdyby nic się nie stało - normalnie jak każdego poprzedniego dnia. Tylko spokój i rozwaga mogła nas uratować. Zdawałyśmy sobie sprawę, że cały ciężar odpowiedzialności za życie tych rannych, spoczywa na nas, kilku młodych sanitariuszkach z Batalionu im. W. Łukasińskiego, które zdecydowały się zostać przy rannych na Starym Mieście.

Było to 2 września - ten dzień będę pamiętała dobrze do końca życia. Między godz. 11.00 a 12.00 usłyszałyśmy pierwsze kroki - dochodziły one z parteru - Niemcy już byli w holu domu przy ul. Miodowej 24. Za pierwszymi krokami usłyszałyśmy następne, dużo ich było - ciężkie buty żołnierskie odbijały się echem po pustym na górze domu. Teraz dzieliło nas tylko pół piętra od Niemców. Po schodach w dół, schodzili wolno i niepewnie, z wyciągniętymi karabinami. Zeszli na korytarz piwniczny z okrzykami „Hände hoch” - ręce do góry - nie wiem, ilu ich było, ale bardzo dużo. Siedziałyśmy przy rannych - wyrzucili nas okrzykiem „raus” do korytarza. Tam ustawili pod ścianą, stale trzymając wymierzone w nas karabiny. Umiałam mówić po niemiecku, więc się odezwałam: „tam jest ranny Niemiec” - na chwilę odwróciło to ich uwagę - gdzie? spytali - pokazałam im pryczę, na której leżał. Teraz zaczęła się ich rozmowa z rannym - z tym, że pozostali Niemcy stale trzymali nas pod ścianą. „Nasz” ranny Niemiec tłumaczył im, że jesteśmy cywilnym szpitalem, że on nie widział tutaj „bandytów” i błagał ich, ażeby nam siostronom nic nie zrobili - trzy razy po niego przychodziło SS i nie chciał, ażeby go zabrali, dopóki nie obiecali, że nic złego nam nie zrobią. To było wielkie szczęście w tej naszej tragedii. Jeszcze jak go wynosili, odwrócił się do mnie i powiedział mi cały przebieg rozmowy i uspokajał, ażebyśmy się nie bały, bo mu obiecano nasze życie. Na noszach w korytarzu leżał ranny, przyniesiony w ostatniej chwili, przed wejściem Niemców - był ubrany w panterkę. Zabito go na miejscu. Następne minuty, po stwierdzeniu, że w piwnicy prócz ciężko rannych i młodych kobiet nie ma nikogo, nabrali odwagi i zaczęli się dobrze „czuć”. Teraz już zaczęli przeglądać piwnice, pytali: gdzie wódka? Całe szczęście, że jej nie było.

#### **4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2**

Pozwolono nam wynieść rannych. Jak mogło pięć sanitariuszek wynieść z 50 rannych? Miałyśmy czas ograniczony - zaczęłyśmy uwijać się jak w ukropie. Pomijając fakt, że wszystkie byłyśmy chore i słaniałyśmy się na nogach - ja przechodziłam w tym czasie chorobę żołądka i była obawa, że zaraziłam się czerwonką od rannych, reszta towarzyszek w nielepszym stanie, to jednak zdobyłyśmy się na nadludzki wysiłek i na własnych barkach wyniosłyśmy po kolei rannych na ul. Miodową, a potem na pl. Krasińskich. Jak musiałyśmy tragicznie wyglądać, kiedy Niemcy stojący na ul. Miodowej naprzeciwko domu pod numerem 24, przy barykadzie, mieli lzy w oczach. Jeden z nich zwrócił się do mnie, że mi pomoże. Odrzuciłam jego pomoc, moja duma na to mi nie pozwalała. W tym wypadku byłam nieostrożna. Niemcy za okazywaną „butę” rozstrzeliwali na miejscu. Oni myśleli, że znaleźli nieszczęśliwych, którzy będą ich prosić o życie, a tutaj zobaczyli grupę ludzi jawnie nimi pogardzających. Po rannych wracałyśmy kilkakrotnie. Kiedy chyba po raz ostatni przyszłam do piwnicy, ażeby zabrać kolegę o pseudonimie „Bochenek” i nachyliłam się nad nim (wyczołgał się ze swojego sieniaka, ażeby łatwiej mi było go zabrać) Niemiec stojący koło mnie, oddał strzał i zabił go. Resztę rannych, których nie zdążyłyśmy wynieść, spotkał ten sam los.

[Autorka relacji została następnie wraz z kolumną rannych doprowadzona do kościoła św. Wojciecha na Woli. Po pobycie w „dulagu” pruszkowskim uciekła wraz z trzema koleżankami z transportu, kierowanego w głąb Rzeszy - red.].

#### **Relacja kaprała z cenzusem Bogumiła Dąbrowskiego, ps. „War”**

Do akcji przystąpiłem drugiego dnia Powstania, przed południem. Zawiadomienie w związku z godziną „W” nie mogło dotrzeć do mnie na czas, gdyż od momentu aresztowania mojego ojca śp. Edmunda Dąbrowskiego 9 grudnia 1943 r. - który po pobycie na Pawiaku został rozstrzelany 21 grudnia 1943 r. - nie miałem kontaktu z kolegami i nie pojawiałem się w mieszkaniu przy ul. Nowiniarskiej 4, gdzie pozostała moja matka i siostry.

Na Starówkę dotarłem z ul. Wolskiej 34, gdzie pracowałem w prywatnym Zakładzie Mechanicznym, około godz. 18.00, już po rozpoczęciu Powstania. Pierwszą noc i dzień Powstania przebyłem u matki w ww. mieszkaniu, a faktycznie przy budowie barykady na ul. Miodowej przy ul. Długiej oraz przy przebijaniu przejść przez piwnice i umacnianiu przygotowań OPL na strychach tejże posesji przy ul. Nowiniarskiej 4, którą to akcją praktycznie kierowałem. W drugim dniu Powstania zetknąłem się - w sposób trochę przypadkowy (dlatego „trochę”, że sam szukałem właściwego przystąpienia do akcji) - z zastępcą dowódcy kompanii „Wkra” por. Stanisławem Potera-

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

skim („Szczepańskim”) i por. Zygmuntem Morawskim, który kierował do-  
rązną akcją części plutonu na pl. Krasińskich przy ul. Długiej. Po zameldo-  
waniu się i podaniu moich personaliów zostałem przyjęty w skład kompanii.  
Okazało się wkrótce, że jednym z zastępców dowódcy jest por. Kazimierz

Biedakowski, ps. „Dąb”, z którym byłem zaprzyjaźniony jeszcze od czasów  
gimnazjalnych (Gimnazjum im. ks. Józefa Poniatowskiego). Utrzymywali-  
śmy też kontakt w czasie okupacji i znał on w podstawowym zarysie zarówno  
moją sytuację osobistą, jak i pracę konspiracyjną.

Wiele faktów z okresu Starówki uległo niestety w mej pamięci nie tyle  
całkowitemu zatarciu, ile zniekształceniom, różnym skojarzeniom, powodu-  
jącym nieprawidłowe ustawienie w czasie. Przekonałem się o tym, porów-  
nując po wojnie własne rzeczywiste i zniekształcone wspomnienia z faktami  
historycznymi, a także z różnymi szczegółami, przypominanymi sobie w  
czasie rozmów i dyskusji - głównie chodzi o wspomnianego już „Dęba” -  
Kazimierza Biedakowskiego oraz Stanisława Grądzkiego, Tadeusza Świąt-  
kowskiego, ps. „Borsuk”, a także kpr. Ludwika Szklarskiego z II plutonu,  
który został lekko ranny na Starówce i do Śródmieścia nie poszedł; przeżył  
jednak, spotkałem go kilkakrotnie w Warszawie, ale ze Środowiskiem kon-  
taktu nie nawiązałem.

Spotkałem się także - co już do kroniki kompanii niestety nie wniesie  
nowych szczegółów - z por. Zygmuntem Morawskim, a nawet dwukrotnie z  
dowódcą kompanii „Wkra” por. Stanisławem Poterałskim, ps. „Szczepański”.  
Raz było to we Wrocławiu, raz w Warszawie. O tym zacieraniu się i znie-  
kształceniach w mej pamięci wielu fragmentów przeżyć na Starówce, a na-  
wet tego, co wielokrotnie później przeżywało się w snach - piszę nie po to, by  
ułatwić sobie niniejszą relację, ale by wyjaśnić, że sam muszę podchodzić  
krytycznie do swych wspomnień. Już z początkowych dni nie mogę zupełnie  
prawidłowo zestawić faktów, np. nie pamiętam dokładnie miejsca, gdzie  
nocowałem razem z drużyną przez pierwsze 2 dni, czy było to już przy ul.  
Długiej 11, czy też raczej przy ul. Miodowej w pobliżu ul. Długiej po stronie  
parzystej. Nie umiem też sobie wytłumaczyć swego udziału w akcji na  
omawiany szpital niemiecki przy ul. Barokowej, która to akcja - jak wiadomo  
- nie była zorganizowana przez naszą kompanię, a jednak pamiętam natarcie  
nie od strony ul. Barokowej, lecz od pl. Krasińskich i ogrodu, oraz to, że  
zabrałem od kolegi granat niemiecki, do rzucania którego zabierał się  
nieudolnie i rzuciłem go sam. Zresztą szpital został zdobyty, zanim się tam  
dostaliśmy. Przypominam sobie, jak zaczęli go opuszczać Niemcy, zresztą nie  
sami. Tak samo zupełnie niedokładne są moje wspomnienia z ataku na  
Zamek.

Pamiętam, że biegliśmy ul. Miodową w kierunku pl. Zamkowego, że bar-  
dzo lał deszcz i że kiedy zatrzymaliśmy się od strony ulic Senatorskiej -  
Podwale, u wylotu na plac wśród odgłosów walki zobaczyliśmy wkrótce na

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

wieży zatkniętą flagę narodową - Zamek został już zdobyty, chyba przez oddział mjr. „Roga”.

Pamiętam dość uroczyste zbiórki, jakie mieliśmy w pierwszych dniach Powstania przy ul. Długiej 38 (była siedziba Arbeitsamtu) po południu. Chyba też odbieraliśmy tam jakieś „sorty i sprzęt”. Najdokładniej jednak pamiętam z tego okresu odbiór zrzutów na pl. Krasińskich nocą chyba 7 lub 8 sierpnia, kiedy po bardzo silnym ostrzale niemieckim, m.in. po salwach z moździerzy minowych zestrzelono samolot, który spadł na ul. Miodową, kilkadziesiąt metrów od ul. Długiej - była tam w pobliżu barykada, której podstawą był m.in. przewrócony tramwaj. Śmigło - trój skrzydłowe - leżało później daleko od tego miejsca, na podwórzu w pobliżu kościoła Garnizonowego.

Samolot gwałtownie płonął, zanim tam dobiegliśmy, niewiele było do zbierania. Nie chcieliśmy początkowo wierzyć, że ocalało dwóch pilotów - zresztą okropnie poparzonych - ale później okazało się to prawdą.

9 (?) sierpnia przed południem zostałem ranny w twarz i szyję odpryskami pocisku z działka czołgowego u wylotu ul. Daniłowiczowskiej na pl. Teatralny (wschodnie skrzydło Pałacu Blanca) - były tam podcienia i niewielka barykada.

Niemcy w nocy opuścili posterunek po przeciwnej stronie ulicy - róg ulic Senatorskiej i ul. Focha. Pozostawili sprzęt - nie pamiętam - małe działko czy raczej ckm. Na polecenie dowódcy, mając za punkt wyjścia wspomnianą barykadę, próbowano ściągnąć ten ckm. Nie pamiętam, czy z samego rana - jak mi się wydaje - był tam osobiście por. „Szczepański”, ale przez cały czas akcją tą dowodził por. Zygmunt Morawski. Dwóch powstańców - pamiętam „Kruka” (został za to później przedstawiony do Krzyża Walecznych), podczołgało się w pobliże ckm-u i zarzuciło sznur, którym później wspólnie przyciągnęliśmy ten obiekt. Niestety, jeśli dobrze pamiętam, na nic się nie przydał - miał wyjęty zamek. Ciągłe słychać było z daleka strzały w Teatrze Wielkim oraz krzyki i jęki ludności cywilnej.

Natomiast w trakcie ściągnięcia ckm-u około godz. 10.00 ogromnie wzmógł się ostrzał naszej barykady. W pewnej chwili, po salwie z czołgu, którego nie zauważyliśmy - bo podjechał z boku (od strony zachodniej) zakotłowało się wokół nas, przesłoniły wszystko kłęby dymu i kurzu, wokół gwizdały pociski i osypywał się tynk i gruz. Byłem na wpół oślepiony, poczułem uderzenie w twarz i usłyszałem okrzyk stojącego obok por. Morawskiego, który w chwilę później zaczął się wycofywać, pociągnawszy mnie za ramię. Ale nie wszyscy się poderwali. Nie bardzo uświadamiam sobie, co się z nimi stało. Pamiętam jeszcze „Cichego”. Nadal niewiele widziałem, krwawiła mi twarz, nie wiedząc o tym, początkowo rozmazywałem jeszcze krew i kurz, co pogarszało możliwość widzenia. Por. Morawski przebiegł jeszcze może kilkadziesiąt metrów, utykał coraz bardziej, aż upadł. Co do mnie, zacząłem się krztusić i dusić, nie wiem, jak mnie stamtąd wyprowadzono - bo raczej nie niesiono,



#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

stan innych kolegów był gorszy, w tym por. Morawskiego - jak się później okazało - był bardzo poważnie ranny w nogę. Mnie spuchła twarz, szyja i gardło, nie mogłem jeść, pić, oddech też miałem utrudniony - nie odniosłem poważnego zranienia, ale na najbliższe dni byłem wyłączony z akcji. Po południu prześwietlono mi twarz i głowę w Szpitalu. Jana Bożego, który zresztą był ostrzeliwany z samolotów i częściowo płonął. Odłamków mi nie wyjęto, były bardzo niewielkie, ale naruszyły nerwy twarzy. Części jej nie czułem jeszcze podczas pobytu w niewoli i przez pewien czas później. Opuchlizna zaczęła ustępować po około tygodniu, zacząłem powoli przyjmować pokarmy. Ale też w tych dniach, gdy byłem unieruchomiony, zginęła większa część plutonu, razem z pchor. „Hanką” („Chanek”) - wybrali się na akcję przeciw czołgom dla zdobycia broni na Krakowskie Przedmieście i nikt nie powrócił. O tym, że zginęli opowiadano później w obozie. Ale przypominam sobie, że gdy już później, w czasie pobytu w Śródmieściu, do tego wydarzenia wracano, otrzymałem polecenie udania się z jakąś wiadomością i drobiazgami czy dokumentami - które zapewne zostały na kwaterze - do miejsca zamieszkania chyba pchor. „Hanki” - wiem, że chodziłem z tym na ul. Ks. Skorupki i że przekazałem to jakiejś starszej kobiecie, nie umiem obecnie podać więcej szczegółów.

Pamiętam fragmenty walk na barykadach w rejonie pl. Teatralnego, w pobliżu Ratusza i kaplicy ss. Kanoniczek. Nie pamiętam dokładniejszych dat pobytu na barykadzie Leszno. Byłem tam dwukrotnie. Raz dowodził ppor. „Zelski”, raz por. „Nałęcz”. Jeśli pamiętam, byli tam też wtedy: kpr. Janek „Wilk”, Tadek „Borsuk”, „Cichy” i inni. W dniach i godzinach, w których tam byłem poza dość gwałtownym ostrzałem i bardzo napiętą czujnością nie było poważniejszych działań, natomiast duży ruch był tuż obok, w pobliżu Arsenалу, gdzie trwały intensywne przygotowania do akcji w odciętej placówce Pałacu Mostowskich. Z tego rejonu przypominam sobie też popołudnie przy barykadzie z worków z solą (min.) u wylotu Pasażu Simonsa. W pewnej chwili musieliśmy szybko schronić się na tyły dużego budynku przy tym Pasażu, wobec pojawienia się na otwartej przestrzeni „Goliata”, ponieważ nie było możliwe odcięcie go od sterującego czołgu przez zniszczenie kabli. Akcją dowodził wówczas chyba ppor. „Zelski”. Zresztą „Goliat” wtedy nie wybuchł, zatrzymał się i bodajże został zawrócony przez samych Niemców. Natomiast gmach, o którym mowa i tak wkrótce został zburzony. Z tego samego okresu, jako duże przeżycie, przypominam sobie ważny i smutny dla kompanii moment, jakim była śmierć pchor. „Żelskiego” (Ziółkowski) i jego uroczysty pogrzeb. Był on chyba ostatnim, lub jednym z ostatnich, których tak żegnano.

Z walk z tego okresu utkwił mi najbardziej w pamięci moment na barykadzie na ul. Miodowej róg ul. Senatorskiej - ostatniej w kierunku Krakowskiego Przedmieścia. Było to około południa. Na samej barykadzie nie było intensywniejszych działań, natomiast odbywał się wielogodzinny nalot bez-

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

ustannie pikujących sztukasów. Barykada i wszystko wokół się trzęsło - wydawało się, że samoloty ciągle pikują wprost na nas. W rejonie tym zburzono tego dnia wiele kamienic, min. przy Wąskim i Szerokim Dunaju - wybuchło tam wiele bomb z opóźnionym zapłonem. Z naszych stanowisk widzieliśmy wyraźnie, jak bomby spadały ze świstem - potem nic, a dopiero po minucie - dwóch następowały detonacje i waliły się domy

13 sierpnia miał miejsce znany fakt historyczny, wybuch „zdobycznego” czołgu, podstępnie pozostawionego przez Niemców. Byliśmy na kwaterze na piętrze, odpoczywając po nocnej akcji, raczej nie spaliśmy. Między innymi był z nami podoficer o pseudonimie „Czarny” - wysoki, zaczesany do góry i faktycznie o ciemnej cerze - oraz kolega, którego nazywaliśmy „Stary”, ale raczej nie był to jego pseudonim, tylko przezwisko. Był też wspomniany już kpr. „Szklarski” i „Zajac”, którego nazwiska nie pamiętam, a chyba także „Pestka”. W przeciwieństwie do wielu naszych kolegów chętnie zajmowaliśmy stanowiska bojowe w nocy. Towarzyszyły nam wówczas łuny pożarów i częsty ostrzał z moździerzy „krów”, ale nie było nalotów. Często też w nocy odzyskiwaliśmy fragmenty terenu stracone w ciągu dnia podczas silnych ataków nieprzyjaciela. Ale w ciągu dnia też raczej mało było sposobności do snu.

Leżeliśmy więc zmęczeni, gdy ktoś zawiadomił nas o zdobytym czołgu. Nie bardzo kwapiliśmy się ze wstawaniem, zwlekając się powoli z posłań znajdujących się na podłodze. Gdy byliśmy na schodach, na półpiętrze - gwałtowna eksplozja targnęła powietrzem, ściany się zatrzęsły, rzuciło nas o ścianę. Byliśmy oszołomieni, ogłuszeni i zaskoczeni, bo w tym czasie nie było nalotu ani ostrzału z ciężkich dział. Powoli zaczęliśmy schodzić dalej. Gdy znajdowaliśmy się w przejściu, w długiej sieni, prowadzącej z podwórza domu przy ul. Długiej 9 na ul. Kilińskiego, zaszedł nam drogę ślaniający się kolega - nie pomnę już kto - z urwaną dłonią. Ktoś go podtrzymał, ale on, szary i półprzytomny, tylko coś bełkotał i pozostałą ręką wskazywał za siebie. Gdy wydostaliśmy się na ulicę, pozostawiwszy dwóch kolegów przy rannym, zobaczyliśmy to, o czym dużo się już mówiło i pisało. Śwad spalonych ciał, mdlący zapach krwi, wokół masa już nie-trupów, ale wprost strzępów mięsa, stopy leżące na ziemi, a także rozprysnięte na ścianach budynków. Niektórzy z kolegów wymiotowali. Ja nie - to mi się nie zdarzało - natomiast byłem na wpół przytomny, oszołomiony, wszystko wokół wydawało się wprost mało realne, do pewnego stopnia straciłem poczucie rzeczywistości, co zresztą zdarzało się nieraz, ale wtedy trwało wyjątkowo długo. To w pewnym stopniu ułatwiło mi początkowo udział w pomocy, w zbieraniu i układaniu szczątków ludzkich, odkładaniu strzępów dowodów tożsamości, i wprost w zgarnianiu ludzkiej miazgi łopata. Ale nie mogę powiedzieć, ile czasu wytrzymałem, czy było to dwie czy trzy godziny, czy też jeszcze krócej, potem zaczęło mi się kręcić w głowie, widziałem już czerwone

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

platy, powróciłem więc na kwaterę, gdzie dano mi sporą ilość jakiejś wódki, ale i tak tylko zdrzemnąłem się trochę w półświadomości.

Nie umiałbym też powiedzieć, co robiliśmy następnego dnia, ale wkrótce, dokładnej daty nie pamiętam, chyba około 20 sierpnia zawaliło się całe skrzydło budynku naszego miejsca postoj. Był to też pamiętny dzień w życiu naszego batalionu. Znajdowałem się wówczas w piwnicy. Nie bardzo mogąc spać, wołałem pomagać zaprzyjaźnionemu radiotelegrafście, kręcąc od czasu do czasu dynamem rowerowym zasilającym stację. Usiłowaliśmy też podtrzymywać na duchu ludność cywilną, stłoczoną w piwnicy. Częściowe załamanie było raczej zrozumiałe, wielu było rannych, szerzyła się psychoza „szpiegów”, ciągle też kręcili się nieznani ludzie, a więc i takie ewentualności nie były wykluczone. W momencie uszkodzenia budynku kręciłem właśnie dynamem rowerowym. Nie słyszałem żadnej detonacji, tylko „niknięcie”. Zrobiło się ciemno od kurzu, ogłuchłem i byłem oszołomiony, ale jak się wkrótce okazało, spośród tych, co ocaleli, znajdowaliśmy się najbliżej miejsca wybuchu pocisku - chyba z ciężkiego działa kolejowego. Nic się też nie stało radiotelegrafście o pseudonimie, jeśli się nie mylę, „Wars”, tj. trochę podobnym do mojego.

Gdy tylko oprzytomnieliśmy, szybko wzięliśmy się do pomocy zasypanym, których było bardzo dużo. Niestety, już niewielu osobom udało się ocalić życie. Szczególnie nie mogę sobie dotąd darować śmierci małej 5- lub 6-letniej dziewczynki, która jeszcze żyła. Była przysypana, ale nie przywalona, bo nad nią znajdowały się drzwi, które oparły się skośnie o ścianę piwnicy. Jej matka, która na chwilę przedtem odeszła po jedzenie, wołała jeszcze do niej przez kilka minut i próbowała nam pomóc w odgrzebaniu dziecka. Niestety, odgrzebując na wyraźne żądanie matki w miejscu, które ona uważała za najodpowiedniejsze, chybiliśmy około metra może mniej i najpierw odgrzebaliśmy zwłoki sąsiadki, znajdujące się obok dziecka. Trwało to minuty, ale dziecko w międzyczasie zamilkło. Odgrzebaliśmy je w chwilę później, było jeszcze ciepłe, ale lekarz batalionowy (dr Ludwik) stwierdził zgon. Mam dotąd świadomość, mimo że wówczas próbowaliśmy zastosować sztuczne oddychanie, że gdyby w tym czasie znano metody doraźnej reanimacji, być może małą udałoby się uratować. Lekarz przypuszczał, że przyczyną śmierci nie było uduszenie, lecz atak serca wywołany trwającym przestrawieniem i ciemnością, być może nawet rozpaczą w głosie matki.

W tym okresie nasza kompania zaczęła się coraz bardziej przerzedzać, tak jak i cały batalion. Między innymi zginął sierż. „Słoń” - mój sąsiad z ul. Nowiniarskiej 4 - mieszkał tam na 2 piętrze, my na parterze. Pamiętam też śmierć sierż. „Białego”, który zginął na ul. Bielańskiej. Pamiętam go dobrze, ponieważ był doświadczonym rusznikarzem i to właśnie on po pierwszych zrzutach wyjaśnił nam „zagadkę”, dlaczego nie chcą działać obronne granaty „Milpy”. Z uśmiechem na ustach uświadomił nam, że są one bez spłonek zapalników, które zresztą wkrótce otrzymaliśmy poprzez wymianę, tylko nie

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

pamiętam już z kim, czy od oddziału mjr. „Roga” czy też od AL-owców z ulic Freta-Mostowej.

W 2-3 dni po katastrofie u nas zawalił się kompleks budynków przy ul. Nowiniarskiej 4, gdzie mieszkała moja rodzina. Ocalało tylko kilkanaście osób w części piwnicy, gdzie w początkowych godzinach Powstania wykonaliśmy liczne przebicia - wyjścia zapasowe. Wszystkie inne piwnice i klatki schodowe zostały zasypane. Ocalała m.in. moja matka i siostra, obie ranne. Od tego czasu nocowały w piwnicach naszego miejsca postoju. Natomiast w gruzach wspomnianego domu zginęło kilkadziesiąt osób. Chcąc m.in. po-grzebać naszego sąsiada wiszącego wśród gruzów głową w dół, musieliśmy mu odciąć nogę, która była przywalona belką. Inaczej nie można go było wydobyć ze zwalisk osypującego się gruzu.

Ostatnie dni sierpnia to już zbliżająca się powoli lecz nieuchronnie koń-cowa faza Starówki. Domów już nie było, ostatnie stopniowo płonęły lub wały się. Ogromna większość kolegów i koleżanek nie żyła, zacieśniał się pierścień nieprzyjaciela. Faktycznie mało kto wierzył w możliwość przeżycia jeszcze kilku dni. Snuliśmy się od wyznaczonych nam doraźnie miejsc obrony do kwater, znajdujących się już raczej w piwnicach - i z powrotem.

Okolo 27 sierpnia rozpoczęła się coraz intensywniejsza ewakuacja ran-nych kanałami. Wówczas jeszcze nie wiedzieliśmy dokładnie, jak to tam pod ziemią wygląda, ale coś niecoś słyszeliśmy od łączniczek kursujących kana-łami.

W nocy z 30 na 31 sierpnia uczestniczyłem w nieudanej próbie przebicia się formacji powstańczych do Śródmieścia. Byliśmy zgrupowani na ul. Senatorskiej przy ul. Bielańskiej. Po szturmie, a właściwie kilku skokach grup pierwszego rzutu, po których po szaleńczym ostrzale wroga nikt prawie się nie podniósł, by wycofać się lub uderzać dalej, nastąpił rozkaz odwrotu. Wycofaliśmy się w kierunku ul. Długiej, tam oddział przeczekał wiele godzin. Wieczorem, chyba okolo godz. 20.00, pozostałe resztki kompanii z dowódcami por. „Szczepańskim” i „Dębem” weszły do kanału bocznego w pobliżu Kinematografu Miejskiego. Natomiast mnie i kilku osobom, które jeszcze nie zdecydowały się na wejście do kanału por. „Szczepański” załatwił przepustkę, podpisaną przez mjr. „Tomka”. Zawierała ona także zezwolenie na przeprowadzenie kanałami mojej matki i siostry. Z powstańców, zresztą lekko rannych, znajdowali się tam jeszcze wspomniany już kpr. „Szklarski” oraz para młoda małżeńska. On miał na imię Henryk i był krawcem z zawodu, ale dalszych ich personaliów nie pamiętam.

Kiedy jednak nad ranem osoby te zobaczyły jak wygląda sytuacja w po-bliżu kanału i samo dojście do niego na ul. Długiej róg ul. Miodowej, chro-nione tylko małą zaporą i ostrzeliwane już przez Niemców, bezapelacyjnie zrezygnowały z ewakuacji tą drogą. Osoby te przeżyły Powstanie, m.in. żyje nadal moja siostra (matka zmarła w 1947 r.) oraz kpr. „Szklarski”, o spo-tkaniu z którym już wspomniałem.

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

Natomiast ja przedostałem się do kanału około godz. 9.30 - jak mi wiadomo - już po dowództwie. Wyszedłem po około 4 godzinach na Nowym Świecie w pobliżu ul. Wareckiej. Doprowadziłem się trochę do porządku i umyłem u znajomych na ul. Złotej w pobliżu ul. Sosnowej i dość szybko odnalazłem swoją jednostkę. Dowiedziałem się, że mieli ogromnie ciężką przeprawę, byli w kanale około 13 godzin i 3 osoby tam zginęły. Niemal wszyscy, łącznie z dowódcami, przeżywali chwile załamania. A zatem moje 4 godziny spędzone w kanale głównym pod ul. Miodową i Krakowskim Przedmieściem były prawie niczym, mimo że kilkadziesiąt metrów na zmianę z innymi próbowałem nieść nosze z rannym. Przedtem dziwiłem się, że tak często zmieniają się, ale okazało się, iż w tej sytuacji i w tej pozycji dłużej nie da się nieść noszy.

Po pierwszych godzinach spędzonych w kinie Palladium, kompania została rozlokowana w hotelu Royal przy ul. Chmielnej w pobliżu kina Atlantic. Okres walk w Śródmieściu, choć tak samo długi, jak na Starym Mieście, pozostawił znacznie mniej godnych wspomnienia przez całe życie przeżyć, był za to może bardziej realny, niż koszarne historie Starówki, choć i tu nie brakowało mocnych wrażeń. Początkowo zresztą nastąpiło nawet jakby pewne odprężenie, trudno było uwierzyć, że stoją jeszcze całe, nie zburzone domy, w oknach większość szyb, ba, do początków września funkcjonowało kino Palladium, oczywiście ze specjalnymi programami.

Stopniowo - jak wiadomo - i tu przeniosły się działania na większą skalę, zaczęły płonąć i walić się budynki, także blisko nas, w pobliżu pl. Napoleona, ul. Moniuszki, ul. Jasnej („Drapacz chmur”, PKO i inne), a także w rejonie ul. Chmielnej - zaczynając od Nowego Świata do Al. Jerozolimskich i ul. Marszałkowskiej.

Okolo 10 września od ciężkiego pocisku zostały częściowo zburzone dwa górne piętra naszego miejsca postoj, tj. hotelu Royal. Nie wiem, czy dlatego nie przeniosło się tam dowództwo Powstania (gen. „Monter”), co wcześniej na wół oficjalnie zapowiadano. Rejon naszych działań to ul. Chmielna w pobliżu Nowego Świata coraz bliżej ul. Brackiej, pl. Napoleona (obecnie Pl. Powstańców Warszawy), ul. Świętokrzyska, ul. Jasna. Oprócz walk na pl. Napoleona, pamiętam także odbiór zrzutów na spadochronach, a później także, i to w całej okolicy, zrzutów bez spadochronów, z kukuruźników. Kukuruźniki przed dotarciem do miejsc zrzutów wyłączały silniki, a że leciały na bardzo małej wysokości, były niemal niemożliwe do zwalczania przez niemiecką artylerię przeciwlotniczą. Zaś w nocne walki powietrzne Niemcy się nie angażowali. W Śródmieściu zrzuty te odbierali powstańcy, głównie wśród ruin getta. Nocą zapalano ognie sygnalizacyjne i czekano - ze zmiennym szczęściem. Zresztą nierzadko dość były to dziwne zrzuty, gdyż nie zawsze zabezpieczały je spadochrony, często żywność, a nawet amunicja były zrzucane w workach, bez spadochronów. Spadały „z nieba” ze świstem, przy czym duża część żywności ulegała zniszczeniu, zaś amunicja docierała prze-

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

ważnie zniekształcona i rozkalibrowana - dobrze, że przy upadku nie wybuchała, a puszki z konserwami często się zupełnie rozbiły.

Wśród zburzonych i wypalonych domów były wolne place, gdzie nocą, o określonych porach rozpalaliśmy w umówiony sposób ogniska. Samoloty często przylatywały i dokonywały zrzutu. Pamiętam, że nagle coś spadło ze świstem prawie nam na głowy, tuż obok ogniska. Padliśmy odruchowo na ziemię, myśląc, że to bomba lub pocisk, a była to torba, a właściwie duży worek z amunicją. Niestety niewiele z niej wybraliśmy, była rozkalibrowana, z pociętymi gilzami.

To samo dotyczyło amunicji do rusznic przeciwpancernych, które były bardzo dobre, ale wiele z nich też dotarło do nas z pociętymi lufami. Natomiast jeden z nocnych zrzutów w połowie września był bardzo udany. Zauważyliśmy po przelocie kukuruźnika obniżający się szybko spadochron, który zaraz zniknął wśród ruin. Dłuższe poszukiwania prowadzone przez kilkunastu kolegów nie dały początkowo rezultatu, spadochron zniknął, nie byliśmy pewni, czy to nie było jakieś złudzenie, ale zbyt wiele osób go widziało. Niemniej po dłuższym czasie zrezygnowano z poszukiwań.

Tylko my dwaj z kpr. Rajmundem Zajązkowskim, ps. „Zajac” nie daliśmy za wygraną i nadal szukaliśmy wśród ruin i gruzów. Wreszcie, prawie o świcie zobaczyliśmy nasz spadochron - trafił tu pod belki zniszczonego dachu *wypalonej* bodaj pięciopiętrowej kamienicy. Tu się przydały umiejętności taternicze. Schody były zawalone, wspinaliśmy się po różnych załomach murów, po resztkach klatki schodowej, by wreszcie, przesuwając się na belkach stalowych zniszczonego stropu, dotrzeć nad „przepaścią” do naszego spadochronu. Było warto, odnaleźliśmy kompletny niewielki granatnik w odpowiednim pojemniku, zupełnie nie zniszczony, wraz z instrukcją w języku rosyjskim. Później zorganizowano gdzieś pociski do niego, było ich 57, wiem, że się przydały, choć początkowo uważaliśmy, że to my dwaj powinniśmy naszą zdobyczą dysponować. Tego rodzaju nieporozumienia, jeśli chodzi o broń ręczną, były wśród powstańców częste, nieraz przybierały też postać niesubordynacji, lecz zajść takich na szczęście nie było wiele. Nie znam np. przebiegu zajścia między naszymi kolegami a powstańcami z innej grupy w piwnicach palącego się domu, podobno gdzieś przy ul. Jasnej.

Nie wiem, czy chodziło o broń, czy o żywność, czy może o coś innego, dość, że jednemu z uczestników dowódca zagroził dochodzeniem dyscyplinarnym. Był nim „Pestka”, który tak się tym przejął, że nie czekając na dalszy bieg wydarzeń, w najbliższych godzinach w czasie akcji na barykadzie przy ul. Chmielnej w pobliżu Nowego Świata (lub przy ul. Foksal - dobrze nie pamiętam) nacierał z takim narażeniem życia, że zginął. Po Starówce było nas w kompanii już niewielu, a że początkowo w Śródmieściu tak się nie ginęło, śmierć jego, biorąc pod uwagę okoliczności, zrobiła na nas duże wrażenie. Rozpaczająca jego siostra, łączniczka, której personaliów nie pamiętam, twierdziła, że zachowywał się, jakby specjalnie szukał śmierci. Były

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

natomiast chwile i było ich sporo, kiedy każdemu z nas można było to samo „zarzucić”, po prostu często nie dało się inaczej zachowywać, wynikało to z okoliczności, z przebiegu wypadków w danej chwili. Czasami lepszy efekt dawały niespodziane, a może nie dość przemyślane „wyczyny”, nagle wypady, skoki, dobre rzuty granatem, niż np. czekanie lub wycofywanie się nie wiadomo dokąd. W niczym to jednak nie umniejsza bohaterstwa tych, co zginęli lub zostali kalekami oraz ich prawa do pozostawania w pamięci tych, co przeżyli.

W dwa dni po zdobyciu granatnika - około południa - usadowiliśmy się z „Zającem” w kabinie nieczynnego od niedawna kina Apollo - obok hotelu Royal. Kabina była już bez dachu, co umożliwiała użycie granatnika. Stąd „wysłaliśmy” kilkanaście pocisków w kierunku baraków, gdzie Niemcy urządzili sobie kuchnie. Stały one w miejscu, gdzie kiedyś znajdował się Dworzec Główny, zniszczony w 1939 r. (tj. mniej więcej tam, gdzie obecnie jest Dworzec Śródmieście). Niemcy kwaterowali w domach po nieparzystej stronie Al. Jerozolimskich i do baraków przychodzili na posiłki. Czy przy tym ostrzale z granatnika zginęło wielu Niemców, czy przeżyli tylko sami kucharze, trudno stwierdzić. Pewne jest natomiast, że baraki i kuchnie uległy częściowemu zniszczeniu, a zatem niemiecka zupa, słynny „Eintopfgericht”, nie nadawała się do zjedzenia. Zdarzenie to zbiegło się w czasie z ostrzałem artyleryjskim i częściowym zniszczeniem naszych kwater w hotelu Royal. Nie jest do końca pewne, czy wydarzenia te były ze sobą powiązane przyczynowo, czy też zaatakowanie „Royalu” było spowodowane innymi okolicznościami, np. tym, że miała tam kwaterować część dowództwa Powstania (gen. „Monter”). „Montera” tam jednak nie było, znajdowało się „tylko” dowództwo kompanii, spośród którego nikt na szczęście nie ucierpiał.

Niezbyt wiele pożytku mieli powstańcy, jak mi wiadomo, z masowego nalotu „Liberatorów” 16 września. Było ich 45 - sam je wówczas liczyłem. Miało to miejsce w dzień, około południa. Początkowo myśleliśmy, że to desant, takie wrażenie robiły huśtające się na spadochronach pojemniki. Znajdowałem się na ul. Złotej niedaleko ul. Żelaznej. Szybko jednak okazało się, że większość zrzutu z dużej wysokości została zniesiona z wiatrem w inne rejony, poza Śródmieście.

Nie tylko akcje bojowe należały do zadań batalionu. Należały do nich również sprawy wyżywienia, zakwaterowania, zaopatrzenia itp. Ważne było też zapewnienie łączności i komunikacji, nawet z najbliższymi punktami miasta i dzielnic. Jak wiadomo, we wrześniu kompania „Wkra” stacjonowała w hotelu Royal przy ul. Chmielnej, w pobliżu ul. Marszałkowskiej. W początkach września odcinek ten był jeszcze względnie spokojny. Ale wkrótce - po opanowaniu przez Niemców Nowego Świata i ul. Wareckiej, jakiegokolwiek przechodzenie, a nawet przemykanie się przez ul. Chmielną stawało się coraz bardziej niebezpieczne, ulica była bowiem pod stałym ostrzałem. A ruch tu był stosunkowo duży - był to jakby dalszy odcinek ko-

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

munikacyjny z południową stroną miasta - od strony Al. Jerozolimskich, gdzie znajdował się znany i bardzo wykorzystywany przekop otwarty, gdyż tunelu nie można tu było wykonać.

Natomiast z uwagi na duże straty, także wśród ludności cywilnej, przedostającej się przez ul. Chmielną, dowództwo zdecydowało o rozpatrzeniu możliwości budowy tunelu od strony hotelu Royal do budynku znajdującego się po drugiej stronie ulicy. Sprawę tę dowódca kompanii „Wkra”, por. „Szczepański”, powierzył mnie. Po zapoznaniu się z możliwościami technicznymi objąłem kierownictwo robót. Do dyspozycji miałem dostarczone przez administrację plany budynku, także piwnic, ale tylko od strony hotelu. Od strony parzystej nie było innych możliwości rozeznania poza wizją lokalną. Z dokonanych prowizorycznych pomiarów wynikało, że układ piwnic nie pozwala na wykonanie przekopu prostopadle do osi ulicy, ale pod kątem około  $75^\circ$  od tej osi, tzn., że skos wynosił około  $15^\circ$ . Narzędzia, oczywiście najprostsze - szpadle, łopaty, kilofy, kubły itp. ludność okoliczną dostarczyła w dostatecznej ilości. Ale spośród narzędzi „geodezyjnych” miałem tylko taśmę pomiarową - i własny „nos”.

Natychmiast w piwnicach przebito otwory w fundamentach obu budynków, a następnie metr po metrze, a raczej centymetr po centymetrze kopano tunel. Nie było to łatwe, m.in. trzeba było bardzo uważać, by nie uszkodzić biegnących pod ziemią, a wylaniających się niespodzianie licznych przewodów - wodnych, kanalizacyjnych itp. Większość z nich nie była czynna, ale oczywiście nie były też puste. Wszyscy, którzy ochotniczo brali udział w tych pracach - głównie ludność cywilna - m.in. dwóch Żydów węgierskich cudem ocalałych z Pawiaka, pracowali bardzo ofiarnie, z pełnym poświęceniem, zmieniając się często, ponieważ praca była nad wyraz ciężka, bez należytej wentylacji i oświetlenia.

Po upływie doby pracujący z obu stron zaczęli słyszeć wzajemne stukanie, ale ciągle nie było pewności, czy istotnie znajdują się dokładnie naprzeciwko siebie. Po dalszych kilku godzinach, gdy obawy te wydawały się realne, nagle dwaj pracujący po obu stronach wpadli wprost na siebie. Dobrze, że jeden nie uszkodził oka drugiemu. Mimo skosu, pod jakim biegł tunel, trafiono wprost idealnie. Teraz pozostało już tylko poszerzenie i częściowe oszalowanie przekopów, oraz - co trudniejsze - zabezpieczenie przejść pod chodnikami, bo w tych miejscach nie było naturalnego sklepienia i pozostały one częściowo otwarte. Dopiero po upływie dwóch kolejnych nocy zabezpieczono je w ten sposób, że powstałe rowy przykryto skrzydłami starych, mocnych bram, zaś z wierzchu pokryto i zamaskowano całość ziemią z wykopów.

Musieli się zdziwić i rozczarować snajperzy niemieccy, gdy im nagle zabrakło przebiegających przez ulicę ruchomych celów, do których poprzednio strzelali jak do kaczek, urządzając sobie formalnie polowania.



#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

Tunel - oświetlany min. żarówkami zasilanymi z akumulatorów i cudem ocalałych baterii - służył bardzo dobrze do końca Powstania. W ten sposób wykonane prace przyczyniły się do ocalenia życia wielu ludziom.

Stopniowo Niemcy byli coraz bliżej, dotarli już do ul. Brackiej. Inne rejon-y też zaczęły opanowywać. Mimo to do ostatniej chwili nie wierzyliśmy w upadek Powstania, choć już od dłuższego czasu jedliśmy raz dziennie „zupę” z owsa i jęczmienia pochodzącego ze składów Haberbuscha, rzadziej, a właściwie bardzo rzadko jakieś placki smażone na podejrzanych olejach oraz piliśmy gorzką kawę zbożową. Raz poczęstowano nas kotletami, gwarantując że to nie kot, a zatem na pewno były z psa.

Ostatnie dni to jeszcze gwałtowniejsze i bardziej wściekłe ataki nieprzyjaciela. Potem naga cisza, ludzie wylegli na ulicę. Zawieszenie broni i pogłoski o rychłej kapitulacji. Otrzymaliśmy po 10 dolarów żołdu oraz wskazówki i rady dowódcy dla tych, którzy w razie czego próbowaliby dostać się za Wisłę. Ale dotarcie do niej, nie mówiąc już o przeprawie, wydawało się mało możliwe. Potem wieść o tym, że podpisano kapitulację i że mamy iść do niewoli.

Początkowo kilku z nas próbowało szukać tymczasowego schronienia, by nie iść do niewoli. Przecież to tylko parę dni, może tydzień. Znaleźliśmy nawet kilka pozornie dobrych schowków, min. w podziemiach zburzonego gmachu PKO, gdzie ocalała resztką pomieszczeń szpitala powstańczego. Drugie znajdowało się w spalonym domu przy ul. Kruczej, gdzie poprzednio mieszkali moi znajomi. Dowódca oświadczył, że nie może zmuszać żołnierzy do pójścia do niewoli. Byli i tacy, którzy uważali, że może lepiej będzie wyjść z ludnością cywilną. Kiedy przyszło do wymarszu z miejsca postoju, zostało nas tylko dwóch - ja i „Wilk”. Zbiegłem do naszego tunelu i zostawiłem tam, przykrywając ziemią, pół kubła amunicji „dziewiątek” („pestek”) do pistoletów maszynowych, a także w butelce kopię zawiadomienia z gestapo o śmierci mojego ojca. Ale kiedy powróciłem na górę okazało się, że nikogo nie ma. Zostałem zupełnie sam i wtedy zrobiło się tak pusto, że narzuciłem na siebie kurtkę, złapałem chlebak z odrobiną żywności i kilkoma kostkami cukru, które mi zostawiła jedna z łączniczek (Wanda Kurzewska) i popędziłem za oddziałem, nie bardzo wierząc, że go dogonię.

Kolumny posuwały się jednak bardzo powoli. Dowódcę z kompanii dopadłem tuż przed posterunkami niemieckimi, Od tego miejsca na ul. Marszałkowskiej bodajże przy ul. Sienkiewicza przemaszerowaliśmy najpierw w kierunku pl. Grzybowskiego, później ul. Chłodną do pl. Kercelego, gdzie zdawano broń, której powstańcy mieli bardzo dużo, aż się Niemcy dziwili. Oczywiście zdawano ją zdekompletowaną, tak że do użytku się nie nadawała. Potem szliśmy ul. Wolską i szosą do Fabryki Kabli w Ożarowie. Po drodze ludność cywilna rzucała nam papierosy i jarzyny, złapałem kilka cebul, która mi się później bardzo przydała. Z fabryki Kabli, chyba po 2 dobach spędzonych na betonie i jakiś brudnych łachach, skąd potem kilku kolegów wyszło umazanych kolorowymi barwnikami (mieliśmy w środku bardzo

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

ciemno) załadowano nas po 60-70 do zakratowanych wagonów towarowych i transport ruszył. Nie wiem już w jakim czasie, po nieskończonej ilości postojów, zatrzymano transport definitywnie, i zaczęto gwałtownie wyładowywać, popychając nas kolbami, wrzeszcząc i grożąc. Był to obóz VIII F lub B - blachę później zgubiłem - Lamsdorf (obecnie Łambinowice). Obóz to już osobne dzieje, których tu szczegółowo nie będę opisywać.

Otrzymałem nr 104806, przypadkowo nie z tej samej setki co większość kolegów, choć byłem razem z nimi, ponieważ w czasie numerowania wysłano kilku z nas do przenoszenia jakiś rzeczy. Przez 3 noce nie spaliśmy, ponieważ najpierw zaofiarowano nam ziemianki, które okazały się nie używanymi latrynami. Mieliśmy za to satysfakcję, zderzyły się 2 myśliwce, a w nocy był ciężki nalot na jakieś miasto na Zachodzie. Po kilku dniach przeniesiono nas do baraków, gdzie było trochę starej, zapchlonej słomy, którą wyrzuciliśmy, wołąc twarde prycze, na ścianach zaś napisy rosyjskie. Jeńcy z tych baraków być może już nie żyli. Kurhany - wzgórza niedaleko nas okazały się później zbiorowymi mogiłami.

Obok nas, za drutami w kolejnym sektorze umieszczono kobiety. W Lamsdorf byłem około miesiąca. Pamiętam, że w międzyczasie zabrano oficerów, m.in. por. „Szczepańskiego” (był chyba w Woldenbergu). Mnie wywieziono najpierw do Soran koło Żagania (Żary), później w lutym poszedłem pieszo do obozu III A - Luchenwalde, około 60 km na południe od Berlina, stamtąd do Ludwigsfelde tuż koło Berlina. W ostatnim obozie było już nas tylko 5 powstańców: T. Kurbat, W. Trzchowska, M. Wróblewski i ja. Nazwiska piątego nie pamiętam. Byli z Woli. Już w Soran znalazłem się bez kolegów z „Wkry”, którzy w większości („Janek”, „Wilk”, Tadek Świątkowski, ps. „Borsuk”, „Cichy”, „Zajac”) pozostali w Lamsdorf.

Jak wspomniałem, otrzymałem numer nie z tej samej setki i znalazłem się wśród powstańców z innych formacji. Pochodzili głównie z Woli i mieli pseudonimy zaczynające się przeważnie na „S” i pochodzące od nazw ptaków - „Słowik”, „Szczygieł”, „Szpak” itp. Oczywiście były i inne pseudonimy, a może przydomki „Rudy”, „Chopin”. Z nazwisk pamiętam Rutkowskiego, Baczewskiego, Budzyńskiego. Ostatnie dni wojny zastały nas, tzn. mnie i 5 powstańców w obozie „Ludwigsfelde” tuż pod Berlinem, gdzie byli min. oficerowie polscy zagarnięci z obozów internowania na Węgrzech. Obóz był mały. Po jego oswobodzeniu, 2 lub 3 maja rano, najpierw na parę dni zainstalowaliśmy się w willi jakiegoś Niemca. Mieliśmy broń, ponieważ na kilkanaście godzin przed oswobodzeniem obozu dobraliśmy się w nocy, w czasie nalotu do magazynu niemieckiego. Broń ukryliśmy w ziemiance mającej służyć nam za schron, do którego jednak nie schodziliśmy w czasie żadnego nalotu.

Po kilku dniach na zabranych Niemcom rowerach ruszyliśmy najpierw w kierunku obozu Luchenwalde. Panował tam wielki bałagan. Różne narodowości z całego świata czekały na transport. Wielu Polaków zarówno z

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

RAF-u, jak i innych formacji angielskich oraz tych, którzy w obcych formacjach nie służyli, wsiadło na samochody zabierające ich na Zachód.

My mieliśmy nowe mundury amerykańskie, bez napisów. Wydali nam je Niemcy na kilka dni przed oswoobodzeniem obozu. Nie angażowaliśmy się jednak gdzie indziej, tylko wsiadliśmy znowu na rowery i nie czekając na oficjalne transporty, prawie nielegalnie wyruszyliśmy do Polski przez Zieloną Górę, Sulechów. W Sulechowie oddaliśmy broń w jednostce wojskowej i ruszyliśmy do Polski. Jechaliśmy około 2 tygodni.

#### **Relacja ppor. Józefa Kamińskiego, ps. „Jastrzębiec”**

Miałem nieukończone siedemnaście lat, gdy wybuchła II wojna światowa. Już 1 września 1939 r. wstąpiłem do formujących się wojskowych oddziałów ochotniczych w Grudziądzu, które weszły w skład 64 pułku piechoty, który wchodził w skład 16 Dywizji Pomorskiej, będącej w składzie Armii „Pomorze”, dowodzonej przez gen. Władysława Bortnowskiego. Brałem bezpośredni udział w walkach o Kutno i w forsowaniu rzeki Bzury. Celem forsowania Bzury było przedarcie się przez Puszcę Kampinoską na pomoc obleżonej Warszawie.

20 września 1939 r. w rejonie między Sannikami a Giżyckiem, dostałem się do niewoli niemieckiej wraz z wielotysięczną rzeszą polskich żołnierzy. Jeżeli mnie pamięć nie myli - było to dokładnie pod wsią Biała Góra. Byłem w stopniu szeregowca. Niemcy utworzyli olbrzymią kolumnę i pieszo gnali nas do Sochaczewa. Po kilku dniach pobytu pod gołym niebem, na placu ogrodzonym kolczastymi drutami, wyprowadzili nas pod eskortą do Żyrardowa. Po następnych kilku dniach wyszliśmy olbrzymią kolumną do Skiernewic, gdzie umieszczono nas w koszarach wojskowych. Około 2-3 października wywieziono wszystkich w bydłowych wagonach z dworca skiernewickiego do Niemiec. Jechaliśmy przez Łódź, Wrocław, Poczdam, Berlin do Magdeburga, do Stammlageru XI A Altengrabow w pobliżu Taugerhiitte. Jako niewolnik otrzymałem numer 12085 (jako dowód - posiadam listy i kartki oryginalne pisane z niewoli do rodziny oraz fotografie).

20 grudnia 1939 r. przy pomocy starszych kolegów i przyjaciół udało mi się szczęśliwie uciec. Początkowo ukrywałem się w rodzinnym domu w Grudziądzu, azył ten jednak był zbyt niebezpieczny, ponieważ moja rodzina była dość znana na tym terenie. W pierwszych dniach stycznia 1940 r. udałem się przez „zieloną granicę” do Warszawy i zamieszkałem u brata w domu akademickim przy ul. Tamka. Brat mój Antoni Kamiński, ps. „Sulima”, student IV roku filologii klasycznej Uniwersytetu Warszawskiego, brał udział w obronie Warszawy, w ochotniczym hufcu akademickim. Po kapitulacji nawiązał kontakt z ludźmi, którzy nie myśleli o złożeniu broni - ale zeszli do podziemia, czekając na utworzenie się nowych struktur organizacyjnych odradzającego się Wojska Polskiego. W takim też duchu mój starszy brat

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

wychowywał mnie, opiekując się po ucieczce z niewoli. W domu akademickim mieszkaliśmy do marca lub kwietnia (dokładnej daty nie pamiętam), kiedy to nastąpiły aresztowania przez gestapo. Brata i mnie w porę uprzedzono i zdążyliśmy opuścić gmach akademika. Brat pozostał w Warszawie, z uwagi na powiązania z konspiracją, ja natomiast wyjechałem, do siostry przebywającej w Trzeszczanach pod Hrubieszowem

Niedaleko osady Trzeszczany była wieś i majątek ziemski pani Anny Tuszowskiej, u której otrzymałem pracę w charakterze praktykanta ogrodniczego. W rezydencji pani Tuszowskiej przebywało dużo uciekinierów z Poznańskiego i Warszawskiego, ludzi, którzy potracili dobytek, lub takich, którzy szukali schronienia przed represjami ze strony okupanta hitlerowskiego. Wśród nich było dużo osób z wyższym wykształceniem, ludzi świątliwych i skorych do działania. Prowadzili oni tajne nauczanie z zakresu szkoły średniej. Ja osobiście korzystałem z tych możliwości, uzupełniając wiadomości z III i IV klasy gimnazjalnej. Nie ograniczali się tylko do roli nauczycieli i rezydentów. Wśród nich było dużo osób zatrudnionych w różnych działach gospodarstwa. Pracę swoją spełniali bardzo sumiennie. Byli to ludzie znający się na gospodarce leśnej (szkółki, higiena leśna przecinki), zarybianiu i hodowli karpia, utrzymywaniu czystości stawów hodowlanych, drobiarstwie, hodowli krów, rolnictwie (uprawa buraków cukrowych, pastewnych, pszenicy, plantacje konopi, lnu itp.).

Przebywając w tym majątku dłużej, można było zorientować się, że byli to ludzie z zewnątrz (niemiejscowi). Niektórzy wyjeżdżali i powracali - napływali też nowi. Tak się działo we wszystkich okolicznych majątkach. Z biegiem czasu nawiązywały się serdeczne znajomości, przyjaźnie i budziło się wzajemne zaufanie. Coraz częściej rozmowy schodziły na sprawy polityczne, okupacyjne i w ogóle dotyczące Polski i Polaków. Wśród tych rezydentów byli dawni wojskowi, wyczuwało się to zarówno w rozmowach, jak i w ich sposobie bycia. Po około pół roku pobytu, tj. w sierpniu i w początkach września 1940 r. komplety tajnego nauczania zamieniły się już w jawne rozmowy, a następnie deklaracje na rzecz pracy konspiracyjnej i szkolenia bojowego. Broni było dużo wśród chłopów, a także zakopanej w lasach, którą dostawali gajowi z majątków.

W Chyżowicach przebywałem od maja 1940 r. do końca 1941 r. W tym czasie oprócz pracy, jaką wykonywałem na co dzień w ogrodnictwie przy majątkowym, wyznaczono mi rolę nawiązywania kontaktów z młodzieżą szkolną z pobliskich wiosek i osad, rozpoznawania nastrojów i ustalania wniosków o ewentualnej współpracy. Jak zdołałem zapamiętać, były to następujące miejscowości: Trzeszczany, Podhorce, Nieledeń, Uchanie, Raciborowice, Grabowice, Koniałyce, a nawet majątek hr. Potockiego w Bończy koło Kraśniczyna w pow. krasnostawskim. Jak się zorientowałem prawie wszędzie młodzież była jednomyślna, patriotycznie nastawiona i przejawiała chęć do walki.

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

Z monotonii okupacyjnej wyrwała nas napaść Niemców na ZSRR 22 czerwca 1941 r. Nie było to dla nas aż tak wielkim zaskoczeniem, ponieważ od kilku tygodni wojska niemieckie i ich związki taktyczne stacjonowały w pobliżu granicy i ich liczebność nasilała się coraz bardziej. Stacjonowali we wszystkich miejscowościach w zasięgu naszych obserwacji, a z rozmów z żołnierzami wydedukowaliśmy, że szykują się na „Iwana”.

W połowie 1941 r. coraz częściej przebywałem poza macierzystym majątkiem, wysyłany z listami polecającymi do różnych miejscowości w pobliżu i w obrębie kilkunastu a nawet kilkudziesięciu kilometrów, pod różne adresy - z czego bardzo się cieszyłem, bo przy tej okazji mogłem odwiedzać siostrę i brata. Wszystkie polecenia spełniałem rzetelnie, z radością i dumą - jako szary żołnierz, tym razem służący w konspiracji, w organizacji wojskowej o nazwie ZWZ - Związek Walki Zbrojnej.

Z Chyżowic musiałem uciekać w styczniu 1942 r., kiedy to nie zgłosiłem się do prac na rzecz okupanta. Powołane wtedy do prac przymusowych zostały roczniki 1920-1925. Wykonanie rozporządzeń okupanta nadzorowały policje: granatowa i nacjonalistów ukraińskich, których w tych stronach było bardzo dużo. Przez jakiś czas ukrywałem się w okolicznym majątku, ale w końcu przeniesiono mnie do Bończy, majątku hr. Potockiego, gdzie zatrzymałem się w leśniczówce bonieckiej. Czułem się tam jak u siebie w domu, ponieważ już kilkakrotnie bywałem w tych okolicach jako tzw. skrzynka kontaktowa. Leśniczówka leżała u podnóża wielkich kompleksów leśnych, około 4 km od majątku. Sama siedziba hr. Potockich była okazała - piękny klasycystyczny pałac, biura administracji, zabudowania folwarczne, gorzelnia, tartak, budynki gospodarcze (stajnie dla koni, obory dla bydła), kuźnia itp. W samym pałacu, oprócz gospodarzy, różnych gości i rezydentów (chyba takich jak w Chyżo wicach), stacjonował duży oddział żandarmerii niemieckiej, który miał za zadanie pilnowanie uprzemysłowionego majątku przed „napaściami polskich bandytów”.

W zimie lub na początku 1943 r. po raz pierwszy usłyszałem, że jesteśmy wojskową formacją o nazwie „Armia Krajowa”, w skrócie AK. Leśniczówka miała połączenie telefoniczne z pałacem, wójtem ze wsi Bończa, z parafią w kościele oraz gminą w Kraśniczynie. Sprawa telefonów była bardzo ważna, ponieważ mieliśmy możliwość penetracji terenu, z czego bardzo często korzystano. W tym czasie zaczęli pokazywać się partyzanci radzieccy, którzy zadomowili się w lasach bonieckich o nieprzebytych, potężnych jarach, stanowiących wspaniałe schronienie. Rekrutowali się oni prawdopodobnie z żołnierzy Armii Czerwonej, którzy uciekli z niewoli. Najbardziej dokuczliwa była dla nich zima 1942-1943, ponieważ głodowali. Dowództwo naszego zgrupowania AK pomagało im przetrwać, dowożąc żywność, spirytus z gorzelnii majątkowej, a nawet - w kilku wypadkach - broń. Z całym przekonaniem mogę to potwierdzić, bo sam brałem udział w tych akcjach, eskortując podwozy do lasów w umówione miejsca. Na drugi dzień zabiera-

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

liśmy puste wozy. Akcji takich było kilkanaście. Sami partyzanci radzieccy kilka razy późnym wieczorem lub w nocy przychodzili do leśniczówki, szukając po prostu kontaktu z ludźmi, serdecznego słowa i gestu. Latem i jesienią 1942 r., była ich spora liczba i nieźle uzbrojonych. W tym czasie też nasilały się represje ze strony okupanta w okolicznych wsiach i miastach oraz pogromy ludności żydowskiej. Młodzież wiejska i chłopci tworzyli oddziały zbrojne. Wojsko i żandarmeria niemiecka dużymi oddziałami, przy wsparciu lotnictwa, tankietek i artylerii robiły obławy, które zazwyczaj kończyły się zamordowaniem kilku lub kilkunastu chłopów pracujących w polu, spaleniem kilku chałup i zabudowań gospodarczych.

Gorąco było w tym okresie w Krasnostawskim, Zamojskiem, Hrubieszowskim i w lasach bonieckich. Niemcy palili, wywozili, nakładali kontyngenty na chłopstwo, bezwzględnie egzekwowane, a my z kolei szarpaliśmy wroga, gdzie się dało. Nie było dnia ani nocy, aby łuny nie rozświetlały okolicy i nie było słyhać odgłosów zażartych walk.

Byłem bardzo dumny, że jestem wśród swoich i biorę bezpośredni udział w walkach ze zniechęconym wrogiem. Powierzono mi (mimo młodego wieku) poważne zadania penetracji okolic, wchodziłem też w skład oddziału sabotażowo-dywersyjnego. Moim dowódcą był kpt. „Pingwin”, którego osobiście nie znałem, ale który na pewno dużo o mnie wiedział. Moim przełożonym w pracy był pan Stefan Niwiński, inżynier leśnik, który mieszkał wraz z rodziną w tejże leśniczówce. Człowiek o dużej kulturze, bardzo dobry fachowiec, szef całej gospodarki leśnej w Bończy. Nie wiem, czy był w konspiracji, nigdy na ten temat ze mną nie rozmawiał, ale wydaje mi się, że jednak miał kontakty z podziemiem. On mnie też nigdy nie indagował, ale trudno było nie domyślać się moich powiązań, jeśli stale podlegałem mu w pracy, mieszkałem w leśniczówce, a przecież całymi dniami byłem poza domem i pracą.

W styczniu 1943 r. dano znać z administracji majątku, że do leśniczówki przyjedzie inspektor leśnictwa z Warszawy. W majątku przebywał od wielu dni, po przyjeździe do leśniczówki zakwaterowany został w pokoju gościnnym. W tym okresie w leśniczówce przebywało sporo ludzi. Każdy miał jakieś zajęcie. Las dostarczał drzewo do majątku, a więc były wyręby, cięcia sanitarne, szkółki, nasadzania nowych młodziaków. Dużo ludzi przewijało się koło budynku leśniczówki, robotnicy stali i sezonowi, dozór. Przyjazd inspektora nie był żadną sensacją, a wręcz sprawą najzupełniej naturalną. Wieczory w leśniczówce były bardzo przyjemne, domownicy oraz goście spędzali je przeważnie w dużym pokoju z kominkiem. Posiłki jadano razem.

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

##### *Pierwszy kontakt z mjr. „Zdanem”*

W czasie jednego z takich wieczorów, przybyły inspektor długo rozmawiał ze mną, wypytując o sprawy rodzinne i przeżycia okupacyjne. Przed wyjazdem, w stosownej chwili powiedział mi na osobności, że stawia na mnie i ma do mnie zaufanie, ponieważ zrobiłem na nim dobre wrażenie, cieszę się dobrą opinią u gospodarzy leśniczówki, jak i u samego „Pingwina” - i tu wymienił pseudonim dowódcy. Wobec czego uzgodnił z tutejszymi władzami zgrupowania, że kieruje mnie do szkoły podchorążych i dalszego uczenia się w zakresie szkoły średniej na tajnych kompletach. Podał mi ustnie adres w Warszawie, gdzie miałem się zgłosić w marcu 1943 r. Przedstawił mi się na pożegnanie jako por. „Zdan” i zastrzegł surowo, żebym go nie szukał, i że jak zajdzie potrzeba, to sam mnie znajdzie. Rozmowa nasza była szczerą, serdeczną i raczej krótką. W końcowej fazie przyjąłem ją jako rozkaz. Por. „Zdan” wywierał na ludziach duże wrażenie. Był bardzo silną indywidualnością, miał bardzo serdeczny stosunek do ludzi. Wnikliwie przeżywał wzrokiem swego rozmówcę, trzymając go na dystans. Nie dopuszczał do poufalego tonu, nie znosił sprzeciwu. Swoją postawą wzbudzał szacunek i posłuszeństwo. Takim go poznałem wtedy - w leśniczówce. Po latach dopiero dowiedziałem się od Tadeusza („Zdań” - Tadeusz Majcherczyk), że miał w majątku przyjaciela, który jednocześnie głęboko tkwił w konspiracji i utrzymywał z nim stały kontakt służbowy, tzn. konspiracyjny. Takim był „Zdan” w konspiracji, w Powstaniu Warszawskim i po Wyzwoleniu.

##### *Przeniesienie i życie w Warszawie*

W połowie marca zgłosiłem się pod wskazany adres przy ul. Dobrej 2, III piętro. Miałem zapytać o „Janka”, w sprawie kupna palmy. Zastępczy adres był przy ul. Garwolińskiej - numeru nie pamiętam. Tam mieszkał mój kolega, przysły dowódca sekcji „Zawisza”. Miałem jednak szczęście, „Janka” zastałem w domu. „Janek” to jego pseudonim. Był uprzedzony o moim przybyciu i po długiej rozmowie przeszedł do sprawy zasadniczej. Otrzymałem skierowanie do jednostki wojskowej, przydział do kompanii, plutonu, drużyny oraz skierowanie do Szkoły Podchorążych im. Lisa-Kuli. Sprawę kompletów doksztalcających z zakresu IV klasy powierzono „Zawiszy”.

Początkowo miałem kłopoty z pracą, zameldowaniem i dokumentami. Wprawdzie dano mi „wyprawę” na drogę (od przyjaciół w Bończy), ale to wszystko, i nie starczyło na długo. Posiadałem zaświadczenie na nazwisko Zbigniew Kowalczyk - pod takim nazwiskiem byłem w Bończy. Nie byłem w Warszawie jednak sam, po miesiącu miałem już prawie wszystkie sprawy załatwione. Otrzymałem tzw. kenkartę, stałe zameldowanie i mieszkanie przy ul. Akademickiej 3 m. 2. Zacząłem pracować w ogrodnictwie u p. Zofii

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

Lewickiej przy ul. Mierosławskiego 2. Pilnie uczęszczałem na wykłady i ćwiczenia w podchorążówce. Rozpocząłem też naukę w IV klasie gimnazjalnej tajnego nauczania.

W kwietniu 1944 r. przypadkowo (a może było to zamierzone) spotkałem w pobliżu miejsca pracy na ul. Mickiewicza, mojego kolegę z ławy szkolnej z Grudziądza, Tadeusza Trębińskiego, ps. „Czembori”. Mieszkał w Warszawie przy ul. Chłodnej 8 wraz z rodzicami i siostrą. Ojciec jego był profesorem rysunków i robót praktycznych w grudziądzkim gimnazjum, do którego uczęszczaliśmy. Okazało się, że „Czembori” miał już ukończoną podchorążówkę i był w tej samej kompanii co ja. Przez około 3 tygodnie odwiedzał mnie w miejscu pracy o różnych porach dnia. W czasie tych odwiedzin dużo rozmawialiśmy o swoich osobistych przeżyciach, pracy, ale nigdy nie mówiliśmy o sprawach konspiracyjnych.

W jakąś niedzielę, w imieniu rodziców i swoim, zaprosił mnie na obiad. Jak wielkie było moje zdziwienie, gdy przy obiadowym stole zastałem prócz domowników kpt. „Zdana”, „Janka” - ppor. dowódcę I plutonu, w skład którego i ja wchodziłem oraz „Zawiszę” - dowódcę sekcji szkolenia praktycznego. Było to tak nieoczekiwane spotkanie, że z wrażenia nie byłem w stanie wymówić ani słowa. Kpt. „Zdan” był bardzo serdeczny, interesował się moimi sprawami osobistymi. Interesował się moim pokojem, w którym mieszkalem przy ul. Akademickiej i samym domem, który sąsiedował z potężnym gmachem przy ul. Akademickiej 5, w którym przed wojną mieszkali studenci (Dom Akademicki), a obecnie stacjonowała żandarmeria niemiecka. Por. „Zdan” oświadczył mi również, że „Janek” postarał mi się o pracę w charakterze buchaltera w niemieckiej firmie - w Państwowych Zakładach Zbożowych, obecnie „Stadtliche Getreide und Zdzisław Werke”. Biura tego przedsiębiorstwa mieściły się na szóstym piętrze drapacza chmur (Prudential) przy pi. Napoleona (dawniej pl. Warecki, obecnie pl. Powstańców Warszawy). Praca ta bardzo mi odpowiadała, ponieważ dawała mi dużą swobodę w pracy konspiracyjnej. Miałem dobre, autentyczne papiery, pozwalające na bezpieczne poruszanie się po Warszawie. Właściwie to pełniłem funkcję gońca i z tej racji wysyłano mnie z różnymi poleceniami do wysokich i wpływowych urzędników niemieckich. Miałem nawet przepustkę do dzielnicy niemieckiej.

Przeniesienie do Warszawy otworzyło nowy okres w moim życiu. Poczujęm się starszy, bardziej dojrzały. Najbardziej szokujące było dla mnie nowe otoczenie, wielka aglomeracja miejska, inne formy życia, konieczność innego poruszania się w tym środowisku. Moja adaptacja trwała kilka miesięcy. Dnie miałem pracowicie wypełnione. Nauka na kompletach, podchorążówka (wykłady teoretyczne, ćwiczenia wojskowe w terenie, poznawanie różnych rodzajów broni itp.), praca zarobkowa i nauka w domu do późnych godzin nocnych. Dużo czasu pochłaniały dojazdy do lokali konspiracyjnych, które bardzo często zmieniały się z uwagi na bezpieczeństwo. Były one rozrzucone



#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

po całym mieście. Atmosfera panująca na wykładach z wojskowości nie miała nic wspólnego z atmosferą na tajnych kompletach. Inni ludzie, inne lokale konspiracyjne, chociaż cel ten sam i warunkujący się wzajemnie. Gdy wstępowałem do podchorążówki oznajmiono mi, że warunkiem przyjęcia jest ukończenie IV klasy szkoły średniej, tzw. mała matura. W szczególnych warunkach (jak w moim przypadku) wystarczyło przedłożenie władzom podchorążówki zaświadczenia o regularnym uczęszczaniu na komplety. Z uwagi na wybuch wojny, związany z nią mój specyficzny tryb życia, miałem poważne braki w wiadomościach. Trudno było mi przyzwyczaić się do systematycznej nauki. Ambicja, podjęte zobowiązania, częste kontrole instruktorów i ich wysokie wymagania - zrobiły swoje. Opiekunem naszego kursu był kpt. „Mirski”, który był jednocześnie wykładowcą z taktyki walki. Bardzo często wykłady naszej sekcji odbywały się w jego domu, gdzie panowała przemiła atmosfera, i w którym bywałem potem częstym gościem. Donosy, aresztowania, represje zmuszały nas niejednokrotnie do zmiany lokali kontaktowych. Były duże trudności, wobec czego zaproponowałem swoje mieszkanie. Po pewnym czasie skorzystano z tej propozycji. Pamiętam, jak wielkim było to dla mnie przeżyciem. Musiałem bardzo dokładnie wyjaśnić kolegom z sekcji i wykładowcy, jakie są zwyczaje w obrębie domu, dokładną topografię, by nie było żadnych błędzeń, szukań, pytań. Na pierwszym spotkaniu odbyły się trzy wykłady z różnych przedmiotów. W połowie wykładów przyszedł na wizytację por. „Zdań” z łączniczką, która już uprzednio była u mnie. Mieszkanie moje było w dyspozycji konspiracji do końca, czyli do wybuchu Powstania. Często też korzystał z niego por. „Zdan”, por. „Janek”, „Zawisza”, „Czembori” i inni. W tej całej maszynierii nauczania coś nieraz szwankowało z przyczyn często od nas niezależnych, to łapanka na odcinku dojazdu, to wpadka, to opóźnienie, zwykła przezorność gospodarza, który coś podejrzanego zauważył i w porę ostrzegł. Jednak mimo trudności i przeciwności losu Szkołę Podchorążych ukończyłem z wyróżnieniem, otrzymując stopień plutonowego podchorążego.

Pamiętam, że uroczyste zakończenie odbyło się przy zbiegu ulic Marszałkowskiej i Chmielnej, a gości było około 30. Pamiętam, że był kpt. „Mirski”, por. „Janek”, kpr. pchor. „Zawisza”, kpr. pchor. „Czembori”, por. Drzymulski, por. „Roja” i inni. Jak to w takich razach bywa, przemówienia, kilka ciepłych słów, lampka wina, uściski dłoni i przypomnienie, że na tym nie koniec, że czeka nas walka na śmierć i życie ze zniechęconym wrogiem. Wyróżniającym się, zostanie zaproponowana Wyższa Szkoła Dowódców lub Wojenna (nazwy już nie pamiętam). Por. „Zdan” podał mi rękę i powiedział dobitnie, że to dopiero początek sprawy, a dopiero w akcji sprawdzi się, czy jestem coś wart.

Komplety nauczania szkoły średniej ukończyłem w parę miesięcy później, o czym niezwłocznie powiadomiłem por. „Janka”, mojego dowódcę plutonu.

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

Nadszedł 1944 r. i dziesiąty miesiąc mego pobytu w Warszawie w warunkach okupacyjnych i konspiracyjnych. Był to dostateczny okres, by okrzepnąć i zostać „starym wygą warszawskim”. Rok 1944, to piąty rok okupacji hitlerowskiej, straszliwego jarzma, ciągłego upokarzania naszego narodu. W atmosferze ciągłego zagrożenia, mimo represji i bolesnych strat, nastroje były dobre, uparcie wierzyliśmy, że musi dojść do konfrontacji, do starcia z wrogiem. Nigdy nie wątpiłem, że my, Polacy i wszystkie narody podbite przez teutońskiego wroga wojnę tę wygramy. Sami Niemcy uświadomili sobie chyba, że zbliża się ich niechlubny koniec. Front wschodni zbliżał się do nas milowymi krokami. Ja byłem w euforii, pochłonięty pracą konspiracyjną. Byłem dumny i zadowolony z siebie. Pokonałem wszystkie, piętujące się trudności i osiągnąłem to wszystko, czego pragnąłem i nie zawiodłem pokładanych we mnie nadziei. Zdobyłem wykształcenie wojskowe, małą maturę, możliwość dalszej nauki, przyjaźń ludzi, którzy byli dla mnie wzorem do naśladowania i miałem wspólną z nimi możliwość walki o wolność cywilną i narodową.

##### *Charakter mojej pracy*

Jak już wspomniałem, pracowałem w dawnych Polskich Zakładach Zbożowych, do których należały elewatory i magazyny zbożowe na terenie Warszawy i okolic. Zweigstelle - oddział - mieścił się w gmachu Prudential przy pi. Napoleona, na VI piętrze. Centrala mieściła się w Krakowie. Praca w Zakładach była ciekawa, jak na okupacyjne warunki. Dużo swobody, możliwość szerokiego poruszania się, dzięki stałej przepustce do dzielnic niemieckich. Dyrektor firmy Emil Reiss, Austriak z Innsbrucku, skrupulatnie pilnował przedsiębiorstwa, a jeszcze bardziej swoich prywatnych interesów. Niejednokrotnie zawoziłem różnym wpływowym urzędnikom prezenty w postaci paczek z kaszą, mąką, ryżem i innymi towarami. Zona jego, z pochodzenia Szwedka, też prowadziła „lewe” interesy. Jak zdołałem zorientować się, oszukiwała swego męża, mówiła o nim nieraz obelżywe słowa i nienawidziła „tej całej zgrai niemieckiej”. Do moich obowiązków należało też zakładanie, na podstawie list robionych przez dział personalny, kart zaopatrzenia dla robotników przyjętych do pracy w magazynach zbożowych. Legitymacje pracy wraz z fotografiami, sporządzone na podstawie list, zanosłem do prezydium policji. Nazwiska na liście musiały pokrywać się z legitymacjami.

O charakterze mej pracy powiadomiłem przełożonych, przede wszystkim dowódcę plutonu por. „Janka”. Przekazywałem wiadomości o każdym zajściu i zwyczajach panujących w firmie. W oddziale pracowało 7 osób wraz z dyrektorem. Sekretarka pochodziła z Gdańska, biegle mówiła po niemiecku i... darzyła mnie szczególną sympatią. Pozostali Polacy znali język niemiecki pobieżnie. „Pierwszym po Bogu” w Zweigstelle była sekretarka. Ona dzieliła pieniądze pochodzące ze sprzedaży zboża „na lewo” w magazynach

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

zbożowych, na stacjach przeładunkowych ginęły całe wagony ze zbożem. Poszczególne zmiany robotników wynosiły zboże w specjalnie pikowanych skafandrach z lnu. Przekupione wachty niemieckie udawały, że tego nie widzą. Zdarzały się „wpadki”, ale tylko wtedy, gdy nagle zmieniano skład wachmanów. Wynoszone przez robotników zboże szło do głodującej ludności warszawskiej. Z tej puli, jak gdyby z kontrybucji, najwięcej otrzymywał sam dyrektor, żeby milczał i nie starał się być dociekliwy. Prawie cały skład biura był w podziemiu, chociaż nigdy na ten temat nie było rozmowy. Jednego z pracowników spotkałem w czasie Powstania na Starym Mieście.

Dyrektor Reiss miał szofera, Polaka o nazwisku Edward Nowak. Często z nim jeździłem, rozwożąc dary i prezenty do urzędów lub domów prywatnych. Zaprzyjaźniłem się z nim serdecznie i byłem świadom, że on również tkwi w konspiracji. Wiadomości te natychmiast przekazałem swoim dowódcom, którzy we właściwy sposób je wykorzystali. Siedem razy spod gmachu Prudentialu, uprowadzono samochód do celów konspiracyjnych i za każdym razem powracał cały i bez szwanku z kartką za kierownicą i z gorącymi przeprosinami. Ach ci chłopcy..., mieli styl. Jeden raz samochód był 10 dni w akcji. Dyrektor penił się, a jego żona szalała z radości, żartując z męża, tym bardziej że powtarzało się to tyle razy. Por. „Janek” i „Czembori” byli wspaniałymi kierowcami.

W okresie od stycznia do 1 sierpnia 1944 r. udało mi się podsunąć około 150 Personalausweisów z nazwiskami podanymi przez organizację, a stemplowane były na moich oczach przez panienki pracujące w Polizei Praesidium, w wydziale personalnym. Nim mój dowódca plutonu zdecydował się na podkładanie przeze mnie legitymacji z poszczególnych magazynów zbożowych do legalizowania w Polizei Praesidium- trwało to kilka miesięcy. Zanoszenie list z akceptacją naczelnego dyrektora przedsiębiorstwa, miało miejsce wtedy, gdy napływały zgłoszenia z poszczególnych magazynów o przyjęcie do pracy, a działo się to 2-3 razy w miesiącu. Początkowo zadaniem moim było baczne przypatrywanie się czynnościom urzędniczek niemieckich, zaznajamianie się z miejscami, gdzie te czynności się odbywały, jak listy są sprawdzane - dokładnie czy pobieżnie. Relacje przekazywałem po każdym pobycie i za każdym razem, aż po kilku miesiącach zdecydowano się na podłożenie list, bliźniaczo podobnych do oryginalnych, z podpisem dyrektora naczelnego i personalnej. Szczęście mi sprzyjało, ale po jakimś czasie, w czerwcu 1944 r. zmieniono skład urzędniczek i trzeba było wszystko montować na nowo.

##### *Działania przedpowstaniowe*

W maju 1944 r. na jednym z zebrań konspiracyjnych por. „Janek” powiadomił mnie, abym czekał po pracy w swoim mieszkaniu. Około godz.

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

17.00 przyszli por. „Janek” i „Czembori” - po czym razem udaliśmy się w Al. Jerozolimskie 77. W mieszkaniu tym zastaliśmy por. „Zdana”, dwóch nieznanymi mi jeszcze mężczyzn i młodą kobietę. Nie znałem jeszcze wtedy ani jej imienia, ani pseudonimu. Ale wprost „zatkała” mnie jej uroda. Czyniła honory pani domu, przyniosła z kuchni herbatę, z kredensu nalewkę i dyskretnie ulotniła się do kuchni. Po pewnym jednak czasie wróciła do pokoju. Widocznie jednak należała do grona wtajemniczonych, bo ani por. „Janek”, ani „Czembori” nie zareagowali tak jak ja, musieli więc ją znać. Dopiero pod koniec spotkania dowiedziałem się, że była to ppor. „Monika”, jedna z nielicznych kobiet z ukończoną tajną podchorążówką.

Celem spotkania było omówienie akcji przerzutów broni, konwojowanie i odstawianie do punktów składowych, zapewnienie bezpieczeństwa. Opracowaniem akcji i jej realizacją miał zająć się por. „Janek”. Akcji takich przeprowadzono kilkanaście. Najlepiej pamiętam ostatnią, w lipcu, kiedy mieliśmy odstawić transport na ul. Chmielną. Kiedy byliśmy już blisko celu zorientowaliśmy się, że Niemcy zrobili tzw. kocioł. Bez chwili namysłu wpadliśmy riksą do pierwszego napotkanego podwórka. Nie było szans wyrwania się stamtąd, wjechaliśmy więc w bramę oficyny, poza którą była inna, jak się okazało przechodnia posesja i wylot z niej na tylną ulicę. Wtedy „Czembori” zaproponował, że ma znajomych na ul. Długiej, tuż obok Hotelu Polskiego, których córka, będąca jego koleżanką z Politechniki, też należy do konspiracji. Tam więc złożyliśmy cały ładunek. Przy składowaniu obecny był por. „Janek”, „Czembori” i ja - oraz cała obstawa. W czasie walk powstańczych broń ta bardzo się przydała. Po całej akcji por. „Janek” zameldował o jej przebiegu por. „Zdanowi”, który zazwyczaj skąpy w pochwałach tym razem dość wylewnie podziękował nam za refleks i szczęśliwe dowieszenie broni i zabezpieczenie jej.

W czerwcu 1944 r. tuż przed godziną policyjną, przyszedł do mnie na ul. Akademicką 3 m. 2 por. „Zdan”. Podobno był gdzieś w pobliżu, zasiedział się i nie zdążyłby powrócić do swego domu. U mnie w tym czasie było kilka osób, wszyscy z konspiracji i tak przy skromnym, okupacyjnym, ale gościnnym stole przegadaliśmy do białego rana. Była to wspaniała noc, atmosfera przedpowstaniowa. Zauważyłem, że wszyscy uwielbiali „Zdana”, mimo że był bardzo zasadniczy i czasami tylko pozwalał sobie na żarty. Była to chyba celowo prestiżowa postawa wobec podwładnych, bo po wojnie, utrzymywałem z nim stałe i serdeczne kontakty - zawsze był duszą towarzystwa.

Następne spotkanie z por. „Zdanem” w liczniejszym gronie konspiratorów miało miejsce w maju przy ul. Pańskiej 37, w mieszkaniu łączniczki Ireny Dąbkiewicz, ps. „Małgorzata”, gdzie po raz drugi spotkałem ppor. Helenę Kłosowicz, ps. „Monika”.

W lipcu wyczuwało się już gorączkę przedpowstaniową. Bliskość frontu wschodniego i ciągnące się tabory niemieckie przez główne arterie stolicy,

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

głównie przez Al. Jerozolimskie, most Poniatowskiego, ul. Grójecką, ul. Wolską itp.

Zaczęły się dyżury pogotowia w mieszkaniu por. „Zdana” przy Al. Jerozolimskich 77. Nastroje dziewcząt i chłopców były pełne euforii. Żył się niecierpliwie, w oczekiwaniu tego, co musi nastąpić. Na ulicach młodzież, a nawet ludzie dorośli zachowywali się tak swobodnie, że i ślepy by się domyślił, że się coś szykuje. Na trzy dni przed Powstaniem zluźniono nas z dyżurów i zastąpiono nową załogą.

W ostatniej dekadzie lipca 1944 r. dwukrotnie przeprowadzono ćwiczenia koncentracji naszych oddziałów w rejonie ul. Długiej (Hotel Polski). Wtedy dopiero przekonałem się jak nieliczną garstkę stanowi moje towarzystwo (z którym byłem na co dzień). Zdawało nam się, że nasza drużyna, pluton, a może nawet kompania jest pępkiem świata, jesteśmy najważniejsi, a tu „tyle luda”. Dowództwo miało o czym i o kim myśleć. Na próbie koncentracji spotkałem por. „Zdana”, por. „Roję” (pirotechnik), braci Drzymulskich, kpt. „Fajera”, sanitariat, a więc ppor. „Monikę”, „Sowę”, „Skibę”, „Maryskę”, nie mówiąc o moich najbliższych towarzyszach.

Tak bardzo czuwałem, zdawało mi się, że jestem w samym środku tych spraw, a jednak wybuch Powstania Warszawskiego zaskoczył mnie na rogu ulic Marszałkowskiej i Królewskiej o godz. 17.00. Przeżywałem autentyczną tragedię. Czułem się, tak jak człowiek, który pozostając w centrum najważniejszych spraw, dostaje nagle zawału. Widocznie nie byłem dostatecznie psychicznie przygotowany. W domu, w skrytce piwnicznej miałem schowane niemieckie parabellum z amunicją, a tu, na rogu ulic Królewskiej i Marszałkowskiej stałem osamotniony i bez broni.

Nie pamiętam już teraz, jak kluczyłem między domami i jak przed północą 1 sierpnia 1944 r. przedostałem się na ul. Chmielną 8, gdzie mieszkał mój przyjaciel Tadeusz Trębiński, ps. „Czembori”. Przeniknięcie się przez Ogród Saski było niemożliwe, ponieważ stamtąd padały strzały. W domu przyjaciela dowiedziałem się, że Powstanie zaskoczyło go w mieszkaniu i natychmiast poszedł przedzierać się do punktu koncentracji. 2 sierpnia, około południa dobrnąłem pod Hotel Polski przy ul. Długiej 29. W bramie hotelu spotkałem kpt. „Zdana”, który siedział w towarzystwie dwóch mężczyzn. Zameldowałem się, tłumacząc moje spóźnienie. Kpt. „Zdan” dopadł do mnie, odsunął na stronę i zapytał, co się dzieje z dowódcą plutonu ppor. „Jankiem” i jego zastępcą kpr. pchor. „Zawiszą”. Pchor. „Czembori” był już w hotelu na pierwszym piętrze. Zaraz po zgłoszeniu się na m.p. zameldował kpt. „Zdanowi” o broni, którą ukryliśmy w piwnicy sąsiedniego domu (wejście od strony podwórka), po nieudanej akcji na ul. Chmielnej. Opowiadał mi „Czembori”, że „Zdan” był szczęśliwy i żałował, że więcej tego nie było, a było przecież sporo. Staropolskie przysłowie, że „kto późno przychodzi, to sam sobie szkodzi” boleśnie sprawdziło się na mnie, bo jako broń dostałem butelkę zapalającą. Myślałem, że mnie krew zaleje, czułem się bardzo pokrzyw-

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

dzony, nieszczęśliwy. Kpt. „Zdan” powiedział, że jak zdobędę broń na szkopie, to będzie moja.

Niestety, wielu z naszych chłopców, z mojego plutonu nie stało się. Mieszkali w różnych dzielnicach Warszawy i po prostu nie byli w stanie dotrzeć. Znałem ich i wiem, że nie stchórzyli. Na pewno zgłosili się do innego oddziału. Dobrze, że chociaż „Czembori” był na miejscu. Brakowało mi bardzo ppor. „Janka” i „Zawiszy”.

Poznałem nowych towarzyszy broni, równie wspaniałych i dzielnych chłopców, którzy służyli w I kompanii. Czas zatarł w pamięci niektóre pseudonimy, ale najbardziej utrwalił się w mojej pamięci kpr. pchor. Józef Zarebski, ps. „Bors”, jego brat kpr. pchor. „Bazylewicz”, plut. Stanisław Borowiecki, ps. „Znicz”, Augustyn Jankowski, ps. „Czarny”, bracia Drzymulscy, por. „Roja”, „Wilk”, „Sokół”, „Rudy” i inni. Z dziewcząt spotkałem siostrę „Monikę”, „Skibę”, „Sowę”, „Małgorzatę” i „Maryskę”.

Zafasowałem jakieś ubranie robocze, ale pozostałem przy swoich cywilnych półbutach, wyglądałem jak oferma. Dopiero w walkach na Woli „odkułem” się na Niemcach. Zdobyłem buty wojskowe, hełm i szczyt moich marzeń - rozpylacz MP Bergmanne, który mi wiernie służył do końca, tj. do 28 sierpnia, w którym to dniu zostałem ranny przy obronie reduity Banku Polskiego przy ul. Bielańskiej.

##### *Walki na Woli*

1 kompania Batalionu im. W. Łukasińskiego pod dowództwem kpt. „Zdana” wyruszyła na ratunek Woli, gdzie toczyły się ciężkie walki z oddziałami Dirlwängera, własowców i SS. 6 sierpnia trudno było dotrzeć w kierunku Woli. Przeskakiwaliśmy przez podwórka, całą gmatwaną poprzebijanych piwnicznych korytarzy, kierując się na gmach Sądów przy ul. Leszno. Sądy najbardziej zakodowały się w mojej pamięci. Potężne gmaszysko z wybitymi, pustymi oczodołami okien. Dokoła pełno rozbitego szkła, puste sale, jednym słowem obiekt widmo. Tego samego dnia wieczorem zajęliśmy pozycje na głównych szlakach dróg, ulic: Wolskiej, Górczewskiej i Okopowej. Kolejności walk nie pamiętam, wiem, że broniliśmy potężnej barykady na osi natarcia Niemców wspieranych przez czołgi, lotnictwo i miotacze ognia, od których po obu stronach ulicy paliły się domy. Pamiętam też, że zajęliśmy pozycję w browarze Haberbuscha, który przylegał do ul. Żelaznej. Tam właśnie była pamiętna bitwa z nacierającymi czołgami, które szły całą szerokością ulicy, z dziećmi umieszczonymi na pancerzach, a przed czołgami pędzono ludność cywilną, przeważnie kobiety, jako żywą tarczę przed naszymi strzałami. W ataku tym doszło do walki wręcz, spaleni dwóch czołgów, odbiciu dzieci i zakładników. To co się działo na tyłach domów i na zapleczach posesji było przerażające. Żołdacy hitlerowscy mordowali, znęcali się, palili ludzi żywych, pędzili przed czołgami, gwałcili zbiorowo kobiety. Takie właśnie sceny

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

widzieliśmy, jak dochodziło do walki wręcz na tyłach domów lub wewnątrz budynków. W walkach tych oprócz naszego Batalionu im. W. Łukasińskiego, brały też udział inne zgrupowania ze Starówki, jak „Chrobry I”, „Zośka”, „Parasol”. W takiej to scenerii prowadził kpt. „Zdan” swoją 1 kompanię szturmową. Był wszędzie, walkami kierował z pistoletem w ręce. Jego chyba kule się nie imaly. Był szaleńczo odważny, postawą swoją mobilizował i naszą odwagę. Gdy przebiegałem obok niego, by rzucić butelki zapalające na czołgi, które z chrzęstem toczyły się po trotuarach, „Zdan” krzyknął do mnie - „Jastrzębiec” - teraz będziesz miał sposobność zdobyć broń na Szkopach, tylko nie s... w portki ze strachu”. - Tak jest, panie kapitanie... warknąłem ze złością, palił mnie bowiem wstyd, czułem się upokorzony, że dotąd nie mam broni, tylko ganiem z butelkami.

Odczekaliśmy, aż czołgi przybliżyły się. Chłopcy z parteru ostrzelali żołdaków, a my z góry obrzuciliśmy czołgi, które natychmiast zapaliły się, liżąc językami ognia pancerze. Tragiczna była sytuacja ludzi pędzonych przed czołgami. Padali na bruk, podnosili się, uciekali na boki, wpadali do bram, a ale byli i tacy, którzy oblepili swoimi ciałami pancerze czołgów. Ubrania paliły się na nich, w przerażeniu i bólu skakali, dostając się pod gąsienice. Widząc gehennę tych ludzi, szal nas ogarniał i jakaś dzika żądza mordy i odwetu. Nasza kompania weszła do walki tak niespodziewanie, że Niemcy, nieświadomi tego, zachowywali się na podwórkach i w domach bezkarnie. Pierwszego szkopa dopadłem w mieszkaniu, w momencie gdy na łóżku gwałcił małą dziewczynkę. Złapałem siekierę stojącą w kuchni i z całej siły rąbnąłem w plecy. Uratowałem dziewczynkę, porwałem odłożony przez Niemca przy łóżku pistolet maszynowy i pognałem dalej, gdyż pełno było tego żoł-dactwa dokoła.

No, nareszcie miałem tak upragnioną broń. Na zdobytym terenie, kto żyw z ludności cywilnej uciekał na naszą stronę. W natarciu tym zdobyliśmy sporo broni. Ja sam przywlokłem 3 karabiny, 2 pistolety maszynowe i 1 parabellum. Zdobyłem też panterkę i buty. Nasza przewaga nie trwała długo. Musieliśmy się wycofać do browaru Haberbuscha przy ul. Żelaznej.

Noc spędziliśmy w zabudowaniach browaru. Spaliśmy, gdzie się dało. Ja razem z „Czemborim” miałem wartę przy barykadzie. Martwił się chłopak o swoich rodziców i narzeczoną. Do swojego domu przy ul. Chłodnej 8 miał kilkaset metrów. Gdy przyszedł na inspekcję kpt. „Zdan”, „Czembori” poprosił go o pozwolenie odwiedzenia swoich bliskich. Dowódca wyraził zgodę. Wrócił po paru godzinach przygnębiony, bo nie zastał już rodziców, ani innej żywej duszy w całym domu. Od nikogo nie mógł się dowiedzieć, dokąd poszli, lub czy żyją. Był przybity, załamany, ten jego stan i mnie się udzielił, bo i ja nic nie wiedziałem o najbliższych - ojciec w Oflagu, starszych braci wojna rozrzuciła po świecie, a matka z resztą rodzeństwa na Pomorzu w Grudziądzu. Był 5 sierpnia 1944 r. - Wola, ul. Żelazna, browar Haberbuscha, to bohaterskie barykady broniące dostępu bandom hitlerowskim do serca War-

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

szawy. Dni były pogodne, pełne słońca..., a w uszach świst pocisków, huki rozrywających się szrapneli, wybuchy bomb, wycie nurkujących samolotów „Ju 87” - sztukasów, „szaf”, „krów”, wokół smród spalenizny i żaru pożarów... Nie było się gdzie przed tym wszystkim schronić. Piekielna broń zabijała i raniła nie tylko ludzi, ale i domy, które porozsypywały się jak domki z kart. Bałem się, po prostu, po ludzku bałem się. Mój paniczny strach musiał się jakoś uzewnętrznić, bo podszedł do mnie pchor. „Wilk” i powiedział: - „Jastrzębiec”, nie rozklejaj się, weź się w garść...”

Nic nie pomagało, dopiero jak odwołano nas z browaru do pełnienia służby na barykadzie przy ul. Żelaznej, przeszło mi. Hitlerowcy przypuścili od strony ul. Grzybowskiej taki szturm kilkoma czołgami typu „Tygrys” i dużymi siłami Waffen SS, że już nie było czasu nawet na strach. Musieliśmy walczyć, bronić barykad, siebie i ludzi cywilnych, pozostających za naszą osłoną. Ludzi, którzy nam ufali i wierzyli. Tę bohaterską walkę opisał w „Stolicy” z 6 lutego 1983 r. mój towarzysz broni plut. pchor. Jerzy Zarębski, ps. „Bazy lewicz”, który wraz ze swym bratem Józefem, ps. „Bors” brał w tej walce bezpośredni udział. Poległo wielu Niemców, spaliliśmy kilka czołgów, zdobyliśmy dużo broni, a mimo to musieliśmy się wycofać z uwagi na wyczerpującą się amunicję i braki techniczne. Z barykady wycofaliśmy się do browaru, gdzie kpt. „Zdan” zarządził zbiórkę oddziałów, sprawdził stan żołnierzy zdrowych, rannych i zabitych. Kazał sporządzić raport z przebiegu walk, a także stanu w ludziach, i zapowiedział, że wycofujemy się w kierunku Starego Miasta. Stan naszej kompanii i pozostałych jednostek był fatalny. Wyczerpani fizycznie i psychicznie, wielu ciężko lub źle rannych. Potrzebny był nam odpoczynek i sen.

Przed odejściem na Stare Miasto, do mojej drużyny podszedł kpt. „Zdan” i dał mi rozkaz, abym rozstrzelał wziętych przez nas do niewoli Niemców, ściślej określając tzw. gołębiarzy. Złapano ich na gorącym uczynku, gdy z ukrycia strzelali do powstańców. Było ich dziesięciu, zamkniętych w garażu browaru. W skrzydle jednej połowy drzwi garażowych było okratowane okienko. Ja i moi koledzy zajrzeliśmy do środka. Siedzieli po kątach skuleni, ze zwieszonymi głowami, otępiali, bezbronni. Nikt nie chciał podjąć się wykonania polecenia kpt. „Zdana”. Rozzłoszczony naszą niesubordynacją, wyszarpnął dosłownie pistolet z kabury i zaczął krzyczeć, że rozstrzela za odmowę wykonania rozkazu. Jeden z kolegów z kompanii, nie pamiętam już dziś jego pseudonimu, odbezpieczył granat i szybko chciał go przecisnąć przez kratę w okienku drzwiowym, aby rozerwał się w środku. Ze zdenerwowania nie mógł trafić w oczko kratownicy i granat rozerwał mu się w ręce uniesionej nad głową, zabijając go na miejscu, na naszych przerażonych oczach. Nie myśleliśmy już o zakładnikach..., nie byliśmy w stanie myśleć o jakichkolwiek wyrokach. Zajęliśmy się pogrzebaniem naszego kolegi. Nie wiem, jaki los spotkał uwięzionych. Nie potrafimy zabijać bezbronych, oto rycerska, polska mentalność - w przeciwieństwie do zbrodniczej mentalności



#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

Niemców, ich okrucieństwa, rozstrzeliwania z zagipsowanymi ustami na otwartych ulicach naszej męczeńskiej stolicy, zabijania „zza węgła”, gwałtów, grabieży, podpalania, uśmiercania całych wsi i miast.

##### *Powrót na Stare Miasto*

Powrót na Starówkę nastąpił 10 sierpnia. Tego jeszcze dnia odbyło się wielkie zgrupowanie w parku przy Pałacu Krasińskich. Kazano nam czekać w pełnym szyku bojowym, kryjąc się pod konarami wiekowych drzew przed samolotami wroga. Czekaliśmy na decyzję dowództwa; zostajemy na Starówce, czy przebijamy się przez Żoliborz do Lasów Kampinoskich.

Pogoda była piękna..., niebo błękitne..., ziemia wyzłocona słońcem...

Okolo południa nadeszła wreszcie wiadomość, że zostajemy na Starówce. Decyzję dowództwa przyjęliśmy entuzjastycznie. Nasza 1 kompania szturmowa pod dowództwem kpt. „Zdana” odkomenderowana została do obrony reducy Banku Polskiego, który stał się teraz naszym wojennym „domem”. Mury potężne, sklepienia piwnic, jak w twierdzy, a miejsc do odpoczynku, ile kto chciał. Nareszcie spało się pod dachem, w miękkich fotelach obitych skórą lub autentycznym adamaszkiem, na miękkich kanapach i puszystych dywanach. Jednym słowem pełny komfort. Nie długo jednak cieszyliśmy się spokojem - jak to na wojnie. Niemcy byli na pL Teatralnym od strony ul. Wierzbowej i Pałacu Briihla. Po zdobyciu Ratusza opanowali cały pl. Teatralny włącznie z ul. Senatorską. Nim jednak włączyliśmy się do walki, mieliśmy jeszcze czas zwiedzić siedzibę Banku Polskiego. Wyposażenie gabinetów, korytarzy, salonów, prywatnych apartamentów dyrektorskich, bardzo bogate, stylowe. Meble, boazerie, dywany, galeria obrazów pędzla przednich malarzy, wszystko to pokryte grubą warstwą kurzu, nieporządek, walające się papiery, szyby w oknach powybijane, a na parapetach okien worki z piaskiem. Widać, że gmach opuszczono w popłochu. Aż serce bolało patrzeć, ile naszego narodowego dobra marnuje się. Na refleksje nie pozwolił nasz dowódca. „Zdan” zaprowadził z miejsca żelazną dyscyplinę, sam dając przykład wspaniałej odwagi i męstwa. Był też doskonałym strategiem i „ojcem” swoich żołnierzy. Każdej drużynie zlecił zadanie do wykonania. Należało umocnić punkty obronne, uszczelnić barykadę usytuowaną w poprzek ul. Bielańskiej. Uzupełnić w oknach gmachu worki z piaskiem, zabezpieczyć główne wejście w ścianie frontowej. Uprzątnąć stanowiska ogniowe w budynku w celu szybkiego odpierania ataków. A wszystko to działo się przy bezustannym ostrzale artyleryjskim, bombardowaniu i ostrzeliwaniu z broni pokładowej przez samoloty myśliwskie i szturmowe, wybuchów pocisków z tzw. szaf i granatników. W piwnicach (wejścia znajdowały się od strony podwórza) mieściły się punkty opatrunkowe, pomieszczenia dla łączniczek, sanitariuszek i dowódcy. W początkowej fazie walk spaliśmy w bocznych skrzydłach gmachu na piętrze, ale później, gdy wróg bezustannie atakował -

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

w piwnicach. Osłoda naszego trudu codziennego były sanitariuszki i łączniczki, ale każdy po cichu wzdychał do jednej - do siostry „Moniki”. To była „klasa babka”. Jej uroda, sposób bycia, jakby nie pasował do tego wszystkiego, co działo się dokoła. Zawsze piękna, w bryczesach, długich oficerskich butach, w panterce - to wszystko było na niej dopasowane, czyste. Gładko uczesana, w tzw. secesję z przedziałkiem pośrodku głowy, o bardzo regularnych rysach, nietuzinkowej urodzie, wysoka, szczupła, nieomal posągowa. Gdybym jej nie widział w akcji, niosącą pomoc na najbardziej niebezpiecznych odcinkach bojowych, rozdzielającej polecenia swym podkomendnym sanitariuszkom pomyślałbym, że urwało się dziewczę z jakiegoś szlacheckiego, zasobnego dworku, spod kurateli rodzicielki i szuka sobie mocnych wrażeń, przygody... Kto by przypuszczał, że ta piękna kobieta przejdzie taką gehennę w szpitalu polowym nr 1 przy ul. Długiej 7 i zostanie wpisana do księgi najwspanialszych, bohaterskich kobiet Powstania Warszawskiego. Weszła do legendy walk o Stare Miasto. „Legendarna Monika”, a ja będę zawdzięczał jej życie... Ale nie wyprzedzajmy faktów.

Pierwsze dwa lub trzy dni miałem dyżur po drugiej stronie ul. Bielańskiej. Była to linia obronna, która wyprzedzała główną barykadę w poprzek ul. Bielańskiej, a dochodziło się do niej z bocznego skrzydła Banku Polskiego, róg ulic Daniłowiczowskiej i Bielańskiej. Na *vis-à-vis* Banku stał jednopiętrowy domek, o płaskim dachu, z dwoma kominami i tam właśnie, przytulony do komina leżałem wraz z Józefem Zarębskim, ps. „Bors”, na punkcie obserwacyjnym. Za sobą mieliśmy ul. Bielańską i Bank, a przed sobą placyk, kamienicę i dużą bramę wjazdową. Przez kilka dni ostrzeliwały nas nurkujące samoloty myśliwskie. Na główną barykadę skierowany był silny ostrzał od strony pl. Teatralnego. Nie pamiętam, którego to było dnia, ale w nocy, ze składów Meinla, znajdujących się na tyłach Szpitala Maltańskiego, wynosiliśmy butelki wina, szampana, spirytusu i wodę kolońską w dużych flakonach. W tych nocnych wędrówkach do magazynów brali udział chyba wszyscy z obsady Banku. Spirytus przydał się szpitalikom polowym i punktom sanitarnym.

Będąc w tych pierwszych dniach na „Ryglach” - był to obszar otoczony murem, z bramą naprzeciwko bramy Banku Polskiego, między którymi w poprzek ul. Bielańskiej biegła barykada, wyprzedzająca o 30-40 m barykadę główną w stronę pl. Teatralnego - byliśmy ciągle w ogniu nacierających sił wroga, którzy obsadzili domy od strony ul. Senatorskiej i od tyłów tychże posesji nam *zagrażali*. Barykada, a raczej wał ziemi wzniesiony przez nas do wysokości półpiętra, był nie do przebycia przez szkopów w tych pierwszych dniach walk. Kpt. „Zdan” wielką wagę przykładał do utrzymania tego odcinka i często nas kontrolował, a było nas około 15 żołnierzy. Z tych, których zapamiętałem byli to: „Znicz”, „Bors”, „Czembori”, „Sokół”, „Wolski”, „Czarny”, „Wilk”, „Nil”, „Bazylewicz” (brat „Borsa”), Wojtek Drzymulski i inni. Chłopcy odważni, dobrze uzbrojeni w zdobyczną broń w walkach na

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

Woli. Na tych właśnie „Ryglach” w pewnym momencie podczołgał się do nas kpt. „Zdan” i zwracając się do mnie zapytał: - Jak się czujesz „Jastrzębiec”?

- Dobrze, panie kapitanie, tylko już trzecią dobę tu kiblujemy, zmęczeni jesteśmy i pić nam się chce...

- Dorastasz „Jastrzębiec”..., będzie z ciebie żołnierz, tylko z zapasu do walki na narób w portki. A żarcie i wodę zaraz wam każę podrzucić. W nocy będzie zmiana.

Jakiś „gołębiarz” znarowił się i skutecznie strzelał do naszych. Pole jego ostrzału skierowane było na róg Banku, tj. ulic Bielańskiej i Daniłowiczowskiej, tam gdzie pod osłoną barykady przechodziliśmy na drugą stronę ul. Bielańskiej na placówkę „Rygle”. Pamiętam, że było kilka wypadków ciężkich trafień. Jedną z sanitariuszek, ps. „Skiba”, wychylając się zza rogu Banku została poważnie ranna. Widziałem, jak po tym fakcie siostra „Monika”, czółgając się nisko przy ziemi, dojrzała do rannego w udo „Sławka” i ściągnęła go do bramy, gdzie sanitariuszki wzięły go na nosze i przeniosły do szpitalika polowego w dawnym więzieniu przy ul. Daniłowiczowskiej.

12 sierpnia Niemcy przypuścili szturm na Bank Polski. Natarcie to poprzedziło lotnictwo, potem artyleria, granatniki, a w końcu czołgi i wozy opancerzone przy współudziale grenadierów. Wszystkie te bronie parły na barykadę od pl. Teatralnego i ul. Senatorskiej. Mimo straszliwej przewagi wroga wszystkie ataki zostały odparte. W walce tej hitlerowcy pozostawili wozy pancerne przed naszą barykadą. I tu nadarzyła się okazja wypróbowania nowej broni, miotaczy ognia, tzw. piat, otrzymanych ze zrzutów angielskich. Wozy pancerne zostały spalone. Przypominam sobie, że w mojej obecności instrukcję dotyczącą używania piata tłumaczył z języka angielskiego na język polski jakiś cywil. Jak się potem dowiedziałem był to naukowiec, prof. Szyndel, który po wojnie był wykładowcą Akademii Rolniczej w Poznaniu i we Wrocławiu, gdzie w 1950 r. spotkałem go w auli uniwersytetu i przypomniałem epizod powstańczy.

Przeważające siły wroga, zmusiły nas do wycofania się z „Rygla”. Niemcy zaatakowali Bank Polski z przeciwka, zajęli domek na dachu, z którego miałem wartę obserwacyjną i uderzyli przez ul. Bielańską, atakując główną bramę. Użyli zasłony dymnej, wdarli się do głównego holu, ale zostali przez naszą załogę, tj. 1 kompanię szturmową, krwawo odparci. Teraz Bank Polski miał wroga na *vis-à-vis* głównego kompleksu, obsadzając domek po przeciwnej stronie ul. Bielańskiej. Ostrzał był kierowany w prostej linii, co stanowiło wielką trudność w obronie gmachu.

W nocy do mojej kwatery, która mieściła się w podziemiach Banku, przyszła łączniczka każąc mi się stawić wraz z „Czemborim” u dowódcy kpt. „Zdana”. Natychmiast zameldowaliśmy się. „Zdan” siedział w towarzystwie por. „Roji”. Po chwili weszła siostra „Monika”. Widząc naradę chciała wyjść, ale kpt. „Zdan” zatrzymał ją gestem ręki i wskazał na krzesło stojące pod ścianą. Usiadła trzymając w ręce jakieś papiery. Kpt. „Zdan” pochylił się nad

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

stołem, pokazał nam szkic sytuacyjny i wyjaśnił, że spodziewa się wznowienia akcji od strony pl. Teatralnego przy użyciu czołgów, wozów opancerzonych i dużej liczby wojska. Celem ich będzie zapewne zdobycie barykady i zajęcie Banku. Naszym zadaniem będzie atakowanie nieprzyjaciela przed barykadą - na przedpolu. Jediną możliwość widzi w zajęciu pozycji w domach leżących po lewej stronie barykady w kierunku ul. Senatorskiej i pl. Teatralnego. Są to domy częściowo wypalone, zdemolowane, puste - w strefie niczyjej. Raz są w rękach Niemców, to znów w naszych. Należy ich z tych domów atakować, obrzucać wozy bojowe granatami i butelkami zapalającymi, aby odciążyć barykadę. Aby tam się utrzymać, należy bez przerwy panować nad tymi domami.

- Powierzam to zadanie wam, chłopcy - i wierzę, że nie przepuścicie żadnego czołgu. Chłopców dobierzecie sobie sami. Por. „Roja” wręczył nam materiały wybuchowe i dodatkowe butelki zapalające. Za pół godziny mieliśmy stawić się przed boczną bramą wyjściową przy ul. Daniłowiczowskiej. Pchor. „Czembori” wybrał ze swojej drużyny pięciu - i ja ze swojej drużyny również pięciu: „Znicz”, „Bors”, „Sokół” - reszty nie pamiętam. Zebraliśmy się w bramie. Był już kpt. „Zdan”, por. „Roja” i siostra „Monika”. Byliśmy obładowani bronią i butelkami zapalającymi. Pożegnaliśmy się, a siostra „Monika” tak ciepło i serdecznie położyła mi ręce na ramionach, ucałowała w czoło i powiedziała: - „Jastrzębiec”, wracaj cały i szczęśliwie... Kpt. „Zdan” wysyłając Was, liczy na Was, na Wasze męstwo. To bardzo ważne zadanie, ale i bardzo niebezpieczne... Równie serdecznie pożegnała się z „Czemborim”, którego знаła z okresu konspiracji. Bywał często na odprawach w dowództwie i w domu kpt. „Zdana”.

Skok przez ulicę i byliśmy w zabudowaniach pierwszego domu. Pierwsze dwa budynki były w naszych rękach - ze stałą obsadą. Z następnymi budynkami było różnie. Kpt. „Zdan” odprowadził nas do drugiego budynku, omówił taktykę, prosił o rozwagę. Akcja może trwać i kilka dni, na większą pomoc nie możemy liczyć, gdyż brak ludzi. Pożegnał się z nami raz jeszcze, pogroził, jakby chciał powiedzieć - „nie szalejcie” i tak rozstaliśmy się. Było około 24.00. Uzgodniliśmy z „Czemborim”, że on będzie się skradał dołem, tj. parterem, a ja piętrem, zajmiemy pozycje w głębi ul. Bielańskiej, około 50 m od naszej barykady. Na szczęście nie było żadnych niespodzianek. Zajęliśmy stanowiska, granaty i butelki zapalające ustawiliśmy przy oknach, uzgodniliśmy z dołem głębokość pozycji i łączności między sobą.

I tak zapadliśmy w dawno nie odczuwaną ciszę nocną. Niebo usiane było gwiazdami, i gdyby nie woń spalenizny i łuny pożarów myślałby człowiek, że wszystko co wokół się dzieje, to tylko jakiś koszmarny sen.

Na chłopców można było liczyć, oni nie wiedzieli co to strach. Sam byłem podniecony. Przy mnie był „Bors” i „Znicz”, zajmowali takie stanowiska, by nie dać się zaskoczyć przez wroga. Tak zastał nas świt następnego powstańczego dnia...

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

Około 4.00 nad ranem usłyszeliśmy warkot motorów nasilający się z każdą minutą. I nagle zza rogu ul. Senatorskiej ruszyły z impetem w stronę barykady dwa wozy opancerzone, a za nimi kilkudziesięciu grenadierów. Rozszalały się karabiny maszynowe. Barykada żyła, pluła ogniem. W napięciu czekaliśmy aż wozy podjadą pod okna... i wtedy obrzuciliśmy je granatami

1butelkami zapalającymi. Niemcy nie spodziewali się ataku z przedpola walki, z góry, z tak dalekiej odległości od linii barykady. Na całej szerokości jezdni utworzyła się barykada ognia, w którego środku znalazły się wozy, padając kolejno pastwą płomieni. Wozy opancerzone pełne wewnątrz uzbrojonych po zęby żołnierzy stały w ogniu, żołnierze wyskakiwali w popłochu z rozpędzonych pojazdów. Barykada pluła ogniem, a my z boku i z góry „daliśmy im popalić”. Dobrze się stało, że „Czembori” wraz ze swoimi chłopcami obsadził parter, ponieważ Niemcy nie mogli chować się po bramach, z których rażeni byli bronią maszynową, nie dopuszczając do walk wewnątrz budynków. Na placu boju w odległości około 20 m od barykady, płonęły 2 wozy, z których wydobywały się kłęby czarnego, duszącego dymu. Wraki tłących się wozów tarasowały drogę, stojąc w poprzek ulicy. Niemcy w popłochu cofali się. Przez około pół godziny obrzucano nasze pozycje granatnikami, potem nastąpiła cisza...

Niemcy ponowili atak, tym razem zza rogu ul. Senatorskiej wyjechał czołg, strzelając z karabinów maszynowych i dział - po naszych oknach. Grenadierzy towarzyszący mu rozpięchli się po bokach ulicy, dało im to możliwość zaatakowania nas na pewnym odcinku wewnątrz budynku. Przewaga ta była tylko chwilowa, bo obsada z parteru oraz wsparcie chłopców, którzy obsadzili dwa pierwsze budynki wykurzyła Niemców znów na ulicę. Gdyby nie broń zdobyczna na poległych Niemcach, na pewno dla tych z dołu zabrakłoby amunicji. Tymczasem czołg szedł stale do przodu, musiał ominąć palący się pojazd i wtedy dostał z barykady pociskiem piąta. Przez cały ten czas walki „Zdań” był na barykadzie i kierował ogniem. Czołg dostał w gaśnicę, która rozwalila się i jak dziecinny bąk zaczął kręcić się w kółko, tarasując zupełnie drogę do barykady. Myśmy tylko czekali na ten moment, obrzucając czołg butelkami zapalającymi. Aby siła rażenia była większa i skuteczniejsza, część chłopców obrzucała z drugiego piętra ulice butelkami zapalającymi.

Trzy dni, z małymi przerwami, trwał ten bój o barykadę. Najbardziej utkwiał mi w pamięci trzeci dzień, tj. 15 na 16 sierpnia. Po strasliwym bombardowaniu i obłożeniu pociskami artyleryjskimi oraz granatnikami naszych stanowisk, Niemcy ponownie ruszyli do ataku. Nasze pozycje z uwagi na bliską odległość od nieprzyjaciela były wolne od ostrzału. To był dla nas plus, jedynie od strony pi. Teatralnego i ul. Senatorskiej obrzucono nas granatnikami.

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

Okolo godz. 14.00 nastąpiła cisza - i nagle dało się słyszeć potężny huk i warkot motoru. Zza rogu wypełził potężny czołg - „Tygrys” i po wyprostowaniu się, stanął. Był na tyle bezpieczny, że nie sięgał go ani pocisk piata z barykady, ani nasze butelki zapalające. Stał i walił z działa prosto w barykadę i od czasu do czasu skręcał działa na domy, w których siedzieliśmy. Po jakimś czasie usłyszeliśmy charakterystyczny terkot „Goliata” sterowanego kablami elektrycznymi. „Goliat” zrobił dość szeroki łuk i przed „Tygrysem” wyprostował się, dążąc w kierunku barykady. Wiedzieliśmy, że ta sunąca mina o wadze 1 tony trotylu jest bez załogi. Gdyby podpełził pod barykadę - to koniec. Rozwaliłby całą zaporę wraz z połową Banku. Gdy „Goliat” oddalił się od czołgu na odległość około 40 m, ten powoli ruszył do przodu. „Trotylowiec” musiał wjechać na chodnik, tuż pod naszymi oknami, pod naszym stanowiskiem, ominąć zaporę z wypalonego wozu bojowego. Oddalona obsługa „Goliata”, dowodząca zza rogu ul. Senatorskiej, nie miała swobody manewrowania pojazdem. Pozycje obsługi były dobrze widziane przez nasze stanowiska na pierwszym i drugim piętrze. My z kolei byliśmy ostrzeliwani przez działa „Tygrysa”, ale tor pocisku szedł z ukosa i nie był tak groźny w skutkach. „Tygrys” szedł wprost na barykadę i robił tam cholerne zamieszanie. Nie było siły na niego - pruł w naszym kierunku bezkarnie. W pewnym momencie „Goliat” stanął, ponieważ zawadził gaśnicą o fragment zwalonej bramy domu i nie mógł się precyzyjnie przemieszczać pomiędzy spalonym wozem a napotkaną przeszkodą. Na moment odsłoniła się obsługa „Goliata” i błyskawicznie została sprzątnięta przez nasz rkm. Myślę, że „Tygrys” widząc sytuację, ruszył z miejsca, celem staranowania wraku i przesunięcia go na środek jezdni, by dać możliwość swobodnego przeciśnięcia się w stronę barykady. Gdy „Tygrys” przybliżył się pod nasze stanowiska, jego działa przestały być groźne. To był jedyny moment, by unieszkodliwić go wraz z „Goliatem”. Powiązane w wiązki granaty oraz butelki zapalające miałem pod oknem. Krzyknąłem na „Borsę”, który ostrzeliwał z sąsiedniego okna przedpole. „Znicz” był obok mnie przy balkonie. Razem, we trzech, odbezpieczając jeden z granatów, wyrzuciliśmy trzy wiązki, a następnie luźnych butelek tyle, ile się dało. Cały ten materiał zwałił się na chodnik tuż obok „Tygrysa” i „Goliata”. Nastąpiła eksplozja granatów i wybuch płomieni. Panczerze obu czołgów stanęły w ogniu. Wyskoczyliśmy spod okna do tylnych pomieszczeń, poczekaliśmy chwilę, ale wybuch nie następował. Coś mnie podkusiło, kazałem „Borsowi” i „Zniczowi” zostać na miejscu, a sam doskoczyłem do balkonu. Zobaczyłem następującą sytuację: „Tygrys” cały w płomieniach z otwartą klapą, z której zwisa palące się ciało Niemca. Na panczeru drugi Niemiec w płomieniach. „Goliat” w ciągłym ruchu, zablokowany przeszkodą - pali się... Taki malutki przy tym olbrzymie... Zaszokowany tym widokiem, byłbym dalej patrzył, ale świst kul nieprzyjaciela i odpryski tynku - uprzytomniły mi, gdzie jestem. Odskoczyłem od balkonu, byłem już w połowie drogi do korytarza, gdzie zostali moi to-

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

warzysze - nagle powietrzem targnął potworny huk i detonacja. Cały świat zawirował... Rzuciło mnie na ścianę i upadłem na podłogę. Zobaczyłem oślepiający błysk ognia i poczułem rozsadzające dzwony w głowie i uszach. Nie mogłem wstać... nic nie słyszałem... kompletny bezwład... Mięśnie nie reagowały. Miałem uczucie, że cały płonę, tak było mi gorąco. Dowlokłem się do wanny, która stała na środku pokoju (?) i z trudem wsunąłem się do znajdującej się w niej wody. Nie wiem po co to robiłem, ale mi ulżyło. Byłem oszołomiony, ale przytomny. Ze zdziwieniem zobaczyłem, że cały front domu zniknął. Okna i drzwi powyrywane. Przerazająca cisza...

Po długim czasie przyczołgali się do mnie „Znicz” i „Bors”, obaj potłuczeni, ale cali, nie w takim stanie, jak ja. Wywlekli mnie z wanny i transportowali zaułkami do swoich. Oni też nie byli zdolni do walki. Przynieśli mnie na rękach do Banku. Pierwszej pomocy udzieliła mi siostra „Monika”. Mówiła coś do mnie, ale ja nic nie słyszałem, byłem kompletnie ogłuszony, miałem pełno tynku we włosach, ustach, uszach i pod powiekami. Po jakimś czasie kpt. „Zdan”, który z barykady obserwował cały przebieg tej walki, odwiedził mnie. Leżałem na sienniku, nie mogąc się ruszyć, ani mówić. Ścisnął mnie, gratulował... Widziałem również „Borsa” i „Znicza”. Niestety był to sukces, który pochłonął życie mego serdecznego przyjaciela „Czemboriego” i pozostałych kolegów. Nawet nie znaleziono ich ciał - piekielny wybuch pochłonął ich doczesne szczątki. Do dziś zastanawiam się, czy wybuch nastąpił na skutek zdalnego kierowania Niemców czy zapalenia się „Goliata”. Dół przed kamienicą był potężny, a „Tygrys” odrzucony dosłownie o kilkadziesiąt metrów.

Służba sanitarna opiekowała się mną bardzo troskliwie. Siostra „Monika” przekazała mi, że kpt. „Zdan” wystąpił z wnioskiem o Krzyż Walecznych dla mnie, a za brawurowe unieszkodliwienie „Goliata” i „Tygrysa” z wnioskiem o nadanie mnie, „Zniczowi” i „Borsowi” Krzyży Orderu Virtuti Militari i stopnia podporucznika. O takie samo odznaczenie i awans wnioskowano dla poległego bohaterskiego „Czemboriego”.

17 sierpnia 1944 r. był dla mnie bardzo przygnębiający. W dalszym ciągu nic nie słyszałem i nie mogłem chodzić o własnych siłach, zbyt silny był jeszcze niedowład mięśni. Mój kielich goryczy przepełniła wiadomość, że kpt. „Zdan” odchodzi z Banku na inną placówkę. Dowództwo obrony Starego Miasta mianowało „Zdana” dowódcą batalionu „Chrobry I”, na miejsce poległego kpt. „Edwarda” i przeniosło go na redutę Pasażu Simonsa. Kpt. „Zdan” zabrał ze sobą część załogi. Odeszła też z nim siostra „Monika”. Miałem głęboki żal, że nas opuścił. Wiem, że to był rozkaz, któremu musiał się podporządkować, ale mój żal był silniejszy.

Cały tydzień przeleżałem, na dodatek z silną, grypową gorączką, która zapewne była konsekwencją przymusowej kąpieli w wannie w ubraniu. Dzięki wspaniałej opiece naszych sanitariuszek, doszedłem do zdrowia i wróciłem do pełnienia służby żołnierskiej w Banku Polskim.

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

Otepiałem w końcu od tych ciągłych wybuchów pocisków, bomb miotaczy ognia i szrapneli. Ciągłe ataki wroga i odpieranie ich to był codzienny chleb powszedni. Pamiętam, że kilkakrotnie z zewnątrz Starówki przychodziły z pomocą odsieczy chłopców z innych formacji, tak było z nami kiepsko. Ataki wroga były coraz częstsze i coraz bardziej zajadłe. Odpieraliśmy je z determinacją. Brakowało mi tych, co odeszli: „Czemboriego”, „Sokoła”, kpt. „Zdana”, siostry „Moniki”. Zastanawiałem się nieraz, jaki też los ich spotka na nowej placówce. Mój Anioł Stróż widocznie zmęczył się ciągłym czuwaniem i odwrócił ode mnie na chwilę swoją uwagę, a działo się to 28 sierpnia, w czasie piekielnego szturm nieprzyjaciela zostałem ranny w prawą nogę. Niemcy wdarli się do gmachu Banku i należało ich odpierać. Ja zajmowałem stanowisko przy rkm-ie, zmieniając błyskawicznie kolegę, który został zabity przy jego obsłudze. Porwałem ten karabin niemal w biegu i zacząłem z okna pierwszego piętra ostrzeliwać wdzierających się Niemców. Ostrzał był skuteczny, ale część SS-manów wraz z własowcami wdarła się do gmachu. Biliśmy się z nimi, obrzucając ich granatami i bezpośrednio używając białej broni. I wtedy zabłąkana kula raniła mnie w nogę. Długi czas leżałem pod ostrzałem, dopiero po odrzuceniu Niemców udzielono mi pomocy. Całe szczęście, że miałem solidne wojskowe buty, które osłabiły uderzenie kuli. Po prowizorycznym opatrunku w naszym punkcie, przeniesiono mnie do szpitala polowego przy ul. Długiej 16. Lekarz po dokładnym obejrzeniu rany stwierdził, że noga musi być amputowana. Na szczęście stanowczo nie zgodziłem się. W szpitalu tym po raz któryś zostałem ranny w głowę od pocisku tzw. szafy - krowy, który spadł na szpital i zrobił straszne spustoszenie. Pozabijał rannych leżących na parterze, a mnie podmuch wyrzucił na zewnątrz, na podwórze, raniąc przy tym głowę. Zniesiono mnie nieprzytomnego do piwnicznych sal tego szpitala i tam po odzyskaniu przytomności spotkałem się z kpt. „Zdanem”, który został ciężko ranny 22 sierpnia, podczas huraganowego ognia nieprzyjaciela na Pasaż Simonsa. „Zdanem” opiekowała się siostra por. „Monika”. Mimo beznadziejnej sytuacji, w jakiej cała Starówka się znajdowała, byłem szczęśliwy, że znów jestem przy swoim dowódcy i naszym ziemskim Aniele Strózu - „Monice”. Leżałem obok kpt. „Zdana”, który mimo że sam był bardzo ciężko ranny, szczególnie troskliwie opiekował się mną i cieszył się ogromnie, jak oprzytomniałem. Mieliśmy teraz czas, aby zdać sobie relacje z przeżyć ostatnich dni. Był pełen optymizmu, albo tylko udawał, zapewniając mnie, że wszystko dobrze się skończy. Byłem naocznym świadkiem jak dowódcy wyższego szczebla, oficerowie i chłopcy z naszej kompanii odwiedzali kpt. „Zdana”. W rozmowach wspominali o zbliżającej się konieczności wyjścia do Śródmieścia Warszawy. Po tych wizytach kpt. „Zdan” był szczególnie ożywiony. Nie był pozbawiony nadziei i dobrych myśli o pomyślnym końcu. Mimo woli i mnie udzielał się ten optymistyczny nastrój, chociaż było we mnie więcej zwątpienia. Poddawałem się jednak złudnej wierze mego dowódcy, który zawsze był dla mnie



#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

autorytetem. Człowiek ranny, bezradny czepia się innych racji, zacierają się oceny prawdziwej rzeczywistości. Świadomą jej była siostra „Monika” i inne sanitariuszki, mające kontakt ze światem zewnątrz. Pobyt w piwnicznym szpitalu polowym, w okresie ostatnich dni frontu Starówki, w niepowtarzalnej scenerii, to osobne studium rozważań, rozmyślań, bogatych przeżyć wewnętrznych, które zasługują na przekazanie tym, którzy przyjdą po nas, ku przestrodze i pamięci o wzlotach, upadkach, poświęceniu, bohaterstwie i bezprzykładnej miłości Ojczyzny.

A co się działo w sercach tych nielicznych sanitariuszek, które świadomie zostały z nami na straconej pozycji? Poświęcać własne życie dla ratowania bezdomnych, kalekich towarzyszy broni, czyż nie jest to heroiczne bohaterstwo?

Zdawaliśmy sobie sprawę, że kończy się dramat powstańczy polskich Termopil - Starego Miasta. Żołnierze i ranni mogący iść o własnych siłach muszą opuścić Starówkę, by przejść kanałami do Śródmieścia w celu udziału w dalszych walkach. (Próba przebicia się przez Ogród Saski nie udała się). Dumne, niepokonane Stare Miasto musi zamilknąć, musi przyjąć do swego niezłomnego serca rannych obrońców i tych, co posiadali poczucie wielkiego obowiązku i wierności - jak choćby siostra „Monika”. Los nasz mógł być tylko jeden i zmuszeni byliśmy czekać na spotkanie z najbardziej okrutnym wrogiem naszej Ojczyzny Niemcem - Krzyżakiem Teutońskim.

W nocy z 31 sierpnia na 1 września 1944 r. siostra „Monika” postanowiła przenieść nas do szpitala przy ul. Długiej 10, a ponieważ górne piętra budynku zaczęły się palić od pocisków zapalających, dosłownie po trzech godzinach, jeszcze raz zostaliśmy przetransportowani do szpitala polowego nr 1, znajdującego się na *vis-à-vis* przy ul. Długiej 7. Szpital był nabity rannymi. Z relacji sanitariuszek wynikało, że było tam zgromadzonych około 600-700 rannych, przeważnie młodych. Nie pamiętam dziś, kto mnie przeniósł - któryś z cywilów czy umęczone sanitariuszki. Wokół wszystko płonęło, unosił się gryzący zapach spalenizny i ciężki oddech dogorywającego miasta. Nad nami świst pocisków i huk pękających szrapneli. Przerażający biały blask opadających na ziemię rakiet świetlnych.

Szpital przy ul. Długiej 7 mieścił się w gmachu dawnego Ministerstwa Sprawiedliwości (obecnie Archiwum Akt Dawnych). Marmury, pięknie ozdobione sale, boazerie o motywach japońskich i piękne kominki. W takiej sali na pierwszym piętrze zostaliśmy umieszczeni. Leżeliśmy przeważnie na siennikach lub noszach. Miejsca było więcej, przestronniej, a przede wszystkim było widno, naturalnie w dzień, bo w nocy gdzieś tliły się świece. Leżałem w pobliżu mjr. „Zdana” (został awansowany), o jakieś 2-3 metry od pięknego pieca - kominka z lśniącej cegły glazurowej. Siostra „Monika” była duszą całej tej akcji ewakuacyjnej. Były z nią też siostra „Łukasz” i siostra „Danka”. Otrzymałem kubek gorącej czarnej kawy i suchar. Płyn uszczęśliwił mnie, bo pragnienie spowodowane silną gorączką

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

męczyło mnie nieznośnie. Noga moja puchła i bardzo bolała. Stopa zrobiła się niekształtna, okrągła jak balon, zbierała się ropa. Bolały mnie gruczoły pachwinowe, znak, że organizm walczył z zakażeniem. Głowa była jednym szarpiącym bólem głębokiej rany ciemieniowej. W ogóle czułem się fizycznie i psychicznie fatalnie. Przy zmianie opatrunków siostra „Monika” stwierdziła liczne zranienia na skutek odłamków, na prawym łokciu, udzie, plecach. Były to małe odłamki - ale bolało. Kilka z nich, znajdujących się bliżej powierzchni skóry - „Monika” usunęła za pomocą skalpela i pensety. Jak uprzytomniłem sobie, że mjr. „Zdan” był w o wiele gorszym stanie, przestałem się nad sobą roztkliwiać. Powoli przyzwyczajałem się do nocnych ciemności. Zaczynałem rozróżniać współtowarzyszy. Poza dwoma rannymi sanitariuszkami byli to przeważnie mężczyźni. Jedna z rannych, siostra-łączniczka „Joanna” była rodzoną siostrą sanitariuszki „Łukasza”.

Podeszła do mnie znów „Monika” i zapytała, jak się czuję i przekazała słowa otuchy od „Zdana”.

- Trzymaj się „Jastrąbku” (tak mnie pieszczotliwie nazywała) na razie jest tu straszny bałagan, ale od rana wszystko się zmieni. Zaprowadzę naszą dyscyplinę. A teraz zaśnij spokojnie - cześć... Położyła mi rękę na czole i spytała, a raczej stwierdziła: - Ty masz gorączkę, zaraz przyślę przez „Dankę” proszek na zabicie gorączki. Oddaliła się i poszła w stronę kominka, gdzie leżał „Zdań”. Obudziłem się, gdy w okna zaglądał świt. Rozejrzałem się dokoła: pełno młodych ludzi z ciężkimi ranami. Przestrzelone nogi, ciężkie rany klatki piersiowej, jamy brzusznej, rąk, płuc. Wiele kończyn usztywnionych szynami. Strasznie duszno i odór gnijących ran. Rozmawiałem z niektórymi: od kilku dni nie mieli zmienianych opatrunków. Byli głodni, brakowało obsługi, a ta, która była upadała ze zmęczenia.

Wierzyłem, że sytuacja się zmieni, jak tylko weźmie to w swe mocne dłonie siostra „Monika”, tym bardziej że był tu mjr. „Zdan”, a on lubił porządek i dyscyplinę.

Usiłowałem wstać. Chciałem rozejrzeć się, a i potrzeby fizjologiczne zmuszały mnie. Niestety, wszelkie wysiłki były bezowocne... Noga opuchnięta jak balon, pełna ropy, ból, który rozsadzał. Mimo to wstałem na jednej nodze, a chorą podkurczyłem, ale ból był nie do zniesienia, padłem na swoje legowisko. Próbowałem iść na czworakach, jakoś się czołgałem. Szmatami obwiązałem sobie kolana i przemierzałem na nich pokój, schody aż do bramy. Wszędzie pełno rannych, w bramie na schodach, w piwnicach. Teraz dopiero zobaczyłem, że warunki, w jakich umieściła nas siostra „Monika” były niemal luksusem. Dzielna dziewczyna.

Zastanawiała mnie cisza, to był 1 września. Zmęczony przy czołgałem się do swojej sali na pierwsze piętro. W powrotnym czołganiu kilkakrotnie uderzyłem ranną stopą o jakieś wystające elementy, co wzmogło jeszcze ból. Upadłem na swoje miejsce. Zacząłem odwijać sobie bandaże, by przyjrzeć się ranie. Otrzymałem postrzał w sklepienie prawej nogi pod stopą. Rana była

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

na łuku podbicia. Włot rany był spuchnięty, kula wielkości bułki, a cała stopa była potwornie zdeformowana. Przyszła siostra „Danka”, zrobiła opatrunek, ranę zalała rivanolem i zawięła tym samym bandażem.

W pewnej chwili spostrzegłem jak mjr. „Zdan” przywołuje mnie gestem dłoni. Podpełzam do niego - strasznie okaleczony. Lewa noga od kolana do stopy w szynie, owinięty bark i piersi. Prosił bym się pochylił, uczyniłem to:

- „Jastrzębiec”, masz na sobie panterkę... spodziewamy się lada chwila szkopów, lepiej ją zdejm. A co masz jeszcze, co mogłoby być niebezpieczne?

- Mam chlebak wojskowy niemiecki, a w nim parabellum z całym magazynkiem. Przecież nie dam się wziąć żywcem, przecież oni mordują. Nie wie pan o tym? nie widział pan major na Woli w akcji? Przecież Niemcy nie darują nam.

- Posłuchaj „Jastrzębiec”, nie udawaj takiego bohatera i oddaj to wszystko siostrze „Monice”. Ona już będzie wiedziała co z tym wszystkim zrobić. Nie możemy narażać tych nieszczęsnych kalek. Ja wierzę, że uda nam się wyjść z tego cało. Nasi nas tak nie zostawią - ja w to wierzę. A co do panterki i broni, to oddasz „Monice” - to rozkaz.

- Dobrze panie majorze - oddam.

Oddałem. Kto chwil takich nie przeżywał - nigdy nie zrozumie, jak trudno było się rozstać z symbolami walki. Były one najdroższymi skarbami zdobytych w ucziwej, krwawej walce. O parabellum nikt nie wiedział, ale „Zdań” miał jakiś siódmy zmysł. W południe rozdano nam jakąś „cienką” zupinę, która w tych warunkach smakowała co najmniej jak zupa rakowa.

I tak smutno, boleśnie, ale w miarę spokojnie przeszedł pierwszy dzień września 1944 r. Długi czas nie było przy nas siostry „Moniki”, której obowiązki chwilowo przejęła „Danka”. Obowiązki udzielania pomocy cierpiącym rannym. Trudno wtedy było mi sobie wyobrazić, ile też obowiązków „Monika” miała na swych kobiecych barkach, związanych z rannymi: zaopatrzeniem, brakiem opatrunków, lekarstw i personelu. Ale nade wszystko spenetrowania wszystkich legowisk, usunięcia wszystkich akcesoriów pochodzenia wojskowego, zakopywania w ruinach, by nadać szpitalowi charakter obiektu cywilnego. Była osobą zdrową, miała możliwość poruszania się, zorientowana była w sytuacji jak nikt z nas. Podziwiałem jej hart ducha. Mimo tylu uciążliwych obowiązków była zawsze pogodna, czuła, a przede wszystkim związana z nami, dzieliła dobrowolnie nasz los. Patrząc na jej zachowanie, na jej zabiegi, czułem się bezpieczny. Akcja w oczyszczeniu trwała prawie całą noc, aż do wczesnego brzasku 2 września.

Chyba nikt nie spał tej nocy. Każdy zdawał sobie sprawę, że tak dalej być nie może, żeby Niemcy tak humanitarnie zostawili nas w spokoju. Wiedzieliśmy, że ewakuacja naszych oddziałów bojowych kanałami do Śródmieścia, już się zakończyła. W oknach ludność cywilna wywiesiła białe flagi. Oczekujemy ... Nic potworniejszego nie mogło się stać, jak to, że jesteśmy

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

ranni, bezbronni. Rozżaleni, że los zmusił nas do czekania na łaskę wroga, o którym dobrze wiemy, że jest bezlitosny i bestialski.

Jest już widno. Siostry nasze w białych kitlach są wśród nas, robią opatrunki, poprawiają barłogi. Nagle, słychać z dołu chrapliwe głosy i liczny tupot okutych butów po schodach. Patrzą na mjr. „Zdana” i siostrę „Monikę”. Patrzą na moich towarzyszy. Wszyscy są skupieni, w rozszerzonych źrenicach czai się zwykły, ludzki strach. Ja leżę prawie naprzeciwko drzwi wejściowych i widzę jak wpada kilku wojskowych Niemców, uzbrojonych „po zęby”. Kilku z nich zatrzymuje się w drzwiach z rozpylaczami wymierzonymi w nas, a dwóch wchodzi na salę i kieruje prosto swe kroki do siostry „Moniki”, która poprawia bandażę mjr. „Zdanowi”. Jest ona ubrana w biały lekarski fartuch, a na rękach ma rękawice chirurgiczne. Biorą ją za lekarza. Jeden z nich jest oficerem SS, a drugi podoficerem. Ten starszy rangą ma mundur, krótką broń i rękawice na rękach, pozostali w brunatnych koszulach, za pasem zatkane granaty, a przez plecy przewieszane na pasach pistolety maszynowe, trzymane w pogotowiu do strzału. Przez cały ten czas słychać dochodzące z dolnych rejonów gmachu potworne wrzaski, krzyki pełne bólu rannych, od czasu do czasu strzały i wybuchy...

Siostra „Monika” powoli podnosi się i wyprostowana staje naprzeciwko oficera SS. Całej rozmowy prowadzonej przez tłumacza - podoficera, nie słyszałem, ale niektóre urywki dobiegały moich uszu. Między innymi słyszałem, jak siostra „Monika” wyjaśniała, że to ludność cywilna, że nie ma tu żadnych „bandytów”. Oficer powtórzył dość głośno, że za godzinę zaopatrzy szpital w środki opatrunkowe i żywność:

- Für Schwer verwundete kommt nach einer Stunde Versorgung. Cały czas badawczo patrzył w oczy „Monice”. Głowę miała wysoko uniesioną, oczy spokojne, twarz kamienną. Zasalutował i odchodząc już, prawie przy drzwiach prowadzących na klatkę schodową, powiedział do towarzyszącego podoficera:

- Alles liquidieren...

I zeszli obaj, a obstawa została w drzwiach, trzymając pistolety w pogotowiu do strzału.

Siostra „Monika” zrelacjonowała rozmowę przeprowadzoną z oficerem i była pełna optymizmu, że wszystko będzie dobrze. Na pewno nie słyszała ostatnich słów oficera. Dosłownie godzinę trwała ta sielanka, gdy na schodach dały się słyszeć przeraźliwe krzyki i strzelanina. I znów gardłowe, chrapliwe słowa niemieckie, wybuchy granatów i nieludzkie wycie dobijanych i mordowanych. Siostra „Monika” z „Danka” wypadły na schody i znikły mi z pola widzenia. Pewno zeszły na dół. Zostaliśmy osamotnieni. Trwało to jakiś czas. Naraz, w momencie gdy na salę weszli SS-mani i zaczęli przeszukiwać rannych i strzelać do nich, wpadła na salę „Monika” wraz z „Danka”, podbiegła do mjr. „Zdana” i energicznie coś nakazywała. Zaczęły obydwie podnosić „Zdana”, który rozpaczliwie szarpał się, opierał. „Monika” nagle

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

uderzyła go w twarz i krzyknęła - Tadek! Ty musisz iść, bo inaczej zastrzelą ciebie.

Widzę jak noga dowódcy gnie się w szynach w odwrotnym kierunku i bandaż nasiąkają krwią. „Zdan” jakoś trzeźwieje, chwyta za szyję „Monikę” i „Danke”, które wyprowadzają go na klatkę schodową. Wychodząc, mjr „Zdan” skierował głowę w moją stronę i przytomnie już powiedział do mnie:

- „Jastrzębiec” wstawaj i chodź za mną...

Już wstałem, ale ponownie upadłem, nie wytrzymując potwornego bólu w nodze. Gdy zobaczyłem, że siostry i „Zdan” są już za zakretem schodów, i że do sali wpada kilku własowców, podniosłem się i w tej chwili ktoś popchnął mnie tak, że upadłem na nosze i uderzyłem ranną stopą o coś twardego. Poczułem, że pękła mi nabrzmiała rana, bandaż błyskawicznie zaczęły nasiąkać cuchnącą ropą i o dziwo ulżyło mi. Po raz trzeci poderwałem się i mocno kulejąc, dobrnąłem do schodów. Zobaczyłem taki obraz: siostry ze „Zdanem” były już na dole. Zatrzymał ich Niemiec i coś mówiąc, cały czas trzymał wylot lufy karabinu, tuż przy brzuchu „Zdana”. Ja trzymając się poręczy schodziłem dopiero na dół. Widzę dokładnie, jak „Monika” spokojnym gestem odsuwa karabin na bok. Niemiec dosłownie „zbaraniał”, a „Monika” z „Danka” szybko wyniosły „Zdana” przez sień na wewnętrzny dziedziniec szpitala. Tuż za moją trójką, schodził po schodach jakiś powstaniec, tego już hitlerowiec nie przepuścił i zastrzelił go. Upadł tuż koło jego rozkraczonych nóg. Następną ofiarą był młody chłopak z nogą w szynie. Widząc, jaki los spotkał poprzednika, chciał się wycofać. Nieudolnie zrobił w tył zwrot i dostał serię w plecy. Widząc to wszystko, wstrząśnięty, nisko schylony cofnąłem się, powróciłem na salę i położyłem się na miejscu „Zdana”. Po chwili powiedziałem do kolegów:

- Chłopcy, tam na dole rozstrzeliwują, mowy nie ma o przejściu. Na to jeden z młodych ludzi, powstaniec pchor. „Sokół” powiedział:

- Trudno „Jastrzębiec” będziemy razem ginać, ale pamiętajcie chłopcy! Bez strachu, z godnością...

Usiadłem, oparłem się o ścianę kominka i czekając, obserwowałem, co będzie się działo dalej.

Powstała następująca sytuacja: znowu wszedł oficer w asyście kilku żołnierzy i zapytał, czy są tacy, którzy mogą chodzić o własnych siłach. Jeśli tak, mogą zejść i ustawić się przed gmachem. Jeden z żołnierzy tłumaczył łamaną polszczyzną słowa oficera. Z kąta sali wstało dwóch rannych i podeszło do oficera, który wskazał im wyjście, ale nie to główne, lecz jakieś boczne. Ranni odwrócili się i podążyli we wskazanym kierunku, a oficer na oczach nas wszystkich wyciągnął spulwę i zabił ich. Następnie zawołał jednego ze stojących żołnierzy i kazał mu stanąć na środku sali i strzelać, robił przy tym znaczący gest ręką, że „wkoło”. Ów żołnierz, SS-man, nie miał więcej jak 18 lat. Był w hełmie i z karabinem (nie automatem). W sąsiedniej sali urzędowali własowcy, i stamtąd dochodziły przerażające wycia i płacz

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

rannych. Była to sala przeznaczona dla kobiet. Przez otwarte drzwi widać było, jak brutalnie gwałcą te nieszczęsne istoty, mordują i wyrzucają drgające jeszcze życiem ciała przez okna, na podwórze. Było tych oprawców około dziesięciu. A żołdak ze środka naszej sali strzelał raz koło razu - z niemiecką dokładnością. Oficer zszedł na dół w asyście kilku żołdaków, kilku stało w drzwiach z jakimś narkotycznym wyrazem twarzy. Sycili swoje oczy widokiem mordu, krwi, albo też odpoczywali po dokonanych bestialstwach. Na schodach było pełno trupów z rozszarpanymi brzuchami, klatkami piersiowymi, niektórzy zwęgleni do połowy.

Nasz oprawca wyszedł ze środka sali i zbliżył się do kominka. Jeden ze stojących na progu sali Niemców, spojrział na zegarek i krzyknął głośno do tego, który systematycznie strzelał:

- Seifert, schnelle Donnerwetter!!! Po tych słowach zaczął strzelać z automatu po kątach sali. Puścił kilka serii i zaczął rechotać, po czym odpiął manierkę, przechylił do ust, wypił parę łyków i podał współoprawcom. Ja, jak zahipnotyzowany, siedziałem wciśnięty plecami między kominkiem a ścianą. Kłębiły się myśli dziwaczne, oderwane od rzeczywistości: mój dom, rodzice, rodzeństwo - to znów dzieciństwo, lata szkolne, czyjeś oczy błękitne, roześmiana dziewczęca twarzyczka. Takie to wszystko dalekie, nierealne... Nie wiedziałem, co mam ze sobą robić. Czekać na niechybną śmierć, czy wstać i uciekać, ale dokąd? Obok sala pełna własowców uzbrojonych po zęby, tuż obok ten młody morderca, silny, sprawny fizycznie, a w przejściu na klatkę schodową znów kilku oprawców z pistoletami maszynowymi, rozmawiający głośno między sobą i czujnie popatrujący w naszą stronę.

Gdy SS-man skierował już lufę w moją stronę, w tym samym momencie nastąpiło coś, czego nikt z obecnych chyba nie przewidział. O jakieś pół metra, dosłownie u nóg oprawcy leżał młody człowiek, który obie nogi miał w szynach. Leżąc, robił wrażenie bardzo wysokiego, potężnie zbudowanego. Przy noszach, pochylona nad nim, klęczała młoda, drobnej budowy kobieta, ubrana w futro. W pewnym momencie zwróciła się twarzą do Niemca, objęła jego nogi i zaczęła głośno krzyczeć, łkając jednocześnie:

- To mój Mann - to mąż, nie bandit, cywil, nie zabijaj...

Niemiec wyrwał nogi z objęć kobiety, odstąpił krok od niej i okutym butem kopnął ją w twarz. Kobieta zalała się krwią i odwracając się przywarła całym ciałem do piersi męża. Niemiec spojrział na swoich, u których ten incydent wywołał głośne śmiechy, zaczął z całą zaciekłością kopać i skakać po plecach niewiasty, a gdy się zmęczył zastrzelił oboje. W tym krótkim czasie, dokonującego się mordu, instynkt samozachowawczy nakazał mi udawać zabitego. Podkurczyłem nogi i piersiami przywarłem do podłogi, na której leżały w nieładzie koce, nosze i jakieś sienniki. Głowę oparłem o drzewce noszy i między palcami patrzyłem w stronę oprawcy. Niemiec skierował lufę w moją stronę... zamarłem... padł strzał... i nagle poczułem gorącą krew. To kolega niedoli nie wytrzymał nerwowo i w momencie gdy szwab celował w

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

naszą stronę, podniósł się i chciał uciekać. Dostał w szyję i upadł obok mnie, a jego głowa opadła na moją głowę. Wstrząsały nim konwulsje. Czułem na twarzy jakiś lepki, ciepły flak, który bez przerwy drgał. Zapanowała chwilowa cisza. Powoli wysunąłem głowę spod jego skroni. Jego biedna, okrwawiona głowa upadła obok mojej, dogorywał, rzęził okropnie. Po krótkim czasie znów odezwała się seria strzałów z klatki schodowej. SS-mani stwierdzili zapewne, że zabawa ta trwa zbyt długo i włączyli się do akcji likwidacyjnej, prując z pistoletów. Ja już tego nie widziałem, gdyż głowę miałem odwróconą w stronę drugiej sali, gdzie leżały kobiety i gdzie dalej „urzędowali” własowcy. Strzały osłabły. Niemcy rozeszli się po sali i dobijali tych, co dawali jakiegokolwiek znaki życia. Dobili leżącego obok mnie kolegę, który konał w śmiertelnych drgawkach. Ten strzał wydawał mi się tak głośny, że długi czas dzwoniło mi w uszach.

Niemcy poczuli się nawoływać i wycofywać na podest klatki schodowej. Dwaj ostatni rzucili na salę butelki zapalające, które upadły prawie pośrodku sali i natychmiast wybuchł ogień, który począł obejmować koce, nosze, sienniki i... ludzi nieżyjących, ale i jeszcze dających znaki życia. Ogień rozprzestrzenił się szybko, powstał słup ognia, który sięgał sufitu. Własowcy z drugiej sali chyba nie od razu zauważyli pożar, zagrządzający im drogę do wyjścia. Kątem oczu widziałem, jak przeskakiwali przez ogień, kierując się pędem na klatkę schodową. Powstał niesamowity żar, czuć było odór palących się ciał. Mimo upływu kilkudziesięciu lat, stale mam pod powiekami ten potworny obraz wijących się w płomieniach ciał dziewcząt i chłopców, tak niedawno jeszcze tryskających radością walki, młodością, marzących o wolności i zwykłym, ludzkim szczęściu w spokoju.

Okazało się, że takich ocalałych jak ja, było więcej, ale byli w tragicznej sytuacji, ponieważ nie mogli w ogóle się ruszać jako ciężko ranni i zaszokowani sytuacją. Podniosłem powoli głowę - oprawców już nie było. Byliśmy sami: żywi, konający, zabici i ogień, który miał strawić wszystko i zatrzeć ślady najpotworniejszego z potwornych mordów.

Języki ognia coraz bardziej rozprzestrzeniały się po sali, lizały ściany, płonęły boazerie o kunsztownych, japońskich wzorach. Ogień i gryzący dym wypełniał pomieszczenie. Wstałem i przybliżyłem się do kominka. Ktoś złapał mnie za nogi - to kolega, który jak ja ocalał. Miał głowę i oczy przewiązane bandażem, nic nie widział, krzyczał, że parzy go ogień. Wziąłem go za rękę i omijając płomienie podprowadziłem do drzwi prowadzących do pustego pomieszczenia, usytuowanego nad bramą wejściową od ul. Długiej. Tam ognia nie było. Fronton ściany od ulicy był zburzony do krawędzi marmurowej posadzki. Nagle zobaczyłem Niemca, który stojąc po drugiej stronie ul. Długiej na fragmencie zburzonej bramy, patrzył w naszą stronę. Natychmiast upadłem, pociągając za sobą towarzysza niedoli, zamarliśmy w bezruchu. Niemiec jakiś czas patrzył w naszą stronę i nagle poszedł dalej. Widocznie poprzez snujące się dymy nie zauważył nas. Na czworakach

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

przezołgaliśmy się do jeszcze jednego pomieszczenia, które już było wypalone i dało nam schronienie od pożaru. Była to prawdopodobnie kaplica, położona na tyłach naszych sal, przylegająca do kościoła, do którego wchodzi się od ul. Freta. W środku tego pomieszczenia leżały nadpalone bele-krokwie oraz blachy, które zapewne były poszyciem dachu. Całość pomieszczenia zakończona była wysokim murem. Usadowiliśmy się pod powyginanymi blachami, nad nami rozpościerał się błękit nieba i słońce - zasnute kirem dymów pożarnych. Iskry i żar paliły niemiłosiernie, tysiące tych iskier unosiło się w powietrzu, wirowały jakimś diabelskim, piekielnym tańcem i opadały do „Studni”, w której się usadowiliśmy Nasze łachy, co chwila się tuliły, dym gryzł oczy, dusiliśmy się.

Mimo to jakaś iskra nadziei zapaliła się we mnie. Uniknęliśmy rozstrzelania, spalenia. Byliśmy żywi - ale co dalej? Dom płonął do zierzchu, żar bił od nagranych murów. Czuliśmy się jak na patelni. Nastąpiła noc gorąca i gwiazdzista. Chciało się pić. Towarzysz niedoli jęczał, miał gorączkę, męczyło go pragnienie... Nic nie widział, mówił jakieś dziwne rzeczy. Opowiadał o Kole, że tam mieszka, że ma żonę, że w ogródku są posadzone kartofle i powinniśmy na Koło się przedostać. Uciszałem go, i o niczym nie potrafiłem myśleć, tylko w wodzie. Przypomniało mi się, że nim Niemcy weszli, rozdawano w wiadrach kawę. W nocy postanowiłem tam dobrnąć. Jesteśmy na wysokości pierwszego piętra. Musieliśmy przezołgać się w inne miejsce. Blacha, pod którą skryliśmy się, była rozżarzona od palących się krokwie. Gasić nie miałem czym. Miałem gołe ręce, poparzone przy czołganiu się, zresztą leżeliśmy prawie nadzy, gdyż iskry spaliły i tak nędzne już odzienie.

Noc przyniosła trochę ulgi, słońce tak nie piekło i powstał lekki wiaterek. Przez całą noc z naprzeciwka bramy naszego szpitala polowego przy ul. Długiej 7 - gdzie znajdowaliśmy się - tzn. tuż pod nami dochodziły słowa dumek ukraińskich, śpiewanych przez Własowców przy akompaniamencie harmonii, przy gigantycznym ognisku Sabat zbrodniarzy...

Dowlokłem się do ściany frontowej i przez jakiś czas - sam dla nich niewidoczny - przyglądałem się i słuchałem. Dumki śpiewane na głosy były tak piękne, tak urokliwe, tak rzewne, że nie mogłem sobie uzmysłwić: czy jestem tylko widzem jakiegoś tragicznego spektaklu? Czy to możliwe, żeby ci rzewni śpiewacy byli tymi samymi zbrodniarzami, gwałcącymi i mordującymi niewinne młode istoty? Mieli przy sobie psy - wilczury. Odsunąłem się od pustego okna w obawie, by mnie nie zauważyli. Z moim towarzyszem niedoli było dużo kłopotu. Nie widząc, nie zdawał sobie sprawy z sytuacji. Musiałem mu wszystko dokładnie opowiadać. Najgorsze było pragnienie. Modliłem się o deszcz. Często zapadałem w głęboki sen, i nie wiem: trwał on długo czy krótko. Na drugą noc postanowiłem doczołgać się do sali z kominem, przy którym stało wiadro z kawą. Jakże byłem naiwny. Odczuwane pragnienie odebrało mi poczucie rzeczywistości. Doczołganie się do tego miejsca (jakieś 30-40 m) trwało bardzo długo. Łokcie, kolana i boki miałem



#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

pozdzierane do żywego mięsa. Na tych gruzach przekonałem się, jak potrafią być ostre, a do tego całe ciało miałem w pęcherzach od iskier. Posadzka była jeszcze gorąca. W sali z kominkiem nie było nic tylko tynk, gruz, żużel i wzgórci popiołu. Każdy wzgórek to szczątki ciała spalonego bohatera... Nie wytrzymałem! Płakałem jak skrzywdzone dziecko, w tę pogodną, wrześnieową noc, w tej niezwykłej scenerii, w wypalonym domu na Starym Mieście, wśród trupów przyjaciół. Byłem jak widmo, żywy i nieszczęsny, szukający wiadra z kawą. Wiadro było - wypalone, poskręcane.

A w dole znów słyhać rzewne dumki, śpiewane chórem na głosy przy dźwiękach harmonii. Dowlokłem się do swego towarzysza i chyba zasnąłem. Gdy się obudziłem, był już dzień.

Słyszałem potężne detonacje, które dochodziły ze Śródmieścia. Tam walczyła i żyła Stolica. Jak ja im wszystkim zazdrościłem! Po kilka razy dziennie przelatywały na małej wysokości samoloty nurkujące „Ju 87” - sztuka-sy, które zrzucały bomby na pozycje Śródmieścia. W pewnej chwili widziałem, jak samoloty nadleciały od strony Żoliborza, zatoczyły duży krąg i nagle zza chmurki wyskoczył radziecki „Jak” i potężnymi łukami obniżał się ku Wiśle. Z daleka wyglądało jak gdyby chciał zaatakować samoloty niemieckie. Sztukasy bezładnie rzuciły bomby, które na szczęście spadły w pewnej odległości od budynku, i na niskiej wysokości przeleciały obok - niemal nad moim legowiskiem. W oszklonej kabinie widziałem dokładnie głowy i twarze lotników.

Noga i głowa bolały mnie ogromnie. Jedynie sen, w który coraz częściej zapadałem, koił cierpienia. Ropa znowu zbierała się w nodze, dawna nie opatrywana rana jątrzyła się, dziesiątki much siedziało na cuchnących bandażach.

W pewnej chwili dowlokłem się do ołtarza i na marmurowej płycie wy-skrobałem swoje nazwisko, pseudonim, adres matki - która w tym czasie mieszkała w Grudziądzu. Przestałem wierzyć, że kiedykolwiek wyjdę z tego piekła. Danych mego towarzysza nie mogłem otrzymać, ponieważ często tracił ze mną kontakt, miał silną gorączkę, pojękiwał.

Znalazłem w tych gruzach profilowaną cegłę o barwie czerwonej, dobrze wypaloną, z połyskiem błyszczącej emalii. W owalnym wgłębieniu był wypalony napis: „Grudziądzka Fabryka Klinkieru w Grudziądzu”. W tej beznadziejnej sytuacji nie znaczyło to nic, a jednak czułem, że jest to jakaś dobra wróżba dla nas.

W bocznej kieszeni mocno popalanej kurtki miałem portfel z dokumentami, Personalausweis z fotografią i plik zdjęć. Były wśród nich fotografie rodziców, rodzeństwa i okolicznościowe ze znajomymi. Często je oglądałem. W kieszeni tejsze marynarki znalazłem kostki cukru, którymi podzieliłem się z moim towarzyszem niedoli. Mieliśmy tak sucho w gardle, że język przyklejał się do podniebienia i trzeba było palcem pomóc, aby się odkleił. Własnym moczem zwilżałem sobie usta, ale mocz miałem czerwony jak krew.

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

Straciłem rachubę czasu. Nie wiem, którego to było dnia, gdy śniło mi się, że kąpię się w Wiśle... było tak cudownie... Słyszałem polską mowę. Ciągłe zdawało mi się, że śnię, ale po jakimś czasie, znowu słyszę gwar dobiegający od strony ulicy. Długo czas leżałem chyba w odrętwieniu, nie reagowałem na te głosy. Musiałem jednak ocknąć się, ponieważ wyraźnie usłyszałem wołanie tej treści:

- Nie bójcie się, wychodźcie, tu Polski Czerwony Krzyż - przyszliśmy z pomocą.

Gwar nie ustawał i nagle uprzytomniłem sobie, że to nie sen, a rzeczywistość. Nachyliłem się nad kolegą i powiedziałem, że słyszę polską mowę. On odrzekł mi, że też słyszy, ale myślał, że to majaki. Po krótkiej naradzie postanowiłem podczołgać się do okna. Ostrzegwał mnie, że to może być pułapka. Starszy był ode mnie i bardziej ostrożny. Wyglądał już na starego człowieka, a miał zaledwie jakieś 25-30 lat.

Doczołganie się do pustego okna, z uwagi na odległość, rany i naturalne przeszkody, nie było łatwe, mimo to powiedziałem koledze, by chwycił się za moją zdrową stopę i czołgał się za mną. Sił miałem trochę więcej, ponieważ w nocy spadł obfity deszcz, zapelniając załomy blach upragnionym płynem i nic, że pełno w nim było popiołu i gruzu. Tą mokrą mieszaninę zgarniałem dłońmi i wlewałem koledze i sobie do ust. To była cudowna sprawa, ta mokra breja w naszych warunkach.

Czołgaliśmy się w kierunku okien. Im bliżej byłem celu, tym szybciej starałem się czołgać. Kolega jednak słabł, już nie mógł dalej, puścił moją nogę i jęcząc mówił:

- „Jastrzębiec” idź i zobacz, może to naprawdę nasi.

Doczołgałem się wreszcie na skraj ściany, podniosłem głowę i zobaczyłem, że przy bramie na noszach leżało kilku rannych. Koło nich krzątało się parę osób w białych kitlach. Jednak pierwszą rzeczą, którą zauważyłem - to Niemiec w mundurze, trzymający chorągiew z emblematem Czerwonego Krzyża. Stał na zwalonym murze, paru innych Niemców z pistoletami maszynowymi kręciło się między tą grupką ludzi, która opatrywała rannych i dość głośno rozmawiała. Nagle zobaczyłem „Dankę”, sanitariuszkę, która wraz z siostrą „Moniką” wyprowadziła mjr. „Zdana” z sali, w czasie rozstrzeliwań. Wychyliłem się bardziej, bo już zupełnie upewniłem się, że to jest pomoc. W tym momencie - jak podniosłem się do połowy - z dołu zobaczył mnie jeden z Niemców z eskorty i wskazał ręką do góry, krzyżując jednocześnie:

- Dort oben ist ein Mensch!

Na te słowa „Danka” i inni w białych kitlach podnieśli głowy we wskazanym kierunku i zaczęli wołać.

- Nie bójcie się, to pomoc Czerwonego Krzyża, pokażcie się!

Podczołgałem się jeszcze bliżej muru i spojrzałem w dół. Pode mną przepaść jednego piętra. Wtedy Niemcy podnieśli na w pół wypaloną krokiew,

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

najeżoną z jednej strony potężnymi gwoździami. Ustawili ją tak, bym mógł zjechać po niej w dół. Przy pomocy innego Niemca, który wszedł po krokwi na górę, ja i mój kolega, który w międzyczasie podciągnął się bliżej, zostaliśmy ściągnięci na ulicę. Gdy znalazłem się na bruku przed bramą, podbiegła do mnie „Danka” i mówi:

- Jesteśmy tu z pomocą, już nie ma zagrożenia.

Jej głos, twarz tak dobrze zapamiętana i pewność, że jesteśmy wolni, wśród swoich, sprawiły, że zawirowało mi w głowie i zemdlałem. Za dużo było przeżyć w ostatnich dniach, i jeszcze to nieoczekiwane, graniczące z cudem ocalenie... Jak przyszedłem do siebie i otworzyłem oczy, zobaczyłem pochylonego nad sobą Niemca, który rewidował szczątki mego ubrania. Wyciągnął portfel i bardzo uważnie zaczął przeglądać jego zawartość, fotografie i Personalausweis. Podał drugiemu żołnierzowi ausweis i powiedział:

- Hans, das ist unser Mensch geboren in Granden.

Ten drugi przykucnął przy mojej głowie i przystawił mi manierkę do ust. Zachłysnąłem się piekącym łykiem alkoholu - był to koniak. Po całym cieple rozlało się błogie ciepło. Chwyciłem manierkę i raz jeszcze chciwie przechyliłem do ust. Koniak dobrze mi zrobił, gdyż cały trząsałem się z zimna. Tam, na górze było gorąco od rozgrzanych murów, ale tu na dole chłód i wilgoć. Przy mnie na noszach leżał już towarzysz niedoli. Niemcy nadal mnie rewidowali. Jeden z nich znalazł w kieszeni spodni pudełeczko z maszynką do golenia. Dla mnie była to cenna pamiątka, którą otrzymałem od mojego przyjaciela z Krakowa. Była z masy perłowej, bardzo ładna. Niemiec obejrzał ją na wszystkie strony i schował do swojej kieszeni. Krzątanie koło rannych trwało do późnych godzin wieczornych. Wyciągano ich z wypalonych, zasypanych piwnic szpitala, którzy z łaski Najwyższego cudem ocalili.

Upłynęło sporo czasu od zdjęcia nas z piętra. Nie przypominam sobie momentu udzielenia pomocy koledze, z którym tragiczny los mnie związał - byłem dalej w szoku. Pamiętam tylko, że rozmawiała ze mną „Danka”, udzielała mi pomocy, podchodziły i inne siostry. Być może, że była też siostra „Monika”, która jak się później zorientowałem, kierowała tą grupą ekspedycyjną. Leżałem na noszach, nierozpoznany przez swoich. Musiałem zapadać w sen i budzić się, ponieważ nie zauważyłem, jak ściemniło się. O zmierzchu byłem zupełnie trzeźwy i wtedy zacząłem dostrzegać, co się wokół mnie dzieje. Zauważyłem, że takich uratowanych jak ja, dzięki ofiarności naszych dzielnych sanitariuszek, było około dziesięciu-piętnastu.

Wykorzystałem moment, że Niemców przy mnie nie było, a obok przechodziła „Danka” - zawołałem ją po imieniu. Podeszła, przyklękła i nachyliła się nad moją głowę. Widziałem jej zdumienie na dźwięk swego imienia.

- Co chcesz dziadku? - mówiąc to bardzo uważnie patrzyła na moją twarz.

Uniosłem głowę i mówię:

- „Danka” - to ja „Jastrzębiec”, nie poznajesz mnie? Przecież jestem od mjr. „Zdana” - szepnąłem na końcu.

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

„Dankę” jakby grom z jasnego nieba oświecił - tak zareagowała. Rzuciła się na mnie, uniosła mi głowę, zaczęła całować i płakać.

- „Jastrzębiec” - kochany... jesteśmy dzisiaj już trzeci raz i za każdym powrotem „Zdan” pytał, czy znaleźliśmy „Jastrzębca”. Ja myślałam, jak znoszono cię z góry i udzielałam ci pomocy, że jesteś jakimś zaplątanym starszkiem. O Boże! Jak „Zdan” i „Monika” się ucieszą. Ona tu jest i kieruje tą akcją ratunkową. Muszę zawiadomić ją, że jesteś, że żyjesz.

Pobiegła po siostrę „Monikę”, która w tym czasie była gdzieś w głębi wypalonego budynku i penetrowała zakątki w poszukiwaniu jeszcze żyjących. Już widzę jak biegnie do mnie, wyprzedzając „Dankę”. Klęka, pochyla się nad moją twarzą. Patrzą na jej potwornie zmęczoną, ale zawsze piękną twarz, w oczy teraz pełne łez. Z ogromną troską i matczyną miłością otoczyła mnie ramieniem i tuląc szepnęła:

- „Jastrząbku” syneczku... przez moment nie wątpiłam, że żyjesz. „Zdan” będzie szczęśliwy, nawet nie wiesz jak jesteś mu bliski. Jesteśmy w bezpiecznym miejscu na Krakowskim Przedmieściu u oo. karmelitów.

Nie uszło uwadze Niemców, że wokół mojej osoby wzrosło zainteresowanie. Podeszli bliżej i zapytali siostrę „Monikę”, co tu się dzieje? - odpowiedziała:

- Ten ranny - to krewny tej sanitariuszki, i wskazała ręką w stronę „Danki”. Chyba uwierzyli widząc ją zapłakaną.

Był późny wieczór, niebo pełne rozjarzonych gwiazd, jak ta cała niesamowita karawana ruszyła z ul. Długiej Podwalem w stronę pi. Zamkowego. Sceneria niepowtarzalna: ruiny, morze ruin, ulice nie istniały. Podchodziło się po gruzach do wysokości pierwszego piętra, łoskot usuwających się kamieni, gdzieś dymiące ruiny domów z wypalonymi oczodołami okien, rozgwieżdżone niebo, ciężkie oddechy ludzi zmęczonych z ekipy sanitarnej. Z dala, od strony Śródmieścia wybuchy i świst pocisków, błyski rakiet. To Śródmieście walczyło i żyło swym powstańczym życiem.

Trudno opisać, ile zmiennych uczuć targało naszymi duszami i sercami. Co jakies 100 metrów pochód przystawał i odpoczywał. Mnie od strony nóg niosła na noszach „Danka”, która nie odstępowała mnie przez całą drogę. Niemcy po jakimś z kolei odpoczynku, widząc, że sanitariuszki upadają ze zmęczenia, włączyli się do pomocy.

Ja ciągle byłem czujny i spięty. Mimo zapewnień „Danki”, a potem „Moniki”, nie mogłem się pozbyć uczucia, że za chwilę ten dobry sen się skończy, że te draby z rozpylaczami na szyi wprowadzą nas w gruzy, rozstrzelają wraz z sanitariuszkami i skończy się ta cała komedia.

Tymczasem pochód wszedł na pi. Zamkowy. Moje nosze znów na moment zostały postawione na gruzach - tym razem obok zwałonej Kolumny Zygmunta, tuż koło jego figury leżącej na wznak. Z trudem wyciągnąłem rękę i ze wzruszeniem i czcią pogłaskałem, pokaleczoną, ukoronowaną głowę i miejsce, gdzie zwykle bije ludzkie serce. Miecz król Zygmunt miał w prawej

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

dłoni, ale czy w lewej miał krzyż, nie pamiętam. Miał liczne wyrwy i dziury po kulach i odłamkach na swym metalowym ciele. Tak strasznie smutno mi się zrobiło, gdy zobaczyłem dumny symbol Warszawy w pohańbieniu, leżący w gruzach, na bruku. Wokół cisza, szyny tramwajowe powyginane ku niebu, jakby wyciągały ramiona wołając o pomstę do nieba.

Z zadumy wyrwała mnie siostra „Monika”, która niepostrzeżenie podeszła do mnie i zapytała:

-Jak się czujesz „synku”? Już niedaleko! Niedługo zobaczysz się ze „Zdaniem”, tylko przed tym umyjemy cię, by mógł poznać swego pupila. Wyobrazam sobie, jaką to będzie dla niego radością! Zawsze mówił - szukajcie „Jastrzębca”, on musi żyć! Bóg łaskaw. Poglaskała ręką moją głowę i oddaliła się do przodu naszej grupy.

Z podziwem patrzyłem na jej ginącą w mroku nocy wysoką, szczupłą sylwetkę. Przecież na jej barkach spoczywało całe to niebezpieczne, karkołomne i niepowtarzalne w swej wymowie przedsięwzięcie, wyrwania ze szponów zachłannej śmierci, chociaż kilka jeszcze istnień ludzkich. Ciągłe wirowały mi w głowie niesamowite myśli, węszyłem w dalszym ciągu podstęp. Jak długo te bestie udawać będą „bożych baranków”? Nasze ocalenie równałoby się z cudem. Przecież tak niedawno widziałem ich w akcji na ul. Długiej 7 ... A cała Warszawa? A ta pohańbiona Kolumna Zygmunta i wypalony Zamek Królewski?

Nie! To niemożliwe - ta sielanka na pewno zaraz się skończy. Mijały minuty, kwadransy, godziny, a jakoś przewidywania moje nie sprawdzały się - Bogu Miłosiernemu dzięki...

Ruszyliśmy w dalszą drogę. Minęliśmy ul. Miodową, ul. Trębacką i obok pomnika Adama Mickiewicza skręciliśmy w lewo do klasztornej bramy oo. karmelitów. Przeniesiono mnie do dużego pomieszczenia w piwnicy, gdzie już czekały kobiety z gorącą wodą w przenośnych wannach. Położono mnie na szerokiej ławie i jakaś pani zaczęła delikatnie mnie myć. Ona też myślała, że ma przed sobą starca, ale „Danka” cały czas była przy mnie i pomagała w myciu. Najbardziej mnie krępowała moja zupełna nagość. Po umyciu, podtrzymywany przez „Monikę” i „Dankę” wprowadzony zostałem do salki szpitalnej, w której leżał mjr „Zdan” - tuż obok jego łóżka stało łóżko przygotowane dla mnie. Uściskom, ucałowaniom nie było końca, były też wcale niemęskie lzy wzruszenia. Byłem szczęśliwy, że jestem przy „Zdanie” i są przy nas takie bliskie, drogie memu sercu istoty.

Moje rany zostały dokładnie przez „Monikę” oczyszczone i od tej chwili dwa razy dziennie zmieniane były opatrunki. Po paru dniach zrobiono mi cięcie i usunięto kulę oraz odłamki. Noga szybko zaczęła się goić, mogłem już po paru dniach chodzić o kulach i być samowystarczalny. Apetyt miałem doskonały, zaopatrzenie w żywność dzięki spiżarniom oo. karmelitów zupełnie - jak na te warunki - dobre. Na tej sali leżało jeszcze kilku innych

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

chorych, a wśród nich serdeczny znajomy moich rodziców ks. jezuita, kanonik Chrobak, ciężko ranny w brzuch.

Nasz pobyt u oo. karmelitów trwał do 26 września 1944 r. Było dużo czasu na rozmowy, wspomnienia, kontemplacje. Z mjr. „Zdanem” trudno było się porozumieć, gdyż po wybuchu pocisku w Pasażu Simonsa bardzo ogłuchł. Stan dowódcy był bardzo ciężki, ale cierpienia znosił bardzo spokojnie i mężnie. Bezsporną zasługę w tym miała nasza „doktor Monika”. Ona była wszędzie - zawsze spokojna, pogodna dziwnie kojąca. Była najlepszą pielęgniarką, duszą tego całego szpitala, pocieszycielką i powiernicą każdego z nas. Ale przy tym wszystkim umiała wszystkim trzymać na dystans i wspaniale grała swoją rolę, do tego stopnia, że ja sam uwierzyłem, iż w życiu prywatnym jest lekarzem. Pamiętam, jak siostra „Monika” subtelnie i długo przygotowywała mjr. „Zdana” do pogodzenia się z koniecznością amputacji nogi. Wyrok taki wydał specjalnie przez „Monikę” sprowadzony z pobliskiego Szpitala św. Rocha chirurg, dr Wiechno. Dziś trudno mi sobie wyobrazić, ile zwątpień przeżywała, ilu różnych zabiegów dokonać musiała, by operacja została przeprowadzona prawidłowo - nie na sali chirurgicznej, w szpitalu z prawdziwego zdarzenia, a w jednej z cel zakonnych, na zwykłym stole - a przy tym nie zdemaskować się i dalej nieść pomoc chorym w skórze „chirurga”. W tamtej sytuacji miało to zasadnicze znaczenie dla całej braci z ul. Długiej 7.

Bardzo głęboko przeżywałem, gdy mjr. „Zdana” zabierano na operację, a następnie przyniesiono już po operacji, którą przeprowadził dr Wiechno w asyście drugiego, młodego lekarza i „Moniki”, która trzymała stopę amputowanej nogi aż do końca. Z uwagi na brak środków znieczulających i usypiających amputacja była przeprowadzana dosłownie „na żywo”. Mjr „Zdan” zachował się jak prawdziwy bohater. Bardzo dzielnie znosił swój ciężki stan. Było to zasługą jego niezłomnego charakteru, jak również opieki i klimatu, jaki stworzyła „Monika”.

„Zdan” lubił, jak siadałem na krawędzi jego łóżka i prowadziliśmy długie dysputy. Nieraz były to wyłącznie monologi „Zdana”, mówił i jakby zgadywał moje myśli. Znał mnie dawno i dobrze z konspiracji w Bończy i w okręgu krasnystawskim, potem ze Szkoły Podchorążych, ze współpracy w okresie mojej pracy w firmie niemieckiej, następnie w akcjach specjalnych przerzutów broni i innych zadań, często wykorzystywał do celów konspiracyjnych mój pokój przy ul. Akademickiej 3, a mimo to był w stosunku do mnie szorstki i wymagający. Prawdą jest, że nikogo nie posłał do akcji, jeżeli przedtem sam nie sprawdził terenu lub nie był przy nas. I teraz, kiedy już byliśmy wyłączeni z walki, kalesy, w warunkach szpitalnych wracaliśmy wspomnieniami, analizowaliśmy, krok po kroku, zadanie po zadaniu, akcję po akcji. Jedną z najniebezpieczniejszych i w skutkach najtragiczniejszą była akcja grup - „Czemboriego” i mojej - niedopuszczenia czołgów i min kroczących do naszej barykady, która ryglowała dostęp do Banku Polskiego. Wstrzyma-

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

liśmy wtedy potężny napór jednostek pancernych. Wyeliminowaliśmy z walki 2 samochody opancerzone z załogami, „Tygrysa” i „Goliata” - minę kroczącą. Ta brawurowa, niebezpieczna akcja, przeprowadzona już w obrębie terytorium wroga, który wyposażony był we wszystko - czego wymaga nowoczesna sztuka wojenna - zatrzymała tę nawałę, nie przepuściła wroga, tworząc przed barykadą jeszcze większe skupisko wraków - zator, a tym samym wzmacniając naszą pozycję na barykadzie. Akcja ta kosztowała życie całej grupy „Czemboriego”. Fragment naszych codziennych zmagania z przewyższającymi technicznie i liczebnie siłami wroga, odbywał się na oczach całej brygady i naszego dowódcy. Gdy „Bors” i „Znicz” przywlekli mnie do Banku Polskiego z ciężką kontuzją po wybuchu miny - „Goliata”, mjr „Zdan” przyjął nas wręcz chłodno, aczkolwiek jak mi wiadomo chwalił się tą akcją na odprawie dowódców, zdając dokładną relację i wymieniając nazwiska i pseudonimy uczestników. „Monika” była przy tym, udzielała mi pierwszej pomocy i mówiła, że mjr „Zdan” postanowił wystąpić do dowództwa o Krzyż Orderu Virtuti Militari dla tych kilku, co ocalili oraz pośmiertnie dla poległych. O tych wszystkich sprawach rozmawialiśmy w okresie pobytu w szpitalu oo. karmelitów.

Kochaliśmy swego dowódcę, bez sprzeciwu szliśmy na jego rozkaz w najcięższy bój. Byliśmy niewiarygodnie odważni czy to na Woli, czy przy reducie Banku Polskiego. Ale jednocześnie jak dzieci, pragnęliśmy uznania czy pochwały ze strony dowódcy. Takie to rozmowy toczyły się między nami. Często brała w nich udział nasza „doktor” siostra „Monika”, która była zorientowana w najdrobniejszych szczegółach naszej kompanii i знаła dobrze nasze poszczególne dramaty i sukcesy. Rozmowy te, atmosfera serdeczności, jaka nas otaczała, sprawiły, że staliśmy się sobie bliscy i jeszcze bardziej scementowała się nasza przyjaźń, która trwała długie lata po wojnie.

W okresie pobytu w szpitalu oo. karmelitów przeżywaliśmy wiele ciekawych momentów. 15 września wojska radzieckie i polskie zajęły Pragę. Był taki moment, gdy Niemcy w popłochu opuścili szpital z okrzykiem „Der Russe ist da”, pozostawiając nas bez opieki. Po kilku godzinach powrócili. Widzieliśmy jak przyprowadzili na dziedziniec jeńców z Polskiej Armii, która forsowała Wisłę, na tzw. Płyce Czerniakowskiej.

26 września 1944 r. oo. karmelici dostali rozkaz ewakuacji Seminarium i szpitala. Siostra „Monika” skłoniła dr. Petera Mullera, do udzielenia zezwolenia na skorzystanie z samochodu ciężarowego, dostarczającego żywność dla wojsk stacjonujących w hotelach „Bristol” i „Europejski” - i tym samochodem wypełnionym rannymi, łącznie z czterema żołnierzami niemieckimi, ułożonymi na samym przodzie tuż przy wejściu na platformę, konwojowani przez dwóch żołnierzy z flagą Czerwonego Krzyża, ewakuowani zostaliśmy do Włoch koło Warszawy.

Po wyniesieniu wszystkich rannych i złożeniu w korytarzu włochowskiego szpitala, siostra „Monika” wraz ze swoją rodzoną starszą siostrą, Danutą

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

Jabłońską, przeniosły mjr. „Zdana” i mnie (zabrały również „Danke”) do mieszkania ciotki p. Heleny Bukowińskiej przy ul. Globusowej. Po dwóch dniach, w czasie których zawiadomiła swoich rodziców mieszkających w Pruszkowie, „Monika” przyjechała po nas furmanką, zaprzęzoną w dwa silne konie. Przewiozła nas, również pod flagą Czerwonego Krzyża, do domu swojego rodzinnego, gdzie z miejsca zostaliśmy otoczeni bardzo troskliwą opieką. W tym patriotycznym, isticie po polsku gościnnym domu spędziłem kilka dni, ale nie mogłem i nie miałem sumienia narażać tych wspaniałych ludzi na niebezpieczeństwo. W okresie tym w czterech pokojach przebywało już około 40 osób, a doszedł jeszcze mjr „Zdan”, ciężko chory, wymagający nieustannej opieki lekarskiej. Udzielał jej z całym poświęceniem - „Zda-nowi” i mnie - ojciec „Moniki” dr Bolesław Kłosowicz.

Gdy już mogłem jako tako kuśtykać, po porozumieniu się z „Moniką”, opuściłem (przyznaję, że z żalem) jej gościnny dom. „Monika” nie chciała się zgodzić, ale wytłumaczyłem jej, że mam rodzinę w Pruszkowie. Uwierzyła i tak rozstaliśmy się, obiecując, że po zwycięskiej wojnie odnajdziemy się.

Wiele jeszcze potem działo się ze mną. Obóz przejściowy w Pruszkowie, gdzie z własnej winy nieopatrznie dostałem się, ucieczka z obozu, wyjazd do Skierniewic, Krakowa, a następnie Grudziądz, gdzie 6 marca 1945 r. doczekałem wyzwolenia, po sześciotygodniowym oblężeniu przez Armię Radziecką.

Z mjr. „Zdanem” nawiązałem łączność w 1947 r. Już wtedy mieszkałem w Wałbrzychu na Dolnym Śląsku. Przyjaźń zrodzona w tych strasznych, okupacyjnych dniach przetrwała z jeszcze większą siłą po wyzwoleniu, przełaziła się na nasze domy, aż do tragicznej śmierci Tadeusza w 1956 r.

Na zakończenie moich wspomnień muszę jeszcze poświęcić słów kilka por. siostrze „Monice” *vel* „dr Monice”.

Cała rodzina Moniki tkwiła po uszy w konspiracji. Ojciec, lekarz przymusowo zatrudniony w obozie przejściowym w Pruszkowie, jak mógł i kiedy mógł wyprowadzał poza bramę dziesiątki warszawiaków. Matka od 1940 r. była jedną z najstarszych łączniczek Armii Krajowej na terenie okręgu pruszkowskiego<sup>1</sup>. Brat Zbigniew, przedwojenny oficer **WP**, był dowódcą kompanii saperów Armii Krajowej i jemu Pruszków zawdzięczał rozminowanie elektrowni pruszkowskiej i dwóch mostów. Wreszcie dwie siostry Danuta i Helena - „Monika”, obydwie po tajnych podchorążówkach, dzielne sanitariuszki Armii Krajowej.

Po paru latach powojennych, dowiedziałem się, że „Monika” już 1 sierpnia 1944 r. straciła dwie najbliższe sercu istoty, męża i 3-letniego synka, którzy zginęli od zabłąkanych kul w jednej z pierwszych potyczek powstańczych. O swej tragedii dowiedziała się 6 sierpnia, kiedy to, odprowadzając ze Starówki

---

<sup>1</sup> Pomyłka autora. Nie było okręgu pruszkowskiego AK, był 8 Rejon Obwodu Warszawskiego Okręgu AK I [przyp. red.].



#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

na ul. Pańską zszokowaną siostrę „Małgorzatę”, wstąpiła do swego mieszkania. Wróciła jeszcze tego samego dnia i przystąpiła do walki z jeszcze większym poświęceniem i niewiarygodną odwagą. Nie mogłem wprost uwierzyć, a przecież byłem przytomnym świadkiem tych niesamowitych przeżyć, że ta piękna kobieta mogła znieść tyle cierpień moralnych i fizycznych i jeszcze miała siły na uratowanie wielu istnień ludzkich, w sytuacji rozpasanej mordem, bestialstwem hordy hitlerowskiej na Starym Mieście.

Zastanawiam się i nie mogę sobie odpowiedzieć, dlaczego dopiero po trzydziestu dziewięciu latach - odszukałem „Monikę” i nawiązałem z nią kontakt? Widocznie oczarowany byłem wolnością, zaabsorbowany studiami, potem przyszła miłość, małżeństwo, dwóch dziś już dorosłych synów, praca, praca i tak zaczęła się jesień życia. Czas, w którym częściej wraca się do przeżyć młodości, do wspomnień dobrych i złych. I w takich chwilach refleksji zaczęła znów pojawiać się sylwetka siostry „Moniki” i utrwałać się przekonanie, że jestem jej dożgonnym dłużnikiem, ponieważ po raz drugi dała mi życie.

Dlatego tyle strof jej poświęciłem, aby choć w ten sposób złożyć wyrazy hołdu i uznania tej skromnej, a jednocześnie twardej, mocnej i wspaniałej kobiecie - człowiekowi.

#### **Relacja ppor. Władysława Wekera, ps. „Sylwester”**

Po walkach o Szkołę im. Konarskiego pod dowództwem kpt. „Sosny” i wykruszeniu się oddziału wysłany zostałem ze swym plutonem na stanowisko przy pl. Kercelego z zakazem nawiązywania walki zaczepnej, a tylko obronnej w wypadku wtargnięcia hitlerowców na ul. Ogrodową.

Po zdobyciu Woli i pl. Kercelego przez Niemców oraz ich wejściu na ul. Chłodną otrzymałem przez łączniczkę rozkaz wycofania się na kwaterę, tj. na róg ulic Ogrodowej i Wroniej. Tu dowiedzieliśmy się, że płk Szeptycki rozwiązał nasz oddział i pozwolił tym, którzy mają najbliżej do domów, rozzejść się dla ratowania rodzin. Samego płk. Szeptyckiego też już nie zastałem.

Wobec tego, że walka była moim obowiązkiem jako Polaka i żołnierza, zwróciłem się do mego plutonu; prawie wszyscy chcieli dalej brać udział w walce. Znaleźli się również inni, z pozostałych plutonów, tak że miałem oddział złożony z 20 chłopców. Poza tym zgłaszali się inni, przyjmowałem, ale tylko tych, którzy mieli broń.

W szybkim czasie miałem już 32 żołnierzy i tak niezłe uzbrojeni przeszliśmy się przez Sądy na Lesznie. Tam trochę przećwiczyłem z nim na podwórzu Sądów; musiałem zapoznać się z nowo przybyłymi. Stamtąd udaliśmy się przez ul. Elektoralną, pi. Bankowy i dotarliśmy do dawnego

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

Arsenału. Była noc i względny spokój. Jakiś inny oddział miał Arsenau. Siady walki były wszędzie widoczne. Prosiłem dowódcę o skontaktowanie mnie z dowództwem Starego Miasta. Byłem sam i czułem się zagubiony. Byliśmy wszyscy bardzo zmęczeni i głodni. Noc była chłodna, spaliśmy i czuwaliśmy na przemian. Rano zjawił się łącznik i zaprowadził mnie do dowództwa. Zameldowałem liczbę ludzi i stan uzbrojenia. Całość oddziału zgodnie z moim powstańczym imieniem i za zgodą wszystkich żołnierzy, jako oddział „Sylwestra”. Wiem że Główna Kwatera była przy ul. Długiej. Wchodziło się z ulicy, parę schodów w dół lub na górę i na lewo. Wartownik wpuścił mnie do małego pokoju, gdzie znajdowało się biurko, przy którym siedział starszy, siwy mężczyzna, nie miał dystynkcji. W pokoju był jeszcze ktoś z dystynkcjami majora lub kapitana. Po moim zameldowaniu się, kazał mi oddział zakwaterować w Hotelu Polskim. Wiem, że następnego dnia była niedziela czy też święto. Więc już były wywieszane polskie flagi. Odgłosy walki dochodziły tylko z daleka. Można było nazwać to „ciszą przed burzą”. Po doprowadzeniu oddziału do porządku wysunąłem tych, którzy mieli karabiny na czoło, a ci, którzy mieli tylko granaty maszerowali w środku, a na końcu byli „butelkowcy”. Całość szła dwójkami. Miałem też 3 lub 4 łączniczki, te szły na samym końcu, z torbami lekarskimi.

Prezentowaliśmy się nieźle - myślałem, jak ta „zbieraninka” zda egzamin ognia, bo wiedziałem, że będzie ciężka walka. Stare Miasto było w kotle. Mój pluton bił się już o szkołę, ale to, mimo strat, była zabawka. Tutaj będziemy się bili o każdy próg, a stawką było własne życie, życie kolegów i koleżanek z własnego i innych oddziałów AK. Witano nas okrzykami, w chłopcach rosa zaciętość do walki i duma, że oni, którzy w większości byli 15- lub 16-latkami, są obecnie polskimi żołnierzami i że nareszcie ujawnili się.

Otrzymaliśmy kilka pokoiów na ostatnim piętrze Hotelu Polskiego. W największym z pokoiów zająłem ostatnie miejsce przy wyjściu. Nie mieliśmy łóżek, a tylko materace i sienniki. Przyniesiono też koce.

Potem nasze łączniczki poszły do miejscowej kuchni, żołnierze przynieśli dobrą gorącą zupę i chleb, jakieś miski i talerze oraz łyżki, dla tych którzy nie byli w nie zaopatrzeni. Niektórzy mieli własne manierki, a większość własne łyżki, ci, którym ich brakowało, zdobyli je bardzo szybko, ja też otrzymałem polską żołnierską manierkę.

Kazałem się umyć i iść spać. Na podwórzu hotelu był drewniany parkiet, zaimprovizowana muzyka grała do tańca i widziałem z daleka przez okno, że taki był tam tłok i ciasnota, iż koło tańczących sięgało dużo dalej.

Rozstawiłem warty na korytarzu. W pewnym momencie warta zawiadomiła mnie, że jakiś hitlerowiec, oficer gestapo, znany ze swych wyczynów został tam żywcem zagrzebany do połowy ciała i że po nim ten tłum tańczy. Pogłoska szybko rozeszła się i chłopcy umyć, a niektórzy ogoleni, zaczęli mnie prosić o zezwolenie na tańce, aby wyrzucić swoją zemstę.

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

Kategorycznie zabroniłem im zejścia na dół. Nie chciałem uwierzyć w tę pogłoskę, a jeżeli to była prawda, to nie chciałem, aby żołnierz z mego oddziału hańbił się pastwieniem nad bezbronną ofiar, choćby to był gestapowiec. Kazałem im też o godz. 6.00 zrobić capstrzyk. Podporządkowali się bez gadania.

Następnego dnia kazano nam przenieść kwaterę na drugą stronę ul. Długiej, do dużej kamienicy, zimnej i ponurej, gdzie znajdował się magazyn sukna i płócien.

Dnia tego mieliśmy wypoczynek, leżeliśmy na suknach, a raczej belach, szukaliśmy grubszych materiałów, aby się nimi w nocy nakrywać, a mimo to marziliśmy.

Z samego rana następnego dnia kazano nam zejść bez broni do jakiejś pracy. Kazałem zostawić całą broń pod opieką młodszych, ale dzielnych żołnierzyków, bo zdarzały się wypadki kradzieży broni, a sami wyszliśmy na ulicę. Okazało się, że zostały przez nasze oddziały zdobyte magazyny żywnościowe na Stawkach i mieliśmy rozkaz przyniesienia w określone miejsce worków z cukrem, kaszą i mąką.

Byliśmy tam trzykrotnie. Dwukrotnie zgodnie z rozkazem przynieśliśmy worki dla kwatermistrzostwa, za trzecim razem dla naszego oddziału. Skąd brały się siły tych chłopców? Za trzecim razem było już zupełnie widno, gdyśmy z workami biegli pod pierwszą osłonę, kule świstały koło uszu, obeszło się jednak tylko dziurami w workach. Dziury te zatykało się byle czym, a potem nasze panie łątały i cerowały worki. Dzięki tej zdobyczy mieliśmy co jeść, a cukier w kostkach wystarczył mi do obozu w Pruszkowie, a więc przez cały okres Powstania na Starówce.

Nasze sanitariuszki gotowały nam z tych zapasów zupy, piekły placki, mieliśmy stale gorącą herbatę. Mogliśmy się również dzielić z głodną ludnością cywilną w miejscu zakwaterowania oddziału.

Następną kwaterą była sala przy ul. Daniłowiczowskiej. Dawne foyer Teatru im. Bogusławskiego, później kina Miejskiego. Potem kwaterą były podziemia apteki.

Dzieliłem dużą salę piwniczną z oddziałem por. Nałęcz. Był to oddział, który uprzednio zdobył Pałac Blanca. Wszyscy podlegaliśmy komendzie kapitana, potem majora „Zdana”. Podzieliłem oddział na dwa plutony. Dowódcą drugiego plutonu był jeden z robotników, którego przyjąłem, sierżant rezerwy, bardzo dzielny i energiczny człowiek - nazwiska nie pamiętam. Do walki kierowałem zwykle jeden oddział i jak trzeba było walczył do zluźnienia go.

Niestety ubywało ludzi i broni. Zaczęliśmy broń, głównie amunicję, zdobywać na zabitych lub rannych żołnierzach niemieckich. Jaka to była radość, gdy jeden z moich żołnierzy zdobył karabin z lunetą na jakimś niemieckim snajperze.

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

Z początku chłopcy, jak słyszałem, przechwalali się między sobą, co który zrobił. Potem byli tak pomęczeni, że po zejściu ze stanowisk i jakim takim oporządzeniu broni oraz po posiłku, rzucali się na sienniki lub materace, które poprzynosili z pustych mieszkań i natychmiast zasypiali kamiennym snem. Aby obudzić niektórych musieliśmy potrząsać nimi.

Odcinek, który mieliśmy - zależnie od sytuacji - to były ruiny Pałacu Blanca, ruiny ratusza, klasztoru ss. Kanoniczek, „Rygiel”. Zabity został mój sierżant, trzech żołnierzy spośród tych, których przyjąłem odeszło do AL. Byli bardzo dzielni. Oświadczyli mi, że należą do AL i tam jest ich miejsce. Następnego dnia po odejściu zginęli wszyscy razem od bomby lub „krowy” w pasażu, wraz ze sztabem AL. Może by któryś z nich ocalał.

Liczba chłopców stale malała. Oddział liczył już tylko 18 ludzi. Było paru lekko rannych, ale do akcji nie nadawali się. Kilku ciężko rannych było w szpitalach.

15 sierpnia mieliśmy od rana pozycje na „Ryglu”. Około godz. 8.00 od ul. Senatorskiej wdarli się Ukraińcy z SS-Galizien. Duże dobrze wyposażone chłopcy. Pierwsi zostali odparci, lecz przez otwory w wypalonych magazynach pchali się następni. Zauważyłem, że mój najmłodszy, najbardziej lubiany żołnierz otrzymał postrzał. Wyciekał mu z rany w głowie mózg pomieszany z krwią. Zszedłem ze stanowiska, aby ściągnąć go za nasyp. Powiedział jeszcze parę słów, zobaczyłem łzy w jego oczach i skonał. Z powrotem wpełznąłem na swoje stanowisko, wziąłem na cel Niemca, ale drugi był szybszy. Poczulem stuknięcie w lewy bok, lekki ból i zobaczyłem, jak po lewym ręku ścieka mi krew. Chciałem ją podnieść, aby utrzymać karabin, ale ręka mi zwiśla. Ogarnąłem położenie, pozostali chłopcy dobrze się bronili, ale nasz kąt prawie milczał. Zorientowałem się, że wedrą się na „Rygiel”. Spęłłem z pozycji, pobiegłem, znacząc krwawą ścieżkę, do kpt. „Zdana”, powiedziałem mu o sytuacji i może z upływu krwi zrobiło mi się słabo.

Kapitan „Zdan” poderwał część kompanii i popędzili na miejsce zagrożenia. Mnie natomiast zatamowano krew i na noszach poniesiono do Rentgena na ul. Miodową róg ul. Długiej. Tam lekarz chirurg natychmiast zrobił mi prześwietlenie, potem wziął lewą rękę w łupki i kazał przez tydzień leżeć. Położono mnie w drugiej kamienicy od kamienicy narożnej, na pierwszym piętrze od podwórza, w pokoiku, tzw. dla służby, za kuchnią. Opiekowała się mną siostra Wasilewska. Moje łączniczki przynosiły mi posiłki.

Wieczorem odwiedził mnie kpt. „Zdań”, przyniósł mi czekoladę, cytrynę i powiedział, że mnie przedstawił do Krzyża Walecznych. W książce napisanej przez kpt. Lucjana Fajera *Żołnierze Starówki*, w rozkazie baonowym nr 17 z 28 sierpnia 1977 r. znalazłem potwierdzenie tego, co mi wówczas powiedział kpt. „Zdan” (s. 276), dotąd jednak nie potwierdzono mi oficjalnie tego Krzyża, gdyż nie mógł nikt stwierdzić, że ja jestem „Sylwestrem”.

Przeleżałem tam 2 dni. Moi chłopcy, odwiedzający mnie, zaczęli się skarżyć, że po moim odejściu w oddziale wszystko się psuje i rozprzega. Nie

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

wyzaczyłem następcy, bo nikogo na to miejsce nie widziałem. Najstarszego wiekiem nie chcieli słuchać, bo miał pewne wady. Czułem, że muszę tam wrócić, ale byłem trochę za słaby i zbyt senny.

Następnego dnia (trzeciego) rano pocisk z dużego działa, a może z samolotu uderzył we front kamienicy, gdzie leżałem i wszystkich tam pogrzebał. Cudem ocalały dwie wąskie oficyny. Pęd powietrza był jednak tak silny, że w ciągu kilku godzin nic nie słyszałem. Byłem też pokryty warstwą pyłu, wyglądałem jak Murzyn. W głowie miałem drobne opiłki, które wbiły się mi w skórę i które potem stopniowo usuwałem.

Mój pokój przechylił się w kierunku podwórza w dół. Ocalały również schody prowadzące do mnie, powyżej zerwały się. Wszystko to mogło runąć. Nie ruszałem się i czekałem, aż pył opadnie. Usłyszałem głosy. To biegła siostra i moi chłopcy. Weszli ostrożnie po schodach (tylko 2 osoby) i wyciągnęli mnie z łóżka. Wróciłem do oddziału. Powiększyłem liczbę chorych i rannych, ale wprowadziłem dyscyplinę i porządek, jeśli te rzeczy mogły się jeszcze utrzymać. Praktycznie z walki byłem wyeliminowany, natomiast chodziłem na poszczególne stanowiska, sprawdzałem osłony przeciw pociskowe i odprowadzałem chłopców, jak można było najdalej. Brałem udział w nabożeństwie w naszej piwnicy, podczas tej mszy św. zostały nam gremialnie odpuszczone grzechy i przyjęliśmy Komunię św.

Potem było uderzenie czy wypad na Ogród Saski i pl. Bankowy dla uzyskania połączenia ze Śródmieściem. Niestety nie nasze. A potem zejście kanałami. Moi chłopcy stanowili ostatni oddział, który wycofał się z Ratusza. Bronili się do ostatniego naboju. Czekałem na ich powrót z bijącym sercem ukryty w bramie apteki. Usłyszałem ich ciężkie kroki. Wracali, ale dwóch z nich pozostało już tam na zawsze. Jednego rozerwały pociski z karabinu maszynowego, drugi zginął w podziemiu Pałacu Blanca. Gdy doszliśmy do wjazdu przy ul. Długiej koło pl. Krasińskich, wchodził oddział „Radosława”. Gdy się skończył, podeszliśmy z kartką kolejnej numeracji, wydaną przez dowództwo. Dowódca żandarmerii mjr Barry odmówił wpuszczenia mnie do kanału, ze względu na moje szyny. Wówczas moi żołnierze odmówili wejścia do kanału - „Jak Pan Porucznik nie może, to my też nie”.

Ze łzami w oczach oddawali swoją broń tym, co szli do kanału, była chyba godz. 7.00 rano, gdy samoloty zrzuciły bomby na szpital po drugiej stronie ul. Długiej, naprzeciwko wjazdu. Przeznaczone były one zapewne na wjazd.

Budynek się zawalił. Moi chłopcy, którym (pozostało ich tylko ośmiu) kazałem zrzucić panterki i inne części żołnierskiego ekwipunku, rzucili się już jako cywile do ratowania rannych.

Ostatni oddział wszedł do wjazdu, choć z niego wybiegali ludzie przerażeni gazem, jaki Niemcy spowodowali, wrzucając karbid do kanałów.

Zjawili się pierwsi żołnierze niemieccy, wskazali drogę wyjścia przez ul. Miodową, budynek Hipoteki, ul. Daniłowiczowską, pl. Teatralny, ul. Senatorską, ul. Elektoralną, ul. Chłodną i ul. Wolską. Potem był kościół św. Sta-

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

niśława na Woli, obóz w Pruszkowie, wyrzucanie z wagonów na terenie Generalnej Guberni, w okolicy miasteczka Białobrzegi, ale to już inna historia.

##### **Relacja ppor. Wiktora Woronowicza, ps. „Wiesław”**

Po wybuchu Powstania Warszawskiego kompanie należące do Batalionu im. W. Łukasińskiego AK, 1 sierpnia 1944 r. po południu oraz 2 sierpnia 1944 r. rano, zgromadziły się na Starym Mieście.

Dowództwo batalionu, na czele ze swym dowódcą mjr. „Sienkiewiczem” (inż. Olgierd Rudnicki), początkowo ulokowało się w Hotelu Polskim przy ul. Długiej 29. Dowódca batalionu przez kilka pierwszych dni pełnił również obowiązki dowódcy Starówki. Zginął od pocisku 16 sierpnia 1944 r.

2 sierpnia 1944 r. rano dowódca batalionu wezwał do siebie wychowawcę ideologicznego batalionu, kpr. pchor. „Wiesława” (nauczyciel Wiktor Woronowicz) i polecił mu niezwłocznie przystąpić do zorganizowania na Starówce akcji propagandowo-prasowej, dostosowanej do warunków powstania.

Jednocześnie mjr „Sienkiewicz” oświadczył, że zgłosił się do niego były redaktor Zachodniej Agencji Prasowej Edmund Męclewski, ps. „Andrzej”, który podejmuje się zorganizowania wydawnictwa codziennego pisma przy batalionie. Postanowiono powierzyć koledze „Andrzejowi” naczelną redakcję dziennika, któremu nadano tytuł „W Walce” oraz zalecono mu dobranie odpowiednich współpracowników. Opiekę administracyjno-gospodarczą nad pismem powierzono oficerowi prasowemu batalionu ppor. „Sagetyńskiemu”.

Pchor. „Wiesław” pozostawił dla siebie zorganizowanie i prowadzenie akcji propagandowo-informacyjnej, opartej na żywym słowie.

Powyższa akcja prasowo-propagandowa Batalionu im. W. Łukasińskiego AK rozpoczęła się już 2 sierpnia 1944 r. i swym zasięgiem objęła nie tylko ten batalion, lecz i cały szereg innych jednostek powstańczych, walczących na Starówce: AK, AL, PAL, KB, PKB. Trwała ona aż do końca sierpnia 1944 r. - do upadku Starówki.

Z akcji tej również korzystała ludność cywilna, czytając pismo „W Walce” oraz biorąc udział w zebraniach propagandowych (wieczorach świetlicowych).

Pismo „W Walce” wychodziło codziennie od 2 sierpnia 1944 r., w niektóre zaś dni dwa razy dziennie (rano i wieczorem) i to do ostatniego dnia obrony Starego Miasta Warszawy, tzn. do 31 sierpnia 1944 r. Poza wiadomościami z różnych frontów wojny i aktualnymi wiadomościami politycznymi, podawanymi przez radio, w piśmie umieszczano również opisy walk toczących się na barykadach Starówki i zachęcano do dalszej walki i wytrwania.

Pierwszy numer pisma „W Walce” ukazał się 2 sierpnia 1944 r. o godz. 16.00. Był on napisany na maszynie, w kilku egzemplarzach. Następnego

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

dnia liczba egzemplarzy tego pisma, pisanych na maszynie, zwiększyła się do kilkunastu. Później przez 4-5 dni odbijano go na powielaczu w kilkuset egzemplarzach, a następnie drukowano pismo w drukarni w nakładzie sięgającym 2000 egzemplarzy. Było to jedno z najlepiej redagowanych pism Starówki, bardzo chętnie czytane przez wojsko i ludność cywilną.

Poza redaktorem naczelnym, kolegą „Andrzejem”, który był mózgiem i główną sprężyną pisma, w skład komitetu redakcyjnego wchodził profesor Piotr Szajnocha (zaginął po kilku dniach Powstania), Adam Pohl, ps. „Kuba” i kolega „Bartek”. Do zespołu reporterów pisma należeli Stefan Trzeciński, ps. „Juliusz”, Włodzimierz Szymanowski, ps. „Krzysztof”, Eugeniusz Kobieracki, ps. „Henryk”, Tadeusz Trzeciński, ps. „Fred”. Sekretariat redakcji stanowili: Wanda Rafalska, ps. „Nata”, Eugenia Kolbusz, ps. „Ewa”, „Krystyna” i „Rybak”.

Kierownikiem drukarni był „Włodek”, zaś jego zastępcą „Zdzisław”. Pomagali im doraźnie trzej zawodowi drukarze oraz kilku żołnierzy z Batalionu im. W Łukasińskiego AK w chwilach wolnych od walki.

Kolportażem pisma zajmowali się chłopcy i dziewczęta w wieku 12-16 lat.

Niejednokrotnie wykazywali oni wyjątkową odwagę i brawurę, roznosząc pismo podczas największego ognia i docierając do pierwszej linii bojowej. Troje z nich zostało zabitych, zaś kilkoro rannych. Niektórzy z nich otrzymali odznaczenia bojowe.

Drukarnia pisma początkowo mieściła się w Pasażu Simonsa (ul. Wyjazd - róg ul. Długiej i Nalewek) w pierwszej linii obronnej i była ciągle atakowana przez czołgi i lotnictwo.

Ze względu na zupełny brak warunków do normalnej pracy przeniesiono ją 20 sierpnia 1944 r. do innej drukarni, mieszczącej się przy ul. Długiej 20. Lecz i to miejsce nie było zabezpieczone przed pociskami i bombami (parter jednopiętrowego domu).

Oddział prasowo-propagandowy Batalionu im. W. Kilińskiego AK wraz z redakcją pisma początkowo mieścił się w budynku szkoły powszechnej przy ul. Barokowej 7, zaś w drugiej połowie sierpnia 1944 r. został przeniesiony do budynku fabryki cukierków Fuksa przy ul. Miodowej. Poprzedni budynek po dwóch dniach został całkowicie zniszczony przez bomby zrzucone z samolotów niemieckich.

Poza wydawaniem pisma „W Walce” Batalion im. W. Łukasińskiego podjął akcję propagandowo-informacyjną opartą na żywym słowie, przeznaczoną dla żołnierzy różnych jednostek walczących na Starówce oraz dla ludności cywilnej.

Zorganizowanie i prowadzenie tej akcji wziął na siebie pchor. „Wiesław”.

Celem objęcia tą akcją możliwie większej liczby osób postanowiono organizować w godzinach 17.00-19.00 wieczory świetlicowe w obszerniejszych lokalach. Początkowo, od 4 do 15 sierpnia 1944 r., odbywały się one w lokalu restauracyjnym Hotelu Polskiego przy ul. Długiej 29, następnie zaś ze

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

względu na to, że lokal ten był źle zabezpieczony przed bombardowaniem, przeniesiono je do innych bezpieczniejszych lokali, o większej powierzchni. Następne wieczory świetlicowe odbywały się w schronach i podziemiach Pasażu Simonsa (2 wieczory), kościoła garnizonowego przy ul. Długiej (1 wieczór), kościoła św. Jacka (1 wieczór), kościoła Najświętszej Marii Panny (2 wieczory) oraz w schronie przy ul. Świętojerskiej 16-18 (1 wieczór).

Na program wieczorów świetlicowych składały się zwykle: 1) zagajenie pchor. „Wiesława”; 2) aktualne przemówienie, które było wygłaszane przez kolegę „Andrzeja” (redaktora pisma „W Walce”) lub por. „Karola” (działacza harcerskiego), profesora Piotra Szajnochę, „Bartka”, „Kubę”, pchor. „Wiesława” i innych; 3) dzielenie się wrażeniami z ostatnich walk na Starówce; 4) występy artystyczne, w których brali udział znani aktorzy warszawscy: pieśniarka Hanna Brzezińska, Józef Orwid (zginął), ppor. „Zawadzki” (Zygmunt Morawski), Narisówna, Brzozowski, jak również siły amatorskie, wśród których na wyróżnienie zasługuje pchor. „Zawisza”, który odczytał kilka swoich, aktualnych, bardzo udanych wierszy, napisanych na barykadach, a także, mając doskonały głos, odśpiewał wiele pieśni. Niestety, ten wybitnie zapowiadający się młody utalentowany człowiek zginął ostatniego dnia obrony Starówki (31 sierpnia 1944 r.). Wyróżniała się swymi występami również sanitariuszka „Karyna” (śpiew, deklamacja), która również zginęła tegoż dnia; 5) śpiewanie przez zebranych pieśni Polski Podziemnej, zakończone zwykle „Warszawianką” (ostatni punkt wieczoru).

Pieśni Polski Podziemnej zostały odbite na powielaczu w kilku tysiącach egzemplarzy w drukarni pisma „W Walce” i każdorazowo rozdawane były uczestnikom wieczorów świetlicowych.

W sali restauracyjnej Hotelu Polskiego urządzone było podium, udekorowane godłem państwowym, flagami narodowymi, zielenią i kwiatami. Duża sala przepelniona była zwykle po brzegi. Panował niemal entuzjastyczny podniosły nastrój. Wieczory świetlicowe cieszyły się dużym powodzeniem, podnosząc na duchu oraz dając godziwy wypoczynek i odprężenie nerwowe uczestnikom niezwykle ciężkich walk na Starówce.

W drugiej połowie sierpnia dalsze urządzenie wieczorów świetlicowych w Hotelu Polskim ze względu na bezpieczeństwo zostało przeniesione do schronów i podziemi wymienionych uprzednio kościołów. Od tego czasu, wieczory świetlicowe zostały przeznaczone nie tylko dla powstańców, ale także i dla ludności cywilnej. Gdy ulica za ulicą Starówka zamieniała się w gruzy, gdy liczba ofiar wśród powstańców i ludności cywilnej stale wzrastała, a doskonała dotąd postawa ludności zaczęła się załamywać, należało niezwłocznie się przeciwstawić szerzącym się powoli wśród ludności nastrojom defetystycznym, aby nie oddziaływały one ujemnie na wciąż doskonałą postawę duchową i bojową oddziałów walczących. W tym celu na wieczory świetlicowe zaczęto zapraszać ludność cywilną, która chętnie na nie uczęszczała. Schrony i podziemia, w których się odbywały, przepelnione były ponad



#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

miarę, zaś rześiste oklaski i wspólny zgodny śpiew zebranych świadczyły o ich dodatnim oddziaływaniu.

Wobec wykorzystania wszystkich większych schronów nadających się do podobnych imprez oraz konieczności obsłużenia również mniejszych schronów, w których też ukrywała się ludność, od 26 do 31 sierpnia 1944 r. pchor. „Wiesław” odwiedzał schrony mniejsze. Rozdawał tam pismo „W Walce”, niekiedy czytał wyjątki z tego pisma, zawsze zaś wszczynął rozmowy na aktualne tematy i dyskusje, mające na celu podniesienie coraz bardziej upadających nastrojów wśród ludności cywilnej ginącej Starówki.

Wielu kolegów (koleżanek) biorących udział w akcji propagandowo-prasowej, zorganizowanej w sierpniu 1944 r. przez Batalion im. W. Łukasińskiego AK na Starówce, zostało odznaczonych za wykazaną odwagę i poświęcenie Krzyżem Walecznych i Krzyżem Zasługi z Mieczami.

#### **Relacja strz. Leszka Żukowskiego, ps. „Antek”**

W latach 1942-1944 mieszkałem w Warszawie, przy ul. Leszno 81 w Bur-sie RGO. Należałem do ZHP - „Zawiszacy”.

1 sierpnia 1944 r. w domu, w którym mieszkałem, miała miejsce koncentracja oddziału por. „Żarskiego”, podległego batalionowi „Chrobry I”, dowodzonemu przez kpt. „Sosnę”.

Jako znający teren, zostałem przyjęty do tego oddziału, początkowo jako łącznik, a po zdobyciu broni jako żołnierz.

Liczebność oddziału wynosiła około 20 osób. Wymienię zapamiętanych, zaczynając od dowódcy:

1. por. Eugeniusz Górski, ps. „Żarski” - zginął 14 sierpnia 1944 r.;
2. por. Władysław Weker, ps. „Sylwester” - dowódca plutonu na Starówce;
3. Irena Jakubowska, ps. „Irka” - łączniczka ze sztabem;
4. Stanisława Dybowska, ps. „Staszka” - łączniczka ze sztabem, sanitariuszka;
5. Janina Baranowska-Górecka, ps. „Dzidka” - sanitariuszka;
6. Marek Pawłowski, ps. „Marek” - widziałem go w sierpniu 1945 r. w Niemczech;
7. Leszek Żukowski, ps. „Antek”;
8. „Mścisław” (NN) - miał PM schmeisser, ranny 3 sierpnia 1944 r.;
9. „Smutny” (NN) - kapral;
10. Roman Radzikowski, ps. „Choraży”;
11. „Mały” (NN);
12. Ireneusz Grzelak, ps. „Jerzy Jurkowski”, „Chińczyk” - zginął 21 sierpnia 1944 r.;

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

13. Roman Olszewski, ps. „Kleryk” - wychowawca z bursy, zginął w Śródmieściu;

14. Kazimierz Podolski - zginął w Śródmieściu.

Celem ataków oddziału były koszary żandarmerii niemieckiej (własow-cy) na rogu ul. Żelaznej i Leszna, za murem getta, znajdujące się po przekątnej do skrzyżowania, w stosunku do naszego domu. Z czwartego piętra można było ostrzałem blokować dojście do bunkra, osłaniane od ulicy murem.

3 sierpnia w wyniku naszego nasilonego ataku, Niemcy prosili o wysłanie do nich parlamentariuszy, chcąc się poddać. W czasie rozmowy (pamiętam, że jednym z dwóch wysłanych na teren koszar parlamentariuszy był ksiądz katolicki, a drugim por. Kazimierz Radziszewski) Niemcy wezwali samolot, który zrzucił bombę na nasz dom, niszcząc czwarte piętro, z którego prowadziliśmy ostrzał.

Tego samego dnia, w czasie ataku na te koszary, ranny został w rękę „Mścisław”.

Nosiłem z „Dzidką” i „Staszka” rannych do szpitala polowego w piwnicach browaru Habermuscha na ul. Żelaznej róg ul. Grzybowskiej i do Szpitala im. Karola i Marii na Lesznie. Między innymi, zostawiliśmy tam kolegę z bursy - Władysława Pólko, a odebrała go pielęgniarka, znana mi wcześniej - Irena Skibińska. Rannego por. Radziszewskiego zostawiliśmy początkowo w szpitalu w piwnicach browaru Habermuscha, a potem, przed wycofaniem, zabraliśmy go do Szpitala Maltańskiego, gdzie później został zastrzelony.

6 sierpnia dostaliśmy rozkaz wycofania się na Stare Miasto. Punktami etapowymi były barykady: na ul. Ogrodowej przy ul. Żelaznej i na ul. Chłodnej przy ul. Żelaznej, którą zapamiętałem ze względu na uzbrojenie jej w granatnik lub moździerz, a wreszcie gmach Sądów na Lesznie, gdzie przenocowaliśmy.

Po przybyciu na Starówkę, zatrzymaliśmy się w Hotelu Polskim przy ul. Długiej 29, a następnie dostaliśmy kwaterę po drugiej stronie ulicy (Długa), na pierwszym piętrze, w magazynie materiałów tekstylnych. 11 sierpnia zostaliśmy przekwaterowani na ul. Hipoteczną 5.

Po odprawie odbytej 7 sierpnia 1944 r. w Hotelu Polskim, w której uczestniczył por. „Żarski” i por. „Sylwester”, zostaliśmy włączeni jako 1 pluton por. „Sylwestra” do 1 kompanii, dowodzonej przez por. „Zdana” (awansowanego w czasie Powstania do stopnia kapitana, a ostatnio majora), Batalionu im. W. Łukasińskiego.

Charakterystycznym dla por. „Zdana” dodatkiem do wydawanych rozkazów było cenzuralne, ale niepopularne słowo „rypaj”, stanowiące zarówno zezwolenie na odmeldowanie się, jak i błogosławieństwo na drogę.

Miejscami walk na Starówce, do których byliśmy odkomenderowani byli:

- Ogród Krasińskich,
- Arsenał,

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

- Pasaż Simonsa (pamiętam, że widziałem tam rkm wymontowany z samolotu strąconego na ul. Miodowej),
- Barykada na ul. Bielańskiej róg ul. Daniłowiczowskiej,
- Bank Polski,
- „Rygiel” (barykada w bramie domu przy ul. Senatorskiej, naprzeciwko kościoła św. Antoniego i barykada - komórki od strony terenu Szpitala Maltańskiego),
- Ratusz.

„Markowi” podczas akcji w Ogrodzie Krasińskich, łuska z pistoletu wytłukła dziurkę w prawym szkłe okularów, w wyniku czego nic nie widział. Sanitariuszka zakleiła mu kawałkiem plastra ten otworek, przywracając funkcjonalność okularów i dalszą jego normalną działalność. Po tych okularach rozpoznałem go już po wyzwoleniu, w sierpniu 1945 r. w Niemczech.

Poza walkami, chodziłem po zaopatrzenie dla plutonu na ul. Stawki (magazyny niemieckie) i do Wytwórni Papierów Wartościowych.

14 sierpnia po południu, razem z por. „Żarskim” byliśmy na „Ryglu”, na rozkaz por. „Zdana”. Na barykadach było jeszcze dwóch żołnierzy z innego oddziału, na komórkach od strony Szpitala Maltańskiego byłem sam. Widziałem jak por. „Żarski” trafił Niemca, znajdującego się na terenie kościoła św. Antoniego i równocześnie został przez niego trafiony w głowę. Mimo ostrzału podwórka, przez które było dojście do naszej barykady, przez „gołębiarza”, wycofałem się, czołgając wzdłuż trawnika z obmurowaniem, aby zameldować o sytuacji i wezwać na pomoc sanitariuszkę. Zaraz ściągnęliśmy por. „Żarskiego” (na pewno było to jeszcze po południu, bo przed zmrokiem) i odnieśliśmy go do szpitala polowego przy ul. Długiej 5. Tam miał robioną brzytwą trepanację czaszki; zmarł po 2 dniach (16 sierpnia), nie odzyskując przytomności. Wieczorem barykada na „Ryglu” była atakowana przez czołg niemiecki, który wjechał w bramę i ostrzeliwał ją ogniem bezpośrednim.

1 września po południu, byliśmy zgodnie z rozkazem, na pl. Krasińskich, przy władze do kanału, w celu ewakuacji do Śródmieścia.

Miałem kbk typu „Bertier” (lub „Pertier”), do którego pasowała też amunicja radziecka, ale ze względu na nieco mniejszy kaliber, łuski rozrywały się w komorze zamkowej. Dostałem przydział amunicji i rozkaz powrotu do Ratusza, z zadaniem osłony ewakuacji, a raczej pozorowania naszej obecności w ruinach Ratusza.

Rano 2 września, po wyczerpaniu amunicji, wycofałem się z Ratusza, ukryłem broń w gruzach przy ul. Hipotecznej, zdjąłem panterkę i obciąłem nożem spodnie na krótkie, a w gmachu Hipoteki wrzuciłem pod windę mapnik ze swoją legitymacją żołnierza AK.

W Hipotece zostałem pozbawiony wolności, a 7 września 1944 r. byłem już w obozie koncentracyjnym Flossenbürg.

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

##### Relacja por. dr, med. Romualda Langego, ps. „Klaudiusz”

Nie pamiętam już dziś dokładnie, po przeszło 30 latach, czy w 1941 czy też 1942 r. zwrócił się do mnie z propozycją pracy w konspiracji mjr, a później płk „Zagończyk” - podając, że pracowałbym jako lekarz, mając za główne zadanie szkolenie dziewcząt - przyszłych sanitariuszek. Poprzez niego oraz łączniczkę Stanisławę Kosmalską zostałem skontaktowany z mjr. Ostkiewiczem-Rudnickim, ps. „Sienkiewicz” (ul. Marszałkowska 65), a także z dr. Zdzisławem Kujawskim, ps. „Brom”, w mieszkaniu tegoż przy ul. Wilczej. Dr „Brom” był chyba wtedy lekarzem I Rejonu - Obwodu Śródmieście, organizującym służbę sanitarną tego, a może i IV Rejonu. Dr „Brom” zapoznał mnie z organizacją służby sanitarnej na szczeblu batalionu i dostarczył materiały szkoleniowe dla sanitariuszek. W czasie przysięgi po raz pierwszy zetknąłem się z innymi szkolonymi przez niego kolegami, lekarzami Rejonu, np. dr. Michałem Latkowskim, Włodzimierzem Kuleszą i innymi, których znałem ze studiów - pseudonimów nie pamiętam.

Następnie skontaktował mnie poprzez por. „Topora” oraz patrolową „Hanke” (chyba z d. Kreczmar) z całym patroliem, tzw. osobistym, w domu rodziców „Moniki”, „Dużej Lenki” (Heleny Lipskiej z d. Grzymała-Łaszewska). W jej mieszkaniu przy ul. Mokotowskiej 73 m. 10 odbył się później cykl szkoleniowy.

Ogniskową była Bożena Tyszevska, ps. „Klara”, patrolową „Hanka” z d. Kreczmar, zastępcą patrolowej Janka Jastrzębska z d. Ogińska, ps. „Irys”, noszowymi Helena Lipska z d. Grzymała-Łaszewska, ps. „Monika”, „Duża Lenka” i Helena Zasepa z d. Wysiadecka, ps. „Ewa”, „Mała Lenka”.

Jako kpr. lekarz Batalionu im. Waleriana Łukasińskiego do wybuchu Powstania szkolilem ten patrol w zakresie zasad aseptyki, antyseptyki, tamowania krwi, opatrywania ran, bandażowania, pierwszego ustalenia złamań, wynoszenia rannych z pola walki, robienia zastrzyków i stosowania podstawowych leków pierwszej pomocy.

Członkinie patrolu miały kontakty z innymi patrolami i szkoliły je w myśl tych samych zasad.

W czasie szkolenia zetknąłem się z p. Henryką Kalinowską, ps. „Fela” w mieszkaniu jej i jej męża, który później bohatercko spisał się na Starym Mieście - było to przy ul. Bugaj zdaje się 13.

W czasie szkolenia w mieszkaniu „Dużej Lenki” zjawiał się na lustracji wyników por. inż. Jerzy Kędziński, ps. „Kalinowski”, którego mimo okazałej postury i wagi dwie z dziewcząt Jako rannego” błyskawicznie podniosły z podłogi i ułożyły na stole. Egzamin ze szkolenia i sprawności wypadł bardzo dobrze.

Towarzyszyły nam łączniczki-sanitariuszki Stanisława Kosmalska-Orlikowska, ps. „Marysia” i Joanna Zaleska, ps. „Viktoria”, robiąc ogromne postępy w udzielaniu „pierwszej pomocy”.

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

Powiadomiony o wybuchu Powstania i godzinie „W” przez łączniczkę Stanisławę Kosmalską dotarłem na Stare Miasto, gdzie wobec ostrzału ul. Długiej, musiałem nocować na schodach wielkiej kamienicy przy ul. Przejazd 1/3, a dopiero następnego dnia rano zgłosiłem się w Pałacu Mostowskich, gdzie zastałem część patrolu. Reszta dołączyła po dotarciu mjr. „Sienkiewicza” ze Śródmieścia (który „stanął” w Hotelu Polskim przy ul. Długiej).

W Pałacu Mostowskich wraz z patrolem zorganizowaliśmy punkt sanitarny z posiadanych w torbach sanitarnych materiałów, otrzymując od „chłopców” dużo leków i sprzętu z okolicznych magazynów. Jednocześnie odbywało się doszkalanie sanitariuszek; wobec braku rannych, ciężkiej pracy w pierwszych dniach nie było.

Wkrótce jednak budynek został podpalony bombami zapalającymi. Członkinie patrolu z narażeniem własnego życia uratowały sprzęt i leki, wynosząc je dosłownie spod walących się sufitów, do czego zmobilizował je i mnie mjr. „Sienkiewicz”.

Z Pałacu Mostowskich ewakuowaliśmy się do pałacyku przy ul. Długiej, zdaje się „Pod Czterema Wiatrami”, skąd znowu wobec jego pożaru po kilku dniach przenieśliśmy się do szkoły przy ul. Barokowej (późniejsze miejsce postoju dowództwa Powstania). Na ul. Barokowej nadal prowadziliśmy szkolenie, jednak zaczęli tam stopniowo, w coraz większej liczbie napływać ranni, było więc coraz więcej pracy, którą patrol spełniał bardzo ochoczo. Zaczęliśmy tam organizować też szpital powstańczy, układając ciężiej rannych na łóżkach i opiekując się nimi.

Jednak po kilku dniach otrzymaliśmy rozkaz przeniesienia się na ul. Miodową 24 do wielkiego budynku koło kościoła garnizonowego. W tym czasie wobec ciężkich walk na terenie Starego Miasta mieliśmy ręce pełne roboty, opatrując i pomagając przy operacjach ciężiej rannych.

W budynku tym zastaliśmy udzielających pomocy rannym i dokonujących małych zabiegów lekarzy Żydów, którzy podczas Powstania wyszli z ukrycia (podobno z kanałów). Byli to: dr „Gustaw”, który zginął pod gruzami budynku razem z mjr. „Sienkiewiczem” i kpt. „Szczęsnym”, „Rokita”, „Bolek”, „Ania lub Alina” i „Magdalena”. Nazwisk ich nie znałem. Dorywczo pomagał nam młody medyk „Roman”.

Wobec tego, że patrol osobisty służący do ewentualnego udzielenia pomocy dowództwu Batalionu im. W. Łukasińskiego sporadycznie tylko towarzyszył temuż dowództwu w akcjach, a przeważnie zajmował się opatrywaniem rannych i udzielaniem pomocy chorym, a napływ rannych do szpitali był tak wielki, że w okolicznych szpitalach brakło miejsc, zorganizowałem za wiedzą i zgodą dowództwa batalionu - po zmianach w dowództwie Zgrupowania mjr. „Sosny” - szpital powstańczy w piwnicach budynku. Dziewczęta z patrolu zaczęły w nim z poświęceniem pełnić rolę pielęgniarek, pracując często dzień i noc. Stan łóżek sięgał w nim około 100, leżeli w nim żołnierze wszystkich

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

ugrupowań politycznych i ludność cywilna. Skład lekarzy szpitala tworzyli wyżej wymienieni wraz ze mną. Materiały i leki znosili chłopcy z oddziałów walczących, mieliśmy więc ich pod dostatkiem.

Gdy pewnego dnia zabrakło opatrunków osobistych i sterylnej gazy, zdobyliśmy je wyciągając spod gruzów walczącego Banku Polskiego i dzięki temu znów mogliśmy skutecznie opatrywać rannych. O zaopatrzenie chorych i nas w żywność dbał kpt. „Socha”, bardzo nam pomagał i pamiętał o naszym szpitalu i rannych mjr. „Barry”, kpt. „Tomek”, por. „Topór”.

Po zmianach w dowództwie mianowano mnie naczelnym lekarzem Zgrupowania mjr. „Sosny”, zobowiązując do troski o zaopatrzenie w materiały opatrunkowe i leki lekarzy kompanijnych i ich patroli.

Wtedy zetknąłem się z por. lekarz Stanisławem Wojteckim, ps. „dr Piotr”, który wkrótce zginął pod gruzami swego szpitala z dr. Tadeuszem Podgórskim, ps. „Morwa” i innymi, których dokładnie nie pamiętam, poza tym z dr. Michałem Latkowskim, którego wraz z żoną (lekarką) po przejściu z Woli skierowałem do obsady lekarskiej na terenie Banku Polskiego. Na ogół każda kompania miała swego lekarza, często pracującego jednocześnie w okolicznych szpitalach.

Patroli w Zgrupowaniu doliczyłem się około 25-30, wszystkie pracowały bardzo ofiarnie z narażeniem życia, wiele dziewcząt zginęło, ale też setki, a może tysiące rannych im zawdzięczało życie lub obronę przed kalectwem.

Dziewczęta z patrolu osobistego oraz ja najbardziej wstrząsające chwile przeżyliśmy w dniach uderzenia pocisku w gmach szpitala w dniu śmierci mjr. „Sienkiewicza” i wielu, wielu innych, chyba około 40 osób.

W dniu pożaru budynku wywołanego spadnięciem nań samolotu kanadyjskiego oraz w dniu wybuchu „Goliata” na ul. Kilińskiego, kiedy to w okolicznych szpitalach, a także w naszym działały się dantejskie sceny, podobnie podczas próby przebicia się z 30 na 31 sierpnia. Jeszcze tragiczniejsze chwile przeżyły dziewczęta z patrolu po upadku Powstania.

Praca wymienionych przeze mnie sanitariuszek i lekarzy uratowała przed śmiercią i kalectwem setki istnień. Dziewczęta pracowały z największym poświęceniem, nie załamywały się do końca, mimo że były to wtedy prawie dzieci, większość liczyła 17-18 lat. Dotrwały do upadku Starówki, niosąc bohatercko pomoc najciężej rannym, pozostawionym na Starówce po rozkazie jej opuszczenia, gdyż żandarmeria mjr. Barry'ego nie wpuściła ich do kanału.

#### *Wyjaśnienie*

Wobec kontrowersyjnych zdań na temat „opuszczenia rannych i chorych w szpitalach” wyjaśniam, że do chwili otrzymania rozkazu „wyjścia przez kanały do Śródmieścia” nikt z lekarzy Zgrupowania, podobnie sanitariuszki, nie myślał o opuszczeniu rannych i chorych.

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

Ja osobiście 2-3 dni przed upadkiem Starówki otrzymałem taką propozycję, lecz się na nią nie zgodziłem. Podobną propozycję otrzymały dzień później sanitariuszki, jednak pozostały. Nie chcieliśmy opuścić rannych, ani się wzajemnie rozłączać. 31 sierpnia nadszedł jednak formalny rozkaz - nie propozycja - byliśmy nadal potrzebni walczącym, musieliśmy wyjść. Ranni zostali jednak pod opieką, pozostał nie zorganizowany z nami dr „Sęp”, jedna z lekarek i część sanitariuszek.

#### **Relacja kpr. pchor. Zbigniewa Jaskułowskiego, ps. „Stefan”, spisana przez żonę Alfredę Jaskułowską**

Pluton ppor. Janusza Drzymulskiego, ps. „Wiesław”, należący do batalionu „Baszta”, składający się z siedemnastu osób, nigdy nie doszedł na wyznaczone miejsce zbiórki na Mokotowie. Powodem było wcześniejsze rozpoczęcie działań powstańczych przed godziną „W”. Tak więc porucznik plutonu zgłosił oddział pod dowództwo kpt. „Zdana”, dowódcy 1 kompanii Batalionu im. W. Łukasińskiego na Starym Mieście.

4 sierpnia część 1 kompanii kpt. „Zdana”, w tym także pluton por. „Wiesława”, wyruszyła na Wolę, by wesprzeć oddziały z batalionu „Chrobry I”, które walczyły z ukraińskim oddziałem SS, zakwaterowanym w szkole podstawowej, róg ulic Żelaznej i Leszna. Były to świetnie uzbrojone oddziały, przy naszym ekwipunku - nie do pokonania. Ciężkie straty poniesiono także przy obronie barykady na ul. Chłodnej przy ul. Wroniej. To nie tylko karabiny maszynowe, czołgi, ale przede wszystkim naloty sztukasów zmusiły oddziały powstańcze do wycofania się z tego piekła płonących, fruwających desek, trzaskającego, pękającego drzewa i płomieni.

8 sierpnia 1944 r., po powrocie z Woli, 1 kompania kapitana „Zdana” została przydzielona do obrony Banku Polskiego przy ul. Bielańskiej. Dowódca plutonu por. „Wiesław” wysłał strzelca pchor. Zbigniewa Jaskułowskiego, ps. „Stefan” z zadaniem obserwacji i zaalarmowania plutonu, gdyby nieprzyjaciel pojawił się zza kościoła św. Antoniego.

Było to 9 sierpnia 1944 r. Słońce było prawie w zenicie, oświetlało kryjówkę podchorążego w bramie spalonego domu. Naprzeciw niego fasada kościoła św. Antoniego tonęła w półcieniu.

Za żelaznym ogrodzeniem zieleniły się krzaki bzu, a promienie złościły brzegi liści starego kasztana. Dom spalony w pierwszych dniach Powstania oddychał jeszcze gorącym wyziewem dopalających się piwnic. Powstaniec odpiął guzik przy drelichowym mundurze i wtedy po przeciwnej stronie ul. Senatorskiej zobaczył podnoszącego się powoli niemieckiego żołnierza z bronią w ręku. Jego hełm, ramiona i broń, obrysowane były jasną obwódką słońca. Palec pchor. „Stefana” bezwiednie nacisnął spust karabinu. Niemiec osunął się za murek, ginąc w zieleni.

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

Ładując nowy nabój wysunął się na skraj wypalanej bramy i wówczas uczył bardzo silne uderzenie w ramię. Zdawało mu się, że zwała się na niego jakaś gruba belka. Nogi ugięły się w kolanach, tracił równowagę, ale zdołał wycofać się w cień bramy.

Jedyną jego myślą było zdać relację dowódcy i donieść karabin do oddziału por. „Wiesława”. Myśl, że mógłby tu paść, a Niemcy zniszczyliby broń, dodawała mu siły, by podnieść się i iść w stronę placówki. Ciągnąc za sobą karabin, potykając się i zataczając doszedł do kwatery Banku Polskiego, a następnie do szpitala. Uływ krwi i zmęczenie oszołomiły go i uczyniły obojętnym na wszystko. Dopiero na wieść o postrzale przez pierś w okolicy serca zareagował żywiej. Poprosił lekarza, by zrobił operację, żeby pozaszywał i powiązał co się da. Lekarz dziwnie popatrzył na niego i powiedział: - „Chłopie, kula wyleciała sama z drugiej strony, to co ja tu jeszcze mogę zrobić... Nic! - Zabandażować” - rozkazał.

Z myślą o słowach lekarza ranny zemdlął, bo jeśli lekarz, już nic nie może zrobić, to cóż mu pozostaje... śmierć. Po pewnym czasie obudziło go łaskotanie w stopy. Przed nim stał kapłan namaszczający go Olejem Świętym. Po raz drugi pomyślał o śmierci. W ciągu kilku sekund ogarnął myślą swoje młode życie: twarze rodziny, znajomych, marzenia nieziszczone... A więc koniec. Dwie łzy, potoczyły się po twarzy pchor. „Stefana”.

Kapłan spojrział na niego, a widząc łzy w jego oczach, powiedział: - „Nie płacz, synu, umierasz za naszą umęczoną Ojczyznę i pójdziesz prosto, przed tron Najwyższego”.

Kiedy znów po omdleniu podniósł powieki, zobaczył niebieską ścianę, która wydała mu się jakąś poświatą. Napłynęły z pamięci ostatnie słowa kapłana, a będąc niezupełnie świadom tego, gdzie się znajduje, pomyślał: - „A więc jestem w niebie, a gdzie jest tron Boży...” - uniosł głowę. Z lewej strony było łóżko, z prawej zaś stał ich cały szereg pod ścianą. - „Boże mój, czy w niebie też są szpitale” - wyszeptał oszołomiony, zamykając oczy. Po chwili do jego skolatanego głowy zaczęły dochodzić ciche odgłosy, coraz szybsze, głośniejsze, turkocące motory samolotów. - „A więc żyję - wyszeptał - dzięki Ci, Panie”.

Otworzył oczy i rozejrzał się przytomnie po sali. Na łóżkach leżeli towarzysze broni. Cichy jęk doleciał do niego z końca niebieskiej sali i krzyk „siostró... siostró!” Przez salę szła spieszenie dziewczyna w mundurze z białoczerwona opaską na ręku.

Przez trzy dni we śnie i na jawie słyszał tylko warkot silników i huk padających bomb. 12 sierpnia obudził się wcześniej rano, poczuł się lepiej, próbował wstać, kiedy zaczął się ostrzał artyleryjski pawilonów szpitalnych. Sanitariuszki przenosiły w pośpiechu chorych z rozbitych budynków i układały na podłodze między łózkami. Zapanowała psychoza lęku, strachu. Niemcy za wszelką cenę chcieli zdobyć Szpital oo. Bonifratrów, by wedrzeć się klinem na Stare Miasto. Chorzy z mniejszymi postrzałami czy okaleczeniami



#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

wyciągali spod poduszki ukrytą broń, zapinali pasy i zaciskając zęby z bólu kuśtykali na drugą linię frontu Starego Miasta. Pchor. „Stefan” nie miał już broni, zostawił ją kolegom ze swego oddziału. Zdecydował się pójść do znajomych na ul. Franciszkańską, odległą o 300 metrów od szpitala. Ten krótki odcinek, prowadzący piwnicami, pokonywał z trudem przez dwie godziny, nie mogąc wyjść na zewnątrz z powodu ciągłego ataku niemieckiej artylerii.

Dom nr 12 przy ul. Franciszkańskiej, do którego podążał zaczął się palić. Hania i jej matka, rozłożyły ręce, ale widząc jego znużenie i blade, bez krwi usta, pociągnęły go do przyległego domu pod nr 14, gdzie mógł położyć się na materacach rozłożonych na podłodze. Same biegały i przynosiły co chwilę z palącego się domu jakieś tobołki ze swoim dobytkiem. Jego zaś powierzyły w tym czasie jakiejś młodej dziewczynie, która starała się zmienić mu opatrunek na piersiach. Nie chciał, by właśnie ta czysta dziewczyna widziała jego kłeskę, jego brud, wszy pełzające po bandażach i odór niedomytego ciała, ale ona zdecydowanym krokiem, pełna dobrych chęci, odeszła po miskę z wodą w drugi kąt pokoju. Nagle runęło coś za oknem, dziewczyna krzyknęła tylko - „Ach!” i upadła twarzą na podłogę. Nawet nie znał jej imienia. Odeszła tak cicho i niespodziewanie. Odłamek wpadający przez okno przeciął jej drogę życia. Przez te dwa tygodnie ciągłej walki pchor. „Stefan” widział tak wiele, ale ten wypadek poruszył go do głębi. Przed chwilą stała przed nim, tak pewna siebie, zdecydowana nieść pomoc, a po chwili nie istnieje...

Dzięki Hance, którą wszyscy nazywali „Foczka” i jej matce p. Niewiadomskiej, które bardzo się starały - przeżył ten trudny okres. Brakowało wody, jedzenia, nie wiedział doprawdy, jak one dawały sobie radę, bo sam leżał bezsilny i obojętny na wszystko.

Któregoś dnia odwiedził go Zdzich Dyszy, widocznie Hanka odszukała jego oddział. Cały pluton, to koledzy z jednej szkoły - Gimnazjum „Collegium”, a nawet z jednej klasy. Por. „Wiesław” był także absolwentem tej szkoły. Jej absolwentami byli również jego bracia. Zdzich przyniósł same smutne wieści. Przy obronie Banku Polskiego przy ul. Bielańskiej zginęli: Janek Bajer - lat 21, Staszek Gwiazda - lat 21, por. Janusz Drzymulski - lat 26, Bogdan Strasburger - lat 21; ranni zostali: Wojtek Drzymulski - lat 16 (w rękę), Zdzich Drzymulski - lat 23 (w skroń), Stefan Bajer - lat 18 (w nogę).

Na barykadzie zginął więc dowódca plutonu por. „Wiesław”, rozerwany granatnikiem. Zastąpił go jego brat Zdzich, który został ranny, i z kolei najmłodszy, 16-letni harcerz Wojtek. Dyszy poinformował go także, że będą przebijac się do Śródmieścia i przyjdą po niego.

31 sierpnia albo 1 września, doprawdy trudno zapamiętać daty kalendarzowe, jak się żyje w nierealnym świecie - świecie śmierci - przyszli po niego chłopcy. Pchor. „Stefan” piesko się czuł, chociaż panie Niewiadomskie dbały o niego jak, o swojego syna.

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

Już od rana dziewięć sztukasów bombardowało teren Starego Miasta. Nawracały co 20 minut z nową partią śmiertelnościanego ładunku. Przez cały dzień tylko ogień i kurz z walących się domów leciał pod niebiosa. Nie było już ulic ani podwórek, nie było domów, tylko dymy białe i czarne - świeciła pustką zniszczenia. Powietrze ciężkie - pełzające dymy - niesło zapachy spalonej wełny, pierza i skóry. Zapachy niecodzienne i niesamowite dławily mu gardło i jeszcze nie zagojone płuco. W taki to dzień dobrnął z pomocą kolegów na ul. Hipoteczną, gdzie w kinie Miejskim była zbiórka oddziałów: „Łukasińskiego”, „Chrobry” i „Radosława”, które miały po otwarciu drogi ewakuować się do Śródmieścia.

Przed północą cała ul. Hipieczna była wypełniona tłumem ludzi. Planowany atak na pozycje nieprzyjaciela miał przebieć trasę dla rannych, ludności cywilnej i wojska. W pierwszej chwili miało się wrażenie, że to nie powstańcy atakują, ale nieprzyjaciel pierwszy spowodował nocną bitwę. Kanonada broni była tak bliska i tak głośna, że miało się świadomość przegranej sprawy. I rzeczywiście, po około pół godziny powstańcy wycofali się na swoje placówki. Jeszcze nie było świtu, a niebo nad nimi było spowite różowym płaszczem.

Dopalające się domy oświetlały ulice: Senatorską, Bielańską i Długą. Nad Halami Mirowskimi i Ochotą na tle czerwonej łuny wznosiły się dymy.

Pchor. „Stefan” myślał o beznadziejnej sytuacji. O końcu czegoś, co dopiero się zaczyna. Czuł się bezsilny, wymagający opieki lekarskiej, potrzebujący ciepłego łóżka, spokoju i strawy. Siedział zaś na ziemi oparty o ścianę gmachu pl. Krasińskich - Biblioteka. Obok niego kolega szkolny z oddziału Bogdan Balcerzak, który opiekował się nim, pomagał, podtrzymywał, starał się o pożywienie. Czekali na zezwolenie wejścia do kanału na pl. Krasińskich. I oto siedzi obok niego Bogdan. Skóra twarzy ostra jak tarka, spod zakurzonego munduru wystaje rąbek wygniecionej koszuli. - „Czy to naprawdę on... - rozmyślał obojętnie - Czy może go jeszcze coś w życiu zadziwić. Przecież to takie znane z dawnych lat. Powstania, powstania, klęski, załamania, rozpacz matek, tak jak dziś...”

Planowany atak na pozycje nieprzyjaciela zaczął się z dużym opóźnieniem, miał za zadanie przebieć trzy drogi: w kierunku Ogrodu Saskiego od pl. Teatralnego, przeskok przez ul. Senatorską przy kościele św. Antoniego w stronę Hal Mirowskich, trzecia zaś grupa miała kanałem przedostać się na pl. Bankowy. Tak więc pierwsza, niewielka grupa powstańców przebrana w mundury niemieckie, początkowo nie rozpoznana przez Niemców, przedarła się brawurowo do Śródmieścia. Druga grupa z Banku Polskiego, została zatrzymana ogniem zaporowym na ul. Bielańskiej. Straty okazały się wielkie, było wielu rannych i zabitych. Trzecia grupa to sami straceńcy, znaleźli się w gnieździe nieprzyjaciela, wychodząc z wjazdu na samym środku pl. Bankowego, gdzie stacjonowali Niemcy. Wszystko to wyglądało jak koszmar, zły sen. Pchor. „Stefan” chwilami zatracał rzeczywistość. Obojętniał

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

na leżące trupy, świsty spadających bomb, ciągły terkot karabinów maszynowych i bujającą się stale lampę u sufitu. Za chwilę może już jej nie być, nie będzie także i jego. Z tą myślą zasnął twardym snem. - „Wstawaj - budził go Bogdan - śpisz już całą noc. Mjr K. przydzielił nas do grupy, która wchodzi do wjazdu o godz. 11.00, z grupą jeńców”.

Tego dnia eskadra sztukasów bombardowała okolice ul. Długiej i pl. Krasińskich, jak zawsze - co kilkanaście minut nawracało dziewięć samolotów, by wszystko równać z ziemią. Nie było ulicy, ani domów, zwały gruzu sterczały po jednej i drugiej stronie ścieżki, którą przechodzono gęsiego albo wdrapywano się na rumowisko, by przejść dalej. Gdzieniegdzie tylko sterczał komin albo ściany z pustymi otworami okiennymi. Czekali już w bramie na swoją kolejkę, kiedy jeden z powstańców 16-letni chłopak zaczął się z piątem na pl. Krasińskich. Chciał zniszczyć stojący czołg na ul. Nowiniarskiej, który co jakiś czas ostrzeliwał wejście do wjazdu. W pewnej chwili olbrzymia detonacja powaliła okoliczne ruiny na ul. Nowiniarskiej. Żelazne odłamki czołgu skosiły w około i wyrównały teren.

Powstaniec zaczął się wycofywać, widząc zbliżający się drugi czołg. Nagle zaterkotał karabin maszynowy, chłopiec padł, jak podcięta kłoda. Dwie sanitariuszki wyszły z noszami w kierunku rannego, ale zostały ostrzelane i jedną z nich postrzelono w rękę. Po kilku minutach wyszedł z noszami drugi patrol i także został zaatakowany. Wycofał się z pośpiechem. Ranny zdołał powiedzieć: - „nie narażajcie się, jestem ranny w brzuch, i tak nic mi już nie pomoże”. Światkowie tego wydarzenia stali cicho, niezdecydowani, kiedy do bramy wszedł jeńiec niemiecki, lekarz w randze kapitana. Wyglądał na czterdziestolatka. - „Pójdę po niego” - powiedział po niemiecku, rozpinając mundur. - „Szkoda życia” - ktoś rzucił - już dwa patrole sanitarne ostrzelali. Jeńiec podwijając rękawy mówił: - „Jak otrzymywałem dyplom lekarza, składałem ślubowanie, że udzielę pomocy każdemu, kto jej potrzebuje, bez względu na rasę, religię i narodowość. Moje sumienie lekarskie do końca życia czyniłoby mi wyrzuty, że takiej pomocy nie udzieliłem”. Zdjął czapkę i wychylając się przez wyrwę w ścianie, krzyknął coś kilka razy w stronę pozycji niemieckich. Po chwili wyszedł na pl. Krasińskich i przyniósł rannego. Niemcy nie strzelali do niego. Był to ewenement - lekarz-jeńiec, który pracował w szpitalu powstańczym, lekarz, który robił operacje. Amputował rękę Wojtkowi Drzymulskiemu, w której zaczęła się zgorzel. Wszyscy byli pełni uznania dla niego. Jego poświęcenia i uczciwości.

Tymczasem, nieprzyjaciel zaprzestał przez jakiś czas ostrzeliwać okolice wjazdu i wtedy znaleźli się obaj w kanale. Pokonywali przez około cztery godziny ten niewielki odcinek, który można przejść w ciągu 10-15 minut. Pchor. „Stefan” nie wszystko zapamiętał z tej przeprawy, podtrzymywany, podpierany przez Bogdana. Chwilami szedł nie zdając sobie sprawy, gdzie przebywa. Szedł po kolana w fekaljach. Porzucone torby, potopione walizki przeszkadzały w marszu. Otrzeźwiła go dopiero wzbierająca woda w kanale,

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

która podniosła się do wysokości piersi. Zdawało się, że to już koniec, że potopią się, jak szczenięta. Stanęli. Na początku szeregu coś zabulgotało, słychać było odgłosy, chlupot wody i uderzenia o ściany kanału. Uczuli, że woda opadając porywa ich. Tama, powstała z porzuconych bagaży i kilku topielców, puściła. Mokre porzucone ubranie przyłgnęło do ciała i bandaży. Nie da się opisać, co w takiej chwili człowiek odczuwa. To było dno piekła, które nie da się wymazać z pamięci i serca. Kiedy jednak każdy krok przybliżał do wjazdu i kiedy ukazało się szare światelko, a przez kolumnę przeleciała wieść, że dochodzą do ul. Wareckiej, serca mocno zabiły, że jednak i tym razem Bóg miał ich w swej opiece.

Gdyby nie koleżeństwo i braterstwo Bogdana Balcerzaka, który po wyjściu z wjazdu odprowadził go do oddziału, a sam poszedł szukać rodziny, pchor. „Stefan” pływałby w brudnej wodzie kanału. Twarz Bogdana ginie we mgle. Nikt go już więcej nie widział i nic o nim nie słyszał. Zapomniano także o Stefku Bajerze, którego ciała nie znaleziono na Starym Mieście.

#### MODLITWA

O Matko, której ryngraf  
błyszczący na mej piersi,  
uchroń mnie od śmierci.

O kratowane okno wyleciało z  
hukiem, krew zalewa oczy,  
spływa rwącym łukiem. W  
pokoju cisza, ciemno brak  
powietrza w płucach. Na  
twarzy plamy brudu, a w  
żrenicach przestrasz... Łzy  
płyną jak struga, wycieram je  
ręką. Za strachem radość  
biegnie, niepewność z udręką. -  
Czy wyskoczyć tą wyrwą  
rozwartą szeroko, gdzie zza  
kurze  
wynurza się błękit...  
- Czy pójść w stronę świata  
i wyzbyć się lęku...  
Fruwające cegły  
o parapet dzwonią.  
Łzy strumieniem płyną  
przecieram je dłonią.

Matko, której ryngraf  
błyszczący na mej piersi,  
uchroń mnie od śmierci.

*Alfreda Jaskułowska*

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

### Relacja strz. Augustyna Jankowskiego, ps. „Czarny”

1 sierpnia 1944 r., po południu, zgłosiłem się na miejsce zbiórki. Oddział nasz w sile plutonu, został wyznaczony na osłonę dowódcy batalionu, mjr. „Sienkiewiczza” i jego sztabu, tj. por. „Zdana”, por. „Boha” i por. „Szczepańskiego”. Szybko udaliśmy się na kwaterę por. „Zdana” w Al. Jerozolimskich 77. Tam czekały już sanitariuszki i łączniczki.

Przed godziną „W” rozległy się w Alejach strzały. To zaczynało się Powstanie, a my powinniśmy jak najprędzej dotrzeć na kwatery batalionu „Łukasiński”, w Hotelu Polskim przy ul. Długiej. Ale to nie było takie łatwe. Strzelanina wzmagała się. Mieliliśmy trudności z przekroczeniem Alei, a na drugą stronę ul. Chmielnej musieliśmy przebiegać pojedynczo.

Dopiero w nocy, jak ustała strzelanina, dotarliśmy do Hotelu Polskiego. Powitano nas z radością. Dowiedzieliśmy się, że inne oddziały batalionu brały już udział w walkach.

Po krótkim odpoczynku otrzymałem rozkaz od por. „Zdana”, aby wraz z Feliksem Serafinem, ps. „Gołkowski” i Stanisławem Lubańskim, ps. „Wolski”, udać się na ul. Boduena 2, do magazynu broni, w celu pobrania przydziału amunicji. Nasza trójka, po pokonaniu pewnych trudności w Ogrodzie Saskim i na ul. Królewskiej, dotarła na ul. Boduena. Tam, po wręczeniu dokumentów, otrzymaliśmy małą skrzynkę amunicji i szczęśliwie wróciliśmy do Hotelu Polskiego. Por. „Zdan” był bardzo zadowolony i powiedział: „takich żołnierzy potrzebuję więcej”.

2 sierpnia, w godzinach rannych, pluton nasz pod dowództwem Józefa Zgardy, ps. „Wodziński”, zdobył Synagogę i magazyny na Tłomackiem oraz współdziałał przy zdobyciu centrali telefonicznej „PAST-y”. W tych walkach wyróżnili się: pchor. Józef Kamiński, ps. „Jastrzębiec”, pchor. Józef Zarębski, ps. „Bors”, „Gołkowski”, „Czarny” i „Wolski”, którzy rozbili granatami dostęp do Synagogi.

Tego dnia wieczorem, o godz. 20.30, oddziały batalionu pod dowództwem por. „Zdana” przystąpiły do akcji na Pawiak i obóz przy ul. Gęsiej. Nasz atak załamał się i musieliśmy się wycofać ze stratami.

3 sierpnia część naszej kompanii pod dowództwem por. „Zdana”, udała się na Wolę, aby wesprzeć tam walczące oddziały batalionu „Chrobry I”, dowodzone przez kpt. Gustawa Billewicza, ps. „Sosna”.

Nasz oddział zaatakował budynki szpitala przy ul. Żelaznej i róg ul. Nowolipie. W czasie tego ataku został ciężko ranny plut. „Gałkowski”, który był wyłączony z walk do końca Powstania. Był doświadczony żołnierz z wojny 1939 r.

Natarcie załamało się w silnym ogniu broni maszynowej i granatników. Brak wsparcia spowodował, że musieliśmy się wycofać.

Tego dnia, grupy szturmowe naszej kompanii, stoczyły ciężkie walki w rejonie pl. Kercelego, ulic: Grzybowskiej, Krochmalnej i Chłodnej. W godzinach

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

wieczornych cała kompania udała się na odpoczynek do kwatery kpt. „Sosny” w browarze Haberbucha przy ul. Grzybowskiej.

Budynki od strony ul. Towarowej stały w płomieniach; słychać było pojedyncze strzały. W pewnych punktach widoczne były kolorowe rakietki świetlne. Były to znaki dla Niemców, podawane przez tzw. gołębiarzy, informujące o stacjonowaniu naszych oddziałów.

W pewnej chwili usłyszałem, że schwytano dwóch Ukraińców, którzy podawali znaki świetlne Niemcom. Wojskowy Sąd Polowy skazał Ukraińców na śmierć przez rozstrzelanie. Do ich likwidacji por. „Zdan” wyznaczył mnie i „Lubańskiego”.

Na terenie browaru oddział nasz przebywał do godzin popołudniowych 4 sierpnia, po czym wycofał się w rejon Sądów na Lesznie i pałacyku przy ul. Elektoralnej oraz obsadził barykadę przy ul. Nalewki 2.

6 sierpnia, w godzinach rannych, na rozkaz mjr. „Sienkiewicza” kompania nasza przeszła na redutę Bank Polski przy ul. Bielańskiej, a por. „Zdan” został mianowany dowódcą tej reduty. Obsada barykady Nalewki 2 również przeszła do Banku Polskiego.

Niemcy atakowali redutę Bank Polski od strony pl. Teatralnego. Atakowali również sąsiednie reduty: klasztor ss. Kanoniczek, Ratusz i Pałac Blanca, które były obsadzone przez żołnierzy batalionu „Łukasiński”.

Od rana 8 sierpnia, piechota niemiecka atakowała ul. Leszno, Tłomackie, ul. Senatorską i ul. Bielańską, natomiast kompania „Zdana”, obsadziła barykadę przy ul. Bielańskiej, broniąc dostępu do reduty Banku Polskiego od strony pl. Teatralnego. Również 9 i 10 sierpnia Niemcy atakowali z tej strony Bank, ale nadaremnie. Ich czołgi zostały zniszczone.

10 sierpnia, Niemcy skierowali na barykadę przy ul. Bielańskiej „Goliata”, naładowanego materiałami wybuchowymi, a za nim w odległości 50 m sunął czołg. Czołg został unieruchomiony, a „Goliat” obrzucony butelkami eksplodował od ognia miotacza płomieni. Po wybuchu pod gruzami zginęli m.in.: pchor. Tadeusz Trębiński, ps. „Czembori”, Stanisław Borowiecki, ps. „Znicz” oraz Józef Zarębski, ps. „Bors”. W obronie tej barykady wyróżnili się: „Wolski”, „Czarny”, Marek Korytowski, ps. „Żbik”, „Kot” (NN), Wojciech Wieteska, ps. „Marek”, „Emil” (NN), „Jelita” (NN), Zbigniew Stankiewicz, ps. „Roja”. W walkach na tej reducie zespołem sanitarnym kierowała patrolowa Maria Skorupka-Wojciechowska, ps. „Skiba”.

Niemcy codziennie kilkakrotnie atakowali nasze pozycje przed Bankiem i tzw. Rygiel (posesje *vis-à-vis* Banku). Ataki te za każdym razem zostały krwawo odparte.

Również 13 sierpnia Niemcy kilkakrotnie atakowali Bank, ale dzięki nadzwyczajnej odwadze żołnierzy naszej kompanii, zostały one odparte. Niestety jak, i „Kot” zostaliśmy ranni, opatrywała nas „Skiba”.

30 sierpnia rozpoczęła się ewakuacja lekko rannych kanałem do Śródmieścia. Ranni z 1 kompanii „Zdana” zostali ewakuowani z grupą rannych z

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

innych oddziałów. Ja również brałem udział w tej ewakuacji. Weszliśmy do kanału na ul. Długiej róg pl. Krasińskich, a wyszliśmy na rogu Nowego Światu i ul. Wareckiej. Z naszej kompanii kanałem tym szli: pchor. Jerzy Zarębski, ps. „Bazylewicz” i jego żona.

Po przejściu do Śródmieścia, po paru dniach, kiedy byłem już zdrowy, brałem znów udział w walkach w ramach kompanii „Gozdawy”, dowodzonej przez por. „Ogórka”. Z batalionu „Łukasiński” w oddziale tym był również pchor. „Bazylewicz”.

W drugiej połowie września zostałem ciężko ranny w walkach na ul. Chmielnej. Taki był mój udział w Powstaniu.

#### **Relacja kpt. Stanisława Poteralskiego, ps. „Szczepański”**

Podobno zapadła decyzja opuszczenia Starego Miasta. Uprzednio już dał się zauważyć ruch u włączów kanałowych na pl. Krasińskich zarówno w kierunku Żoliborza, jak i Śródmieścia. Wydawano podobno przepustki na przejście kanałami. Ruchem tym kierowała żandarmeria „Barry’ego”, nie spisując się zbyt pochlebnie. Ewakuacja miała objąć lżej rannych i częściowo ludność cywilną.

Z naszej kompanii żaden ranny nie starał się o przejście. Oddziały trwały na posterunku.

30 sierpnia po południu powiadomiono nas o rozkazie przebicia się oddziałów Starego Miasta do Śródmieścia. Akcja miała być uzgodniona z równoczesnym atakiem ze Śródmieścia. Kierunek naszego natarcia z ulic Bielańskiej i Długiej poprzez ul. Senatorską na pl. Bankowy, a stamtąd w kierunku pl. Mirowskiego do połączenia się z oddziałami Śródmieścia, nacierającymi od pl. Grzybowskiego, ulic Grzybowskiej i Królewskiej.

Wykonanie natarcia w nocy 30 na 31 sierpnia o godz. 0, przesunięto później na godz. 1.00. Ta nieudana akcja została szczegółowo opisana na podstawie źródłowych dokumentów w wielu publikacjach.

Oddział „Wkry” pełniący wtedy służbę na tyłach ruin klasztoru ss. Kanioniczek i magazynu Spiessa, miał wiązać ogniem i osłaniać od pl. Teatralnego przebijające się oddziały powstańcze, które wyruszały do natarcia z południowego skrzydła Banku Polskiego i z wylotu ul. Daniłowiczowskiej na ul. Bielańską. Zejście ze stanowisk przewidziane było dopiero wtedy, gdy główne kolumny, oddziały odwodowe i ewakuowana za nimi ludność przejdą wyłamanym kanałem przebicia. Oddział nasz miał przyłączyć się wtedy do straży tylnej opuszczającej Starówkę.

W tym czasie odwodowa część kompanii wraz z rannymi miała przejść w kolumnie poszerzonym kanałem przebicia do Śródmieścia. Natarcie nasze poważnie opóźniło się, prawie do świtu. Po rozpoczęciu akcji pod ogniem niemieckich karabinów maszynowych i granatników, wraz z grupą por. „Je-

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

rzego" kilku strzelców z kompanii „Wkra” jako prowadzących przeskoczyło przez ul. Bielańską na ruiny znanego im terenu „Rygla” Bielańska-Senatorska.

Oddział ten poprzez ul. Senatorską i kościół św. Antoniego podobno przebił się z wielkimi stratami do ul. Królewskiej.

W każdym razie czterech strzelców z „Wkry” straciliśmy bezpowrotnie, przenosząc ich na listę zaginionych.

Po nieudanym przebiciu i ogromnym bałaganie spowodowanym tak olbrzymim i niezorganizowanym ruchem wojsk, rannych i ludności - oddziały wracały na swoje kwatery i stanowiska bojowe.

Mrowisko ludzi, zbierających się głównie nocą w kierunku ulic Długiej i na Hipotecznej rozlało się teraz po gruzach i rumowiskach ulic i domów, wracając do swoich nor, piwnic i schronów, niosąc rannych na zbitych z desek noszach, krzesłach, wózkach oraz niesionych na plecach towarzyszy szukało schronienia w resztkach zabudowań i prowizorycznych szpitalach. Na ulicach i gruzach leżeli słabi i opuszczeni, stratowani nocą w panice. Ogólna makabra. Widziało się strach, lament i podniecone zaniepokojenie. O ile szczęśliwsi byli ci na linii bojowej, którzy tego widzieć nie musieli. Tylko dezorientacji Niemców należało zawdzięczać, że prawie wszystkie stanowiska udało się ponownie obsadzić oddziałami.

Sytuacja była jednak już beznadziejna. W niedługim czasie, w ogniu skoncentrowanych działań nieprzyjaciela, Starówka i tak ulegałby wkrótce kompletnej zagładzie.

Zdeterminowane oddziały liczyły już tylko na „pójście do piachu”. Zamilkła już prasa powstańcza, dowództwo nie widziało żadnych szans na sukcesy naszej walki.

##### *Odwrot ze Starówki - kanał*

Dowódca Grupy Północ płk „Wachnowski” zdał sobie sprawę, że jedynym wyjściem, aby nie poddać Starówki jest wycofanie się oddziałów kanałami do Śródmieścia.

Według powziętej decyzji, 1 września w pierwszej kolejności mieli przejść nadający się do ewakuacji ranni i oddziały nieuzbrojone oraz pewna część ludności cywilnej.

Z naszej kompanii ewakuowaliśmy kanałami wyłącznie rannych i to wszystkich - nawet ciężko rannych - wspieranych na ramionach sanitariuszek i lżej rannych towarzyszy. Wiedzieliśmy, że pozostawienie ich na Starówce było równoznaczne ze śmiercią. Reszta kompanii, choć nie była już tak liczna po olbrzymich stratach w zabitych i rannych pozostała na Starówce.

Z bezpośredniego rozkazu otrzymanego przeze mnie od dowódcy Zgrupowania mjr. „Sosny”, kompanię „Wkra” przeznaczono do obsadzenia, 2 września, opuszczonych przez ewakuowane oddziały stanowisk południowego



#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

odcinka obrony na linii ataku ogniowego, tj. od ul. Daniłowiczowskiej, po byłej reducie Ratusza, ul. Bielańskiej i ul. Długiej (barykady i Pasaż Simonsa).

Kompania miała zejść ze stanowisk po godz. 22.00, na którą to godzinę przewidziano zakończenie ewakuacji oddziałów dużymi kanałami burzowymi, z wjazdu przy pl. Krasińskich róg ul. Długiej.

Zadaniem kompanii było wiązanie do tego czasu nieprzyjaciela, aby nie spostrzegł opuszczania stanowisk.

Na ewakuację kompanii przeznaczono przejście już małymi kanałami ściekowymi o przekroju owalnym 80 cm x 50 cm, do których wjazd znajdował się przy ul. Daniłowiczowskiej, przy bocznej bramie więziennej.

Jako przewodnika po labiryncie kanałów podziemnych otrzymałem 12-letniego łącznika, który twierdził, że zna przejście, gdyż przynosił meldunek do Śródmieścia.

Z uwagi na to, że mały przekrój kanałów zezwalał jedynie na poruszanie się w pozycji kłęczącej, na „czworakach”, mjr „Sosna” polecił mi przekazać karabiny i peem-y żandarmerii „Barry’ego”, która po przejściu kanałami burzowymi miała zwrócić tę broń w Śródmieściu (nigdy jej już nie otrzymałem). Pozostawione uzbrojenie kompanii do wiązania ogniem nieprzyjaciela na luzowanych stanowiskach miały stanowić tylko pistolety i granaty. Do pistoletów otrzymaliśmy nawet trochę amunicji.

Stan kompanii po tak licznych stratach w zabitych, zaginionych i po ewakuowaniu rannych z sanitariatem - stanowiło tylko trzydziestu paru ludzi, w tym kilka łączniczek.

Wykonując rozkaz mjr. „Sosny”, zaraz po południu rozesłałem patrole na stanowiska zajmowane jeszcze przez oddziały schodzące. Opuszczenie stanowisk przez patrole „Wkry” miało nastąpić po otrzymaniu mojego rozkazu, przysłanego przez łącznika, który miał doprowadzić patrol do wyznaczonego wjazdu.

Nocą 2 września, o godz. 22.00 został mi przekazany wjazd przez por. „Piotra”, z którym współdziałaliśmy na reducie klasztoru ss. Kanoniczek. Pożegnaliśmy się serdecznie, życząc sobie szczęśliwego zobaczenia w Śródmieściu.

Odkryty wjazd, znajdujący się o kilka kroków od murów budynku, mimo że było ciemno, znajdował się już pod ostrzałem Niemców. Dlatego trzeba było wyczekiwać w osłonie murów więzienia na wejście do kanału.

O godz. 22.30 wysłałem łączników do ściągnięcia patroli. Cały oddział zebrał się w cieniu murów tuż przed godz. 23.00.

Znając warunki przejścia tak małymi kanałami jedynie z opowiadania łącznika, poinstruowałem ludzi o sposobie zachowania się w kanałach i poruszania się w ciemności, aby nie pogubili się. Obowiązywała bezwzględna cisza i ostrożność, szczególnie przy przechodzeniu pod wjazdami, które mogły

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

być otwarte, co groziło obrzuceniem nas przez Niemców granatami i oblanie płonąca benzyna.

„Pochód” otwierałem ja z łącznikiem (przewodnik 12-letni) - zamykał jako ostatni po zejściu wszystkich do kanału, szef kompanii, ppor. „Dąb”. W moim posiadaniu była tylko jedyna latarka elektryczna. Do wjazdu należało podbiegać skokami (kule bzykały) i szybko opuszczać się na dół po klamrach, aby zrobić miejsce dla następnego.

Trudno o szczegółowy opis ponad dwunastogodzinnego przejścia resztek kompanii tymi kanałami - byłyby to cała epopeja ostatecznego wyniszczenia oddziału. Na szczęście byliśmy jedynym oddziałem, który w takich warunkach przebywał ostatnią drogę ponoszącej klęski Starówki. Doczołgaliśmy się w krańcowym wyczerpaniu po kilkunastu godzinach, do wjazdu przy pl. Napoleona.

Poruszaliśmy się w ciemności, wyłącznie w pozycji kłęzącej, na dłoniach i kolanach, po gruzie, w ściekach i kale ustępowym. Ludzie ulegli ogólnemu zatruciu gazami kanałowymi, dusząc się z braku powietrza. Ramiona i barki obcierały się o ściany ciasnego kanału, ręce były zdarte i kolana pokaleczone. Przekrój kanału mieścił z ledwością tylko jednego człowieka, toteż napotymano po drodze podkurczone, spuchnięte trupy ludzkie, zamykające cały otwór, spiętrzające ścieki. Jedynym ratunkiem było przepychanie przed sobą z ogromnym wysiłkiem tej makabrycznej zapory, aż do rozwidlenia kanałów. Trwało to chyba godzinami. Mieliśmy dwa takie trupy do przechnięcia, całe szczęście, że nie leżały razem, bo wtedy kanał byłby nie do przebycia, a odwrotu nie było. Przy rozwidleniu upychaliśmy trupa w inny otwór, by mieć wolną drogę.

Po kilku godzinach takiego marszu zduszeni ludzie ulegali panice, trudnej do opanowania. Twierdzili, że błądzimy i nigdy się stąd nie wydostaniemy. Być może, że błądziliśmy, gdyż czołgający się za mną „pilot” nie był już pewny drogi - za długo to trwało - ale muszę przyznać, że trzymał się nadzwyczaj dzielnie. Przechodziliśmy już trzy rozwidlenia, ale czy wchodziliśmy w dobry kanał?

Kilkakrotnie opanowałem panikę, sam wątpiąc w szczęśliwy koniec tej wędrówki. Nad ranem odczuwaliśmy drżenie ziemi i słyszeliśmy odgłosy przesuwających się czołgów. Pod wjazdami niektórzy decydowali się na wyjście. Była to jedyna okazja do wyprostowania ciała. Tylko wyjątkowemu hartowi ducha i determinacji pozostałych można zawdzięczać, że zmuszono ich do schylenia się i wczolgiwania w dalszy odcinek ciemnego kanału, aby poruszać się dalej i dalej, ale jak wolno i jak jeszcze daleko?... Ręce i nogi słabły, ciało ślaniało się, nie było żadnej pozycji do odpoczynku. Przy mniejszym poziomie ścieków parosekundowe położenie się na plecach było wielką ulgą, ale cóż z tego, nie wolno było się zatrzymywać, bo brak powietrza i ludzie się duszą. W głowie i uszach szum, bicie w skroniach, czerwone plamy w oczach - w ciągłych ciemnościach ulegaliśmy prawie wszyscy halucy-

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

nacjom. Zdawało się nam, że poruszamy się korytarzem, do którego prowadzi jakiś mroczny, wilgotny piwnic, w których pod ścianami stoją ławy i stoły, przy których za chwilę usiądziemy. Wyczerpanie sięgnęło zenitu. Niektórzy słabli. O żadnej akcji ratowniczej nie mogło być mowy. Jedni pomagali drugim czołgać się, przeciągając ich nawet rękami po kanale. Powoli następowało zubożenie, zanikały siły i chęci do dalszej walki o każdy metr niekończącego się kanału.

W pewnym momencie osiągnęliśmy dość wysoką, przesklepioną czerwonymi ceglami komorę, z której rozchodziły się trzy duże, obszerniejsze kanały. „Przewodnik” odzyskał pewność, twierdził, że jesteśmy na dobrym kierunku, poznawał tę komorę i mówił, że włącz do wyjścia już niedaleko.

W komorze można było stanąć i wyprostować się. Można było, ale brakowało sił, żeby się dźwignąć ze zgiętej pozycji. Wszystko bolało. Po kilku chwilach ruszyliśmy dalej, podając do tyłu optymistyczną wiadomość. Kanał był już dużo łatwiejszy do przeprawy, bo trochę wyższy, jednak pozycję „na czworaka” trzeba było zachować.

Po nieokreślonym bliżej czasie niektórzy widzieli jakoby szarawy cień, czy blade światło, które miało się przebić przez unoszące się opary. Po kilkudziesięciu metrach okazało się to prawdą, było to rzeczywiście światło i dochodziły jakieś głosy.

Przybliżaliśmy się dalej, kanał tu był wyższy i tak przesklepiony, że zezwalał na pochyloną pozycję stojącą.

W oczy raziło teraz oślepiające światło reflektora opuszczonego włazem do kanału. Na tle światła majaczyły poruszające się sylwetki ludzi, idących w naszą stronę. Pierwszą moją prośbą było, aby kierować reflektor w kierunku ziemi. Ból oczu od światła był nie do zniesienia. Opierając się o ściany, doszedłem do włazu, prosząc o akcję ratunkową dla osłabłych w kolumnie.

Ludzi wyciągano na linach, 12 osłabionych i nieprzytomnych odtransportowano od włazu na noszach.

Wyszliśmy z kanału na pl. Napoleona 3 września o godz. 11.30.

#### **Relacja kpr. pchor. Adama Kulczyckiego, ps. „Kropowicz”**

Swoje życie konspiracyjne rozpocząłem od organizacji „Wawer” w 1940 r. Moja trójka składała się z: Henryka Krzymulskiego, ps. „Jagodziński”, Zbigniewa Grabickiego, ps. „Kłos” i mnie. Szefował nam, jeśli pamiętam, plutonowy zawodowy „Żak” lub „Żbik” lub „Żuk”, tego już sobie nie przypominam. Na terenie Śródmieścia prowadziliśmy co tydzień w różnych formach akcje tzw. małego sabotażu, głównie napisy: PPR - Płatne Pachołki Rosji itp. oraz kotwice „Polska Walcząca”. Rozlepialiśmy afisze w języku polskim i niemieckim, telefonowaliśmy do volksdeutscheów. Byłem także kolporterem wydanego przez nas dodatku nadzwyczajnego do „gadzinówki” - „Nowego

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

Kuriera Warszawskiego". Terenem mojego rozprawiania był pl. Krasińskich i okolice. Była to akcja jednorazowa.

W 1943 r. przeszedłem do grupy specjalnej, która miała za zadanie budowę magazynów broni. Szefem tej grupy był por. Kędzierski, ps. „Kalinowski”. Odbywało się to w ten sposób, że dobierano zniszczone w czasie działań we wrześniu 1939 r. mieszkania i przeprowadzano remont (odbudowę). Roboty wykonywała firma budowlana inż. Brudzewskiego, prowadząca głównie roboty na kolei (Ostbahn). Miałem z tej firmy ausweis. Byłem członkiem małej grupy konspiracyjnej, dziś można by to nazwać brygady, składającej się z fachowców dobrej klasy, jak: murarze, zdun, hydraulik, elektryk, stolarz, cieśla itp. Ja byłem uniwersalnym pomocnikiem i pracowałem z tym, któremu w danej chwili byłem potrzebny Roboty prowadził i osobiście je rozliczał inż. Brudzewski.

Magazyny były budowane w ten sposób, że miały podwójne ściany, oddalone od siebie o metr. Dbano, by wewnątrz lokalu była zachowana proporcja układu, tzn. nigdy nie budowano dodatkowej ściany przy jednej ścianie pomieszczenia, tylko zawsze przynajmniej przy dwóch i tylko pod kątem prostym. W tej jednometrowej przestrzeni były zrobione regały o szerokości do 60 cm, wysokie od podłogi do sufitu. Znałem kilka takich magazynów, do których wejścia były oczywiście zamaskowane. Przy ul. Chłodnej wejście było przez łazienkę. Przekręcało się mydelniczkę na ścianie z kafelkami i fragment tej ściany stanowił drzwi, które się otwierały. Roboty były wykonywane bardzo dokładnie i precyzyjnie, dlatego były nie do wykrycia. Przy ul. Świętojerskiej 18, wejście było z przedpokoju przez szafę w ścianie. Tylne ściana szafy otwierała się po przekręceniu jednego haka, których było kilka w szeregu. Przy ul. Królewskiej, przy pl. Grzybowski, był budowany skład handlowy, a w nim magazyn w piwnicy i na strychu. Wejście do piwnicy stanowił fragment podłogi, który otwierało się przez naciśnięcie listwy przyściennej, włożenie dłoni i podniesienie części podłogi. Oczywiście wewnątrz była przeciwwaga ciężaru, tak że otwarcie odbywało się bez większego wysiłku. Z piwnicy był poprowadzony szyb, taki jak dla windy, a w ścianie szybu były żelazne klamry, po których wchodziło się na strych. Na strychu była jedna podwójna ściana (tu był wyjątek od zasady), a wejście stanowił wycinek muru, który się otwierał po naciśnięciu cegły w murze, która stanowiła zamek. Na Pradze przy ul. Targowej 54 remontowaliśmy małą halę warsztatową w podwórzu, która przylegała do mieszkania także odbudowywanego. Magazyn w hali stanowiła podwójna ściana i podwójny sufit (zachowana proporcja). Wejście znajdowało się w podłodze strychu nad halą, a dojście na strych było z tego właśnie sąsiedniego remontowanego mieszkania. Dla ułatwienia załadowywania magazynu w suficie hali była zamaskowana kłapa, którą można było otworzyć z wnętrza magazynu i za pomocą wielokrażka wciągnąć cięższe ładunki. Magazyn ten nie został zagospodarowany, gdyż wybuchło Powstanie.

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

Brałem udział w załadowywaniu magazynu przy ul. Świętojskiej 18, a właściwie w ewakuacji magazynu z ul. Piusa XI, na ul. Świętojską, ponieważ magazynier z ul. Piusa XI został aresztowany przez gestapo. Mieliśmy przypadkową wpadkę magazynu przejściowego przy ul. Franciszkańskiej. Magazyn przejściowy, to było zwykle mieszkanie bez skrytek, w którym gromadziło się drobne ilości broni, amunicji i sprzętu, a dopiero gdy się zebrало większą ilość, wtedy organizowało się transport do magazynu zasadniczego.

Kolega „Kłos” w czasie przenoszenia pistoletu z zakupu, napotkał patroli żandarmerii na ul. Długiej i został poważnie ranny (przestrzelone lewe płuco), ale mimo krwotoku z ust zdołał zbiec na Stare Miasto i szczęśliwie z tego wyszedł. Brał udział w Powstaniu, w macierzystym batalionie „Łukasiński”, walczył w obronie Ratusza. Po wojnie wyjechał do USA i tam zmarł 1 grudnia 1985 r.

Kolega „Jagodziński” w Powstaniu walczył w batalionie „Łukasiński”, a po wojnie wyjechał do Australii. Nie mam z nim kontaktu.

W międzyczasie uczęszczałem na szkolenie w konspiracyjnej Szkole Podchorążych im. Lisa-Kuli, którą ukończyłem wiosną 1944 r. w stopniu kaprała podchorążego (nr 1068). Zachował mi się fragment zaświadczenia o ukończeniu podchorążówki. Głównym moim szkoleniowcem, był por. Leon Lawendowski, ps. „Andrew”, a egzaminował mnie także por. Tadeusz Majcherczyk, ps. „Zdan”.

1 sierpnia 1944 r., przed południem, przynosiliśmy jeszcze z kolegą „Jagodzińskim” dwa pistolety maszynowe z ul. Twardej w Al. Jerozolimskie, w okolicy ul. Emilii Plater. Poszedłem do swojego mieszkania na Woli przygotować się na godzinę „W”, ale już nie zdążyłem na Stare Miasto, dołączyłem więc do batalionu „Chrobry I” i w nim pozostałem do końca Powstania.

Działalność konspiracyjną miałem w pewnym stopniu ułatwioną, ponieważ nie miałem żadnych bliższych powiązań rodzinnych, byłem sam jak palec. Po prostu, rodzice i siostra zostali wywiezieni na Syberię, a ja zdążyłem wcześniej uciec przez „zieloną granicę” i w połowie listopada 1939 r. byłem już w Warszawie. Niestety, ojciec nie przeżył zsyłki, a matka z siostrą wróciły w 1946 r.

#### **Relacja Krystyny Jędrzejowskiej-Szczawińskiej, ps. „Zofia”**

Rano 1 sierpnia 1944 r. stawiam się na wyznaczone kwatery 3 kompanii „Wkra”, przy ul. Długiej 9 i 11. Na miejscu zostałam przydzielona na kwatery przy ul. Długiej 11, gdzie mieściło się dowództwo kompanii. Powierzono mi prowadzenie kancelarii i prac gospodarczych. Niezależnie od tego,

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

pełniłam również funkcję łączniczki i sanitariuszki, ponieważ w czasie konspiracji, odbyłam kurs sanitarny.

W czasie Powstania przeżyłam wiele trudnych i tragicznych chwil, lecz dwa wydarzenia, o których chcę wspomnieć, utkwiły w mojej pamięci na zawsze.

13 sierpnia, w godzinach przedwieczornych, będąc na kwaterze, dowiedziałam się, że powstańcy zdobyli na ul. Podwale niemiecki czołg. Natychmiast wybiegłam z pokoju. Klatką schodową wydostałam się na podwórko, które było wspólne dla trzech posesji i bramą domu przy ul. Kilińskiego 5 znalazłam się na ulicy. Zobaczyłam czołg jadący ul. Podwale w kierunku ul. Kilińskiego, prowadzony przez powstańców. Wokół niego tłumy ludzi - powstańcy i cywile - wiwatujący z radości. Podbiegłam do czołgu i jak inni, zaczęłam go dotykać rękami. Kiedy czołg znalazł się u zbiegu ulic Podwale i Kilińskiego, jeden z kolegów krzyknął do mnie: - Krystyna, biegiem do dowództwa kompanii, jesteś pilnie potrzebna. Odeszłam od czołgu i tą samą drogą pobiegłam w kierunku kwatery dowódcy kompanii. W momencie, kiedy znalazłam się na klatce schodowej, na poziomie parteru, nastąpił potężny wybuch. Zatrzęsły się budynki. Podmuch wybuchu rzucił mną o ścianę. Posypał się tynk, cegły, szkło oraz różne przedmioty, a wśród nich szczątki ludzkich ciał. Zrobiło się ciemno. Pomyślałam sobie, co się mogło stać, czyżby wybuch bomby lotniczej? Przecież w tym czasie nie było nalotu samolotów niemieckich. Kilka osób zbiegało schodami na dół. Potracona przez nich, znalazłam się ponownie na podwórku. Nie dotarłam do kwatery. Wraz z nimi wybiegłam przez bramę na ulicę Kilińskiego. Ujrzałam potworny widok. Cała ulica była usłana zmasakrowanymi szczątkami ludzkich ciał. Po czołgu pozostał tylko wrak, odrzucony kilkanaście metrów od miejsca wybuchu. Natychmiast zorganizowano usuwanie tej krwawej masy. Zatrudniono do tego jeńców niemieckich, którzy szuflami przenosili szczątki do uprzednio wykopanego dołu na pobliskim trawniku. Smród był nie do zniesienia. Pomyślałam sobie wtedy, że chyba opatrzność boska zesłała mi tego kolegę, który mnie odwołał od czołgu-pułapki. Gdyby nie on, nie było by mnie wśród żyjących. Przygnębiona tym wydarzeniem, poszłam na kwaterę do swoich czynności służbowych.

Na drugi dzień, wieczorem 14 sierpnia, szukając jednego z naszych kolegów na kwaterze przy ul. Długiej 11, w jednym z pokoi zastałam sierż. Stanisława Słońskiego, którego znałam jeszcze z czasów konspiracji. Stał odwrócony twarzą do ściany, tyłem do mnie. Tego wieczoru, niebo nad Starówką było rozświetlone tzw. świecami, które Niemcy wystrzelili w powietrze w celu oświetlenia terenu. Popatrz Stasiu, powiedziałam, jakie piękne lampiony na niebie, żeby nie było tak strasznie, to byłoby pięknie. Widząc, że nie odpowiada na moje słowa i stoi nie odwracając się w moją stronę, pomyślałam, że się na mnie za coś obraził. Zapytałam zaniepokojona, Stasiu, co ci jest, obraziłeś się na mnie czy co? Lecz on nie reagował zupełnie

#### 4. Relacje i wspomnienia uczestników Powstania Warszawskiego – część 2

i w dalszym ciągu stał w tej samej pozycji. Po chwili odwrócił się wolno twarzą do mnie, z opuszczonymi oczami skierowanymi w podłogę. Na moje pytanie, dlaczego nie patrzysz na mnie, bardzo wolno zaczął podnosić wzrok w górę. Był bardzo przerażony. Kiedy zatrzymał wzrok na mojej głowie, odetchnął głęboko z ulgą, jakby kamień spadł mu z serca. Zapytałam co było powodem jego przerażenia, a potem wielkiej ulgi. Stasio odpowiedział: Krystyna, bałem się na ciebie spojrzeć, a zwłaszcza na twoją głowę, ponieważ miałem przykre doświadczenie. U ludzi, których spotkałem dwa dni temu, widziałem nad ich głowami świetlistą aureolę. Wtedy nie zdawałem sobie sprawy, co to mogło oznaczać. Później dowiedziałem się, że ci ludzie zginęli, jedni w walce na barykadach, inni wczoraj przy czołgu-pułapce, na ul. Kałińskiego róg Podwala. Z ciekawości zapytałam go, czy nad moją głowę widzisz podobną aureolę, odpowiedział, że nie i dlatego z ulgą odetchnął. Przy okazji, opowiedziałem Stasiowi moje wczorajsze zdarzenie z czołgiem-pułapką, że cudem uniknęłam śmierci. No widzisz, chyba nie jest ci jeszcze pisane, opatrność czuwa nad tobą. Przypatrzyłam się uważnie jego twarzy, była przeraźliwie smutna. Po paru chwilach pożegnałem go i udałam się na kwaterę. 20 sierpnia Stasio zginął.